

ALEK **ROGOZIŃSKI**

ZABÓJCZY KULIG

Pędzi, pędzi kulig
pędzą, pędzą sanie
zanim wszędzie księżyc
coś się tutaj stanie

FILIA

ALEK **ROGOZIŃSKI**

**ZABÓJCZY
KULIG**



FILIA

*Arturowi Grabarczykowi – za nasze wspólne lata w redakcji pewnego
rozrywkowego pisemka...*

OŚWIADCZENIE

Chciałbym uroczyście i z ręką na sercu zadeklarować, że opisane tutaj zdarzenia nigdy nie miały miejsca. I jeszcze jedno... W przeciwieństwie do niektórych bohaterów niniejszej powieści, ja sam bardzo lubię Zakopane, choć raz zatruliem się precllem, w co nawet i mnie samemu trudno uwierzyć. Jak widać, można. Raz też podpadłem tam baranowi, który ganiał mnie potem ze złą miną po pastwisku i zmusił do wdrapania się na jedyne znajdujące się tam drzewo, z którego potem ściągnęła mnie moja przyjaciółka, przy okazji wygłaszając komentarz: „Nawet krowa w ciąży wlaźłaby na to z większą gracją”. I to tyle. Do siego roku! Chyba że czytacie to w wakacje, to wtedy upalnego lata!

Alek

POSTACI

Karina Zalewska – lekarka, która w czasie zimowego wyjazdu planowała wyleczyć złamane serce i nie przypuszczała, że przeżyje sytuacje mrozzące krew w żyłach, i to w ilościach hurtowych.

Marek Muszyński – pisarz, który do czasu wypadu w góry nie sądził, że rzeczywistość może się okazać bardziej skomplikowana niż fabuły jego powieści.

Olga Lubiecka – modelka, w najśmielszych marzeniach niespodziewająca się, że zamiast pić grzaniec i relaksować się pod Giewontem, będzie zmuszona bawić się w kotka i myszkę z mordercą.

Lucjusz Kędziak – powoli dobiegający do emerytury piłkarz, planujący założenie własnej szkoły futbolowej.

Mariusz „Mario” Kosek – szef agencji PR „360 stopni”, uważający, że w chwili, kiedy zgodził się jechać w Tatry, musiał cierpieć na chwilową pomrocność.

Dominika „Miśka” Szustek – przyjaciółka Mario i współwłaścicielka agencji „360 stopni”, przekonana, że „polskie góry to najspokojniejsze miejsce na świecie”, oczywiście tylko do czasu, aż grasujący tam morderca usiłował przebić ją kozikiem.

Wincenty Staszeczek – właściciel pensjonatu „Pod Śnieżycą” i życiowy pechowiec.

Agnieszka Staszeczek – córka Wincentego, która przyjechała spędzić spokojnego sylwestra i Nowy Rok z rodziną, ale niestety nie było jej to dane.

Zofia Ziębek – pozornie przyjaciółka Agnieszki, w skrytości ducha zazdrosna o nią i życząca jej wszystkiego najgorszego.

Patryk Siennicki – były chłopak Agnieszki, autor plotek o jej niezbyt chwalebny prowadzeniu się w stolicy.

Jagna Jędrzejczyk – sąsiadka Wincentego, mająca od lat chrapkę i na niego, i na jego pensjonat.

Klemens Jędrzejczyk – syn Jagny, od lat bezskutecznie zabiegający o zdobycie serca Agnieszki.

Longina Łuszczek – gaździna, prorokująca od lata, że „tej zimy coś pierdyknie, i to ostro”, i o dziwo mająca w tym względzie całkiem niezłą intuicję.

Tadeusz Łuszczek – mąż Longiny, organizator kuligów, który nie przypuszczał, że jeden z nich okaże się aż tak bardzo feralny.

Konstancjusz Łuszczek – syn Longiny i Tadeusza, przekonany, że jego rodziców opuścił rozum w chwili, kiedy wybierali mu imię, i z tego powodu mocno przez całe życie sfrustrowany.

Krzysztof Darski – komisarz policji, który usiłował spędzić spokojny urlop, po którym obiecał sobie, że następny w całości

przesiedzi we własnej piwnicy, bo przynajmniej nie ma tam zasięgu telefonicznego i nikt mu nie przeszkodzi w zażywaniu relaksu.

Ilona Knieć – była dziewczyna Darskiego, pracująca w zakopiańskiej komendzie i niepotrafiąca zrozumieć, dlaczego turyści ze stolicy uparli się mordować akurat w jej mieście, skoro już i tak spadło na nie nieszczęście w postaci recitalu Klaudii Hutniak.

oraz gościnnie:

Klaudia Hutniak – diwa, która pod Tatrami miała dać recital sylwestrowy w stylu disco, ale nagle doznała oświecenia, że jej fani wolą, żeby zaśpiewała „coś bardziej dotykającego rdzenia duszy”, i po godzinie smętnego zawodzenia o mało co nie została ukamienowana przez widownię.

PROLOG

– To miał być tylko żart! – Błada z reguły twarz Mariusza Koska, zwanego przez wszystkich Mario, tym razem prezentowała się tak, że obserwujący go uważnie komisarz Krzysztof Darski przez moment zastanawiał się, jak mógłby ją opisać. Po chwili doszedł do wniosku, że najlepiej oddaje ją określenie: zielonkawo-pomarańczowo-lichowiejaka oraz że i tak pasuje ona do niego o wiele bardziej niż to, co z reguły sam sobie tam malował, a co zdaniem Darskiego pozwalało go zaliczyć do Etiopczyków z plemienia Arbore. – Przysięgam! Nikt z nas nie robił tu niczego na serio. To taki nasz zwyczaj sprzed lat. Kiedyś przyjeżdżaliśmy w góry co roku i zawsze robiliśmy sobie takie głupie kawały, a pod koniec rozstrzygaliśmy, kto wpadł na najbardziej szalony pomysł, i wręczaliśmy mu jako nagrodę statuetkę z białym misiem.

– No to tym razem ten... żart – Darski wymówił to słowo z wyraźnym przekąsem – wypadł wam wyjątkowo paskudnie.

– Nic z tego nie rozumiem. – Mario rozejrzał się bezradnie dokoła, przejeżdżając wzrokiem po piątce równie jak on przerażonych przyjaciół, z którymi spędzał poświętecznie-noworoczny czas w górach, po wielkich saniach, którymi wybrali się wszyscy na kulig, po oszołomionym woźnicy, najspokojniejszych z całego tego grona

koniach, krzątającej się na miejscu ekipie policyjnej, ambulansie pogotowia i na sam koniec po znajdujących się w nim noszach, na których leżały zwłoki dziewczyny, z którą jeszcze godzinę wcześniej rozmawiał, żartował, robił sobie selfie, jadł i popijał grzaniec. Nagle wszystko to wydało mu się nierealne. To nie mogła być rzeczywistość! W wirujących płatkach śniegu i panującej wszędzie dokoła, jak okiem sięgnąć, białej aurze obraz ten bardziej przypominał kadr filmowy. – Jak to się mogło stać? Przypadkowo?

– Nie kpij. – Komisarz spojrział na niego z politowaniem. – Nie ma najmniejszych wątpliwości, że to morderstwo.

Mario wzdrygnął się i odruchowo poprawił sobie na ramionach koc, którym litościwie okryła go nieco wcześniej jego najlepsza przyjaciółka, Dominika Szustek, nazywana pieszczotliwie przez wszystkich Miśką, z którą założył popularną agencję PR-ową.

– To właśnie wydaje mi się niemożliwe – wyjaśnił nieco bezradnie – bo przecież jeśli masz rację, to oznacza, że mordercą jest ktoś z nas.

– No i...? – Darski nie spuszczał z niego wzroku.

– Stary, weź! – W głosie Mario słyhać było lekkie oburzenie. – Znam tych ludzi od liceum. Nie widzieliśmy się co prawda od kilku dobrych lat, ale nie sądzę, żeby nagle któreś z nich z praworządnego obywatela albo obywatelki stało się kryminalistą. A już tym bardziej mordercą!

– Dałbyś za nich głowę? – zapytał Darski, mrużąc nieco oczy.

Mario znał go na tyle dobrze, aby z miejsca nabrać pewności, że pytanie to ma jakieś drugie dno.

– Podobno tylko krowa na pastwisku się nie zmienia – odpowiedział ostrożnie – ale akurat w tym przypadku raczej podstawilibym tę swoją obolałą łepetynę pod topór. Krzyś, przecież to są porządni ludzie! Wykształceni, znani. Wzięta lekarka, słynny pisarz, popularna modelka, sławny piłkarz...

– Yhm... – Darski pokiwał głową, ale jego oczy nadal były zwięzione.

– Chyba nie chcesz powiedzieć – Mario aż się zachłysnął z irytacji – że to Miśka nagle oszalała i zmieniła się w Hannibala Lectera?! W co jak w co, ale w to już na pewno nie uwierzę!

– Nie. – Komisarz pokręcił głową. – Tego akurat nie twierdzę. Ale, uwierz mi, gdybyś miał głowę pod toporem, to właśnie zleciałaby ona z pieńka i skończyłaby jako zabawka w rękach gawiedzi.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zdumiał się Kosek.

– Że nie każdy jest tutaj taki święty, jak ci się wydaje – odrzekł tajemniczo Darski. – A przede wszystkim, że nie wszyscy z twoich teoretycznych przyjaciół są tymi, za których się podają.

– Co ty opowia... – zaczął Mario, ale komisarz wszedł mu w słowo.

– Popatrz uważnie! – rozkazał stanowczo. – Chyba nie jesteś kompletnie ślepy?!

Niebotycznie zdumiony Kosek spełnił jego życzenie i jeszcze raz przebiegł spojrzeniem po swoich znajomych.

I nagle dotarło do niego, jak beznadziejną tępotą, tudzież sklerozą, popisywał się przez ostatnie kilka dni.

ROZDZIAŁ I

KARINA

– Boli mnie, pani doktor, tak w sobie. – Sympatyczna starsza pani wykonała ręką taki gest, jakby chciała sobie wsadzić palec wskazujący do pępka. – Najpierw od serca, a potem przez żołądek i wątrobę, aż do nerek. Cokolwiek bym nie zjadła, to zaraz mam takie objawy.

Karina Zalewska pokiwała głową ze współczującą miną, po czym zerknęła na ekran, z którego wynikało, że w czasie poprzedniej wizyty, dokładnie miesiąc wcześniej, jej pacjentka skarżyła się dokładnie na to samo. Dwa miesiące temu zresztą też.

– A przyniosła pani wyniki gastroskopii? – zapytała, odświeżając sobie w komputerze zalecenia i skierowania, jakie ostatnio wypisała staruszce.

Ta pokręciła głową.

– A dlaczego nie? – drążyła Karina. – Zapomniała pani?

– W ogóle tego badania nie zrobiłam! – odpowiedziała niechętnie pacjentka. – Nie będzie mnie pierwszy lepszy konował patroszył jakimś szlauchem. Co to ja? Indyk? Nawet tam poszłam, ale źle mu z oczu patrzyło! Jak jakiemuś okrutnikowi!

– Komu? – zdziwiła się Zalewska, która ze zmęczenia ledwo co już kontaktowała i ze słów pacjentki zrozumiała jedynie, że ta natknęła

się w gabinecie, gdzie wykonywano gastroskopię, na sadystycznego indora, w dodatku z niedobrym wzrokiem.

– Temu doktorowi!

– Toż to uroczy człowiek – zaprotestowała odruchowo, choć sama też czasem miała wrażenie, że jej kolega wybrał medycynę tylko dlatego, aby delectować się możliwością wpychania ludziom do paszczyki rozmaitych przyrządów, co zresztą czynił z zapałem godnym hydraulika przetykającego rury kanalizacyjne. – Ale bez tego badania nigdy nie dowiemy się, w jakim stanie jest pani żołądek – wyjaśniła cierpliwie. – Musi pani je zrobić!

– Jak mi jest niedobrze, to sobie biorę ekshumisan i wszystko od razu mi przechodzi – zdradziła starsza pani.

– Espumisan – poprawiła odruchowo Karina.

– No przecież właśnie tak powiedziałam! – zachnęła się staruszka.

Zalewska wiedziała, że nie ma co się z nią kłócić.

– A zrobiła pani chociaż USG jamy brzusznej? – zapytała z rezygnacją.

– Nie. – Pacjentka ponownie pokręciła głową. – Przecież doskonale sama wiem, czego mi potrzeba. Niech mi, kochana, przepisze gazik, i tyle.

– Co mam pani przepisać? – zdumiała się Karina.

– Gazik – odpowiedziała kobieta takim tonem, jakby to było coś oczywistego. – Moja sąsiadka bierze go codziennie rano i już jej się nie hepie...

– Co nie robi?! – Zalewska pomyślała, że chyba przestaje rozumieć mowę ojczystą.

– No, nie hepie – powtórzyła starsza pani. – Zanim go zaczęła brać, to jej się hepowało nawet po kajzerce. Jak Smokowi Wawelskiemu po owieczce.

– Nie odbija. – Karina wreszcie zrozumiała. – W sensie ma zgagę? Chodzi pani o gasec? Lek na chorobę refluksową?

– No przecież od początku to mówię!

– Jasne, jasne – mruknęła lekarka, posłusznie wystukując w komputerze receptę i mając przy tym pełną świadomość, że powinna jednak nalegać na to, aby jej pacjentka wykonała choć podstawowe badania diagnostyczne. Ale tym niech się już martwi jej kolega, do którego zamierzała ją wysłać. – Wypisuję pani też skierowanie do gastrologa. Proszę koniecznie się skonsultować, tym bardziej że mnie na razie nie będzie.

– Jak to? – zaniepokoiła się staruszka, przyzwyczajona, że udaje jej się wyciągnąć od Zalewskiej receptę na każdy możliwy specyfik, łącznie z tymi przeznaczonymi do leczenia prostaty, dzięki czemu udało jej stać się najpopularniejszą lokatorką w swoim bloku, co zawsze mile łechtało jej ego. – A gdzież to, kochana, znika? Nie daj Panie, na dłużej?

– Nie, tylko na półtora tygodnia – odpowiedziała Zalewska, klikając w ikonkę „drukuj”. – Tuż po świętach wybieram się z przyjaciółmi w Tatry...

– Zakopane? – Pacjentka się skrzywiła. – Drożyzna, kicz i tyle ludzi, że można dostać pierdolca. Jeździłam tam zawsze na mikołajki z mojej świętej pamięci drugim mężem, bo lubił chodzić zimą po górach, a w dodatku miał dziwaczny sentyment do tego miasta. W ogóle nie zauważał, że górale łupią tam turystów, jakby należeli do bandy Janosika. Nasza gaździna co roku podwyższała cenę za kwaterę, a i tak lamentowała, że wynajmuje nam ją pół darmo i że w ogóle jej się to nie opłaca. Była tak skąpa, że kiedy odwiedziliśmy ją ostatni raz i mąż poprosił o jajecznicę z trzech jajek, to zrobiła mu wykład o szkodliwości cholesterolu. A gdy mimo to uparł się przy swoim, to się rozplakała i powiedziała, że przez niego jej dzieci nie dostaną prezentów pod choinkę. W restauracjach ceny tam jak u Gessler, tyle że jakość jedzenia niestety nie ta sama. Nawet za wejście do toalet trzeba z reguły wszędzie płacić. Nie zdziwię się, jeśli któregoś dnia wprowadzą opłatę za oddychanie. Tylko dudki się liczą. Dudki i dudki! I wszędzie trzeba stać w kolejkach. Straszne miejsce.

– Na szczęście nie będziemy mieszkać w samym Zakopanem, a trochę na uboczu – wyjaśniła Karina, która w sporej mierze podzielała zdanie swojej pacjentki, tyle że w tym przypadku wybór miejsca nie zależał tak do końca od niej. – W spokojnym pensjonacie. I powiem pani, że nawet za rozsądną cenę.

– To choć tyle. – Staruszka zerknęła na nią z ciekawością. – Nie wygląda pani na zbyt zadowoloną z tego wyjazdu.

– Nie, nie. – Karina uraczyła ją uspokajającym uśmiechem. – Z wyjazdu jestem. Zawsze to lepiej przywitać nowy rok ze znajomymi niż samotnie z kieliszkiem szampana i koncertem sylwestrowym w telewizji.

– Jak z koncertem, to nie samotnie, tylko z Marylką i Beatką. – Starsza pani mrugnęła do niej porozumiewawczo. – A w ogóle to dlaczego samotnie. Pani?! Taka młodziutka i ładniutka? I w dodatku mądra!

– Jak widać, żadna z tych cech nie gwarantuje szczęścia w miłości – westchnęła Karina, nie próbując już tłumaczyć, że uroda rzecz gustu, trzydzieści cztery lata to już znowu nie taka młodość, a zauroczenie się w narcyzie, który w ciągu kilkunastu tygodni zmienił się z romantycznego kochanka w rozkapryszoną primadonnę, nie świadczy najlepiej o jej inteligencji.

– Odszedł do innej? – Staruszka bez żadnych skrępowań usiłowała wkroczyć w jej sferę prywatną. – Tak...?

– Oto pani recepta. – Karina postanowiła nie kontynuować konwersacji. – Proszę brać jedną tabletkę z rana, popijać dużą ilością wody, unikać smażonego, tłustego i fast foodów. Dużo spacerować i się nie przegrzewać. Wszystkim wydaje się, że zimą trzeba chodzić zakutym jak dzieci z czworaków w „Misiu”, a tymczasem prawda jest taka, że lepiej czasem odrobinę zmarznąć niż się spocić na mrozie.

– Dziękuję. – Pacjentka skrzętnie schowała receptę w torebce, zresztą obok kilku innych, które udało jej się wydębić od Zalewskiej

chwilę wcześniej. – A co do tego kochasia, który odszedł w siną dal, to proszę pamiętać, że najlepiej załatwić sprawę według zasady klin klinem. Poza tym, jak to mówią, karma zawsze wraca. Choć ja akurat nie do końca w to wierzę i jestem zdania, że czasem nie zawadzi trochę jej w tym pomóc. Do widzenia, kochana. Widzimy się po pani powrocie! Szczęśliwego Nowego Roku!

– Nie wątpię – odpowiedziała Karina z uśmiechem. – Do widzenia. Szczęśliwego!

Kiedy staruszka opuściła jej gabinet, lekarka westchnęła, wstała z fotela i podeszła do okna, z zadowoleniem konstatuując, że do kliniki zbliża się ostatni już dzisiaj pacjent. Choć powłóczący nogami i posapujący z wysiłku siedemdziesięciolatek wyglądał tak, jakby cierpiał na wszystkie dolegliwości świata na czele z wieńcówką, podagrą i reumatyzmem, to Zalewska doskonale wiedziała, że już może zacząć wypisywać mu receptę na viagrę. I to w ilościach hurtowych. Wziąwszy pod uwagę, jak szybko starszy pan zużywał jej zapasy, Karina podejrzewała go o posiadanie gdzieś na boku niezłego haremu. I to bardzo wymagającego, bo gdy kiedyś poradziła mu życzliwie, żeby skorzystał z tańszych zamienników, które w dodatku można kupić dosłownie za grosze, jej pacjent popatrzył na nią z oburzeniem i rzekł, że musi mieć zawsze towar najwyższej próby, żeby być w szczytowej formie, bo tego się od niego oczekuje. Karina długo musiała potem zwalczać w sobie nachalne podejrzenie, że wypisuje recepty dla najstarszej na świecie męskiej prostytutki.

Starszy pan doszedł już do schodów. Zalewska wróciła do komputera. Nie zaczęła jednak wklikiwać recepty, bo nagle przypomniały jej się niedawne słowa poprzedniej pacjentki.

„Tak”, pomyślała w nagłym olśnieniu. „To prawda. Karmie trzeba czasem pomóc...”

ROZDZIAŁ II

MAREK

Siedząca vis-à-vis Marka Muszyńskiego redaktorka książek, Joanna Jackiewicz, patrzyła na niego z wyraźnym wyrzutem.

– Co się z tobą dzieje? – zapytała bardziej rozpaczliwie niż gniewnie. – Masz problemy? Przeżywasz jakiś kryzys?

– Skąd taki wniosek? – zdziwił się Marek.

– Wysnułam go na podstawie tego wiekopomnego dzieła, które dałeś mi do czytania – poinformowała go. – Nie dość, że interpunkcja to wciąż dla ciebie czysta abstrakcja i przecinkami trafiasz do celu niczym polska reprezentacja piłki nożnej do bramki na każdym Mundialu, to teraz jeszcze na dokładkę kompletnie nie potrafię zrozumieć, o co ci chodziło w fabule.

– Co jest nie tak z fabułą? – zaciekawiał się Muszyński.

– Wszystko – jęknęła Jackiewicz, po czym zerknęła na leżącą przed nią kartkę z notatkami. – Po pierwsze, twój główny bohater, Karol, wraca z zaświatów. Jakim sposobem?! Przecież dwie powieści wcześniej zmiażdżyło mu głowę!

– Serio? – zdziwił się Marek. – W ogóle tego nie pamiętam.

– Yhm – potwierdziła Joanna złowieszczo. – Poza tym, skoro już jakimś cudem go wskrzesiłeś, choć nie wiem, jak niby wypowiada

swoje kwestie, bo przecież nie posiada głowy, to powiedz mi łaskawie, co ma oznaczać jego romans z Andżeliką?

– No przecież ona jest bardzo atrakcyjna, a on bogaty...

– Ale ona jest jego córką! – Widać było, że Jackiewicz za moment zacznie sobie wyrywać włosy z głowy. – Chcesz wywołać większy skandal niż Nabokov „Lolita”?!

– Naprawdę? – Marek uśmiechnął się przepaszająco. – Jakoś mi to umknęło...

– Karolowi najwyraźniej też – mruknęła wciąż zirytowana Joanna.

– Nie mówiąc już o tym, że Leszek nie może mu odbić Andżeliki...

– Dlaczego?

– Bo jest jej bratem ciotecznym?! – warknęła z coraz większą złością Joanna. – I gejem?! Przypominam ci, że w poprzednim tomie przespał się z połową seminarium duchownego. Swoją drogą dziwię się, że jeszcze nikt cię nie pogonił z widłami za takie herezje.

– Co ty powiesz...? – westchnął Marek. – O tym też zapomniałem. Mógł się przecież zmienić. To się zdarza. Mój dziadek też pod koniec życia odkrył, że zamiast babci woli młodych Holendrów. Choć z drugiej strony, babcia miała większe wąsy od niego, więc może był świadomy swoich preferencji przez całe życie. A co do pierwszej kwestii, to przecież brat cioteczny to jest jakieś dalekie pokrewieństwo...

– Dalekie pokrewieństwo to byłby stryjeczny wuj szwagra jej drugiego męża. – Joanna nie mogła się powstrzymać przed nawiązaniem do swojej ulubionej komedii „Kogel-mogel”. – A ty stworzyłeś nie thriller erotyczny, tylko grecką tragedię! Cud, że na samym końcu Leszek nie zabija Karola, a następnie nie wyłupia sobie oczu i nie rzuca się ze skały.

– Przesadzasz...

– Ja?! – Joanna znów wydała z siebie jęk, tym razem jednak bardziej rozpacz niż wściekłości. – Do kompletu w tej książce brakuje jeszcze tylko chóru, wykonującego stasimony na końcu

każdego rozdziału. Czy ty na coś chorujesz? Albo masz załamanie nerwowe? Ewentualnie zdiagnozowaną demencję? Bo nic innego nie tłumaczy tego, co właśnie mi oddałeś do redakcji!

– Mogę nie być tak do końca w formie – przyznał niechętnie Muszyński – ale przecież jakoś to wygładzisz, prawda? Jak zawsze.

– W tym wypadku chyba napiszę od początku – westchnęła Joanna bezradnie. – Nie chcę cię martwić, ale to jest naprawdę do bani. Już nie będę cię dobijać szczegółami, ale w prologu masz scenę morderstwa, popełnionego w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku, gdzie zabójca czatuje na ofiarę w bramie Zamku Królewskiego.

– No i...?

– Wtedy jeszcze nie było Zamku. Nawet nie zaczęli go odbudowywać! Twój morderca czatuje w bramie widmo!

– Wydawało mi się... – zaczął Marek, ale Joanna nie dała mu dokończyć.

– No właśnie, wydawało ci się! – wykrzyknęła z wyrzutem. – W tej książce wiele rzeczy ci się wydawało! Zbyt wiele! – Przez chwilę milczała, najwyraźniej opanowując nerwy. – To teraz, proszę. Wytlumacz się! Ja, oczywiście, wszystko to poprawię i wygładzę, ale chciałabym wiedzieć, z jakiego powodu mam się tyle narobić. Co takiego wydarzyło się w twoim życiu, że jesteś aż tak nieprzytomny?

Marek przez moment wyraźnie wahał się z odpowiedzią.

– Zakochałem się – wyznał w końcu niechętnie.

– Uuuuu... – Joanna spojrzała na niego badawczo, a widząc, że nie stroi sobie z niej żartów, rzekła: – Gratulować czy współczuć?

– No właśnie sam nie wiem – westchnął Muszyński. – To dziwna sytuacja. Ona niby kogoś ma, ale nie jest z nim szczęśliwa.

– A z tobą jest?

– Tak twierdzi...

– Więc w czym problem?

– To skomplikowane...

– Nie mów mi o statusie na Facebooku, tylko wytłumacz, o co chodzi. Jak normalny człowiek, którym co prawda nie jesteś, ale możesz przynajmniej poudawać...

– Ten jej ktoś jest bardzo zaborczy. I nieobliczalny. Ona się boi, że gdy ten facet dowie się o naszej relacji, to zareaguje dość gwałtownie...

– To znaczy co? Obije ci tego twojego pięknego ryjka?

– Nie wiem. Być może. W każdym razie musimy trzymać nasze spotkania w największej tajemnicy. Trochę mnie to przygnębia, bo chciałbym być z nią przez całą dobę, pokazać ją światu, poznać z moimi przyjaciółmi, znajomymi. Z tobą!

– To miło, że nie zaliczasz mnie ani do przyjaciół, ani do znajomych.

– Joanna, widząc zmieszanie Muszyńskiego, lekko się uśmiechnęła. – Spokojnie... Wiem, że eks to taka kategoria z cyklu „ni pies, ni wydra”.

– Nie o to chodzi... – Marek z zawstydzienia aż zrobił się lekko czerwony na twarzy. – Wiesz, że nadal cię kocham. Tylko w inny sposób.

– Jak rodzoną siostrę – zaśmiała się szczerze Joanna. – Tak, wiem. Co nie zmienia faktu, że miłość wyraźnie cię ogłupiła. I w ogóle wydajesz się ostatnio jakiś taki inny.

– Inny? – Marek nie bardzo zrozumiał.

– Tak. – Joanna przyjrzała mu się uważnie. – Coś się w tobie zmieniło...

– Może wreszcie dorastam. – Uśmiechnął się. – Widzisz? Zawsze twierdziłaś, że to nigdy nie nastąpi, a tu proszę...

Joanna nadal wpatrywała się w niego ze zmarszczonym czołem.

– Już przestań! – zażądał stanowczo Muszyński. – Lepiej wymyśl ze mną jakiś żart.

– Jaki znowu żart?

– Widzisz, za parę dni wyjeżdżam ze znajomymi na krótki wypad w góry – wyjaśnił Marek z miną, która wskazywała na to, że owa

podróż nie należy do kategorii wymarzonych. – Kiedyś byliśmy zgraną paczką. W czasach licealnych.

– Czyli przed drugą wojną światową? – zapytała niewinnie Joanna.

– Hę, hę, bardzo zabawne. – Muszyński wykrzywił twarz w ironicznym grymasie. – Przypominam ci, że jesteś tylko o dwa lata ode mnie młodsza, więc nie masz co się tak wyzłośliwiać... Tak czy siak, w tamtych czasach zaczęliśmy robić sobie kawały. Czasem to były takie małe, niewinne rzeczy, jak podłożenie „pierzioszka” pod tyłek, kiedy ktoś siadał przy stole...

– Bardzo dojrzałe...

– No weź, mieliśmy wtedy po szesnaście, siedemnaście lat.. Choć...

– Marek zamyślił się na chwilę. – Dziewczyny śmieszyło to zdecydowanie mniej. Może faktycznie płęć piękna szybciej dojrzewa. Nieważne. W każdym razie z czasem z żarcików zaczęły nam się robić całe zaplanowane akcje wkręcania się nawzajem. Nie zapomnę, jak Lucjusz, który miał z nas najbardziej szalone pomysły, nabrał nas, że pali się chata, w której śpimy. To było tak realistyczne, że aż do dzisiaj pamiętam panikę, w jaką wpadłem, czując dym i widząc płomienie za oknem.

– Jak to zrobił?

– Podpalił gałęzie na trzech taczkach. A właściwie nie on, tylko syn gospodarzy tej chaty. To było w tym najlepsze, że sam Lucjusz spał wtedy razem z nami. Z czasem te nasze kawały zaczęły się już robić nudne, a poza tym coraz mniej nas śmieszyły, więc umówiliśmy się, że ograniczymy je tylko do wspólnych wyjazdów. Tyle że wyjechaliśmy razem jeszcze dwa, trzy razy, i tyle. Każdy z nas zaczął mieć swoje własne dorosłe życie. Teraz Lucjusz przypominał nam, że mamy piętnastą rocznicę wspólnego wypadu. I postanowiliśmy zrobić taki zlot naszej klasy. To znaczy naszej szóstki. I przy okazji odświeżyć stary zwyczaj robienia sobie kawałów. Wydaje mi się jednak, że trochę już z tego wyrosłem, bo nic mi nie przychodzi do głowy. A wiesz, to rocznica, więc powinienem wymyślić coś spektakularnego.

- Dokąd się wybieracie?
- Do Zakopanego.
- Uuuuu... – Joanna się skrzywiła.
- No wiem. – Marek dał jej znać wymownym spojrzeniem, że w pełni zgadza się z wyrażoną tą jedną samogłoską negatywną opinią. – Ale to właśnie tam pojechaliśmy na nasz pierwszy wspólny wypad i jakoś tak było dla wszystkich oczywiste, że musimy tam wrócić, żeby uczcić ten jubileusz.
- To może ustalcie, że najlepszym dowcipem będzie jego brak – zaproponowała Jackiewicz. – Co innego, jak sztubackie żarty robią osoby młode, a co innego, jak takie w średnim wieku.
- Najgorsze, że ja w sumie nadal czuję się, jakbym był nastolatkiem – westchnął Marek.
- Tia, i nawet piszesz jak nastolatek. W dodatku niedouczony. Ubijmy interes. Ty przez najbliższe godziny popracujesz ze mną nad tym tworem, który w przypiływie fantazji nazwałeś swoją nową powieścią, a ja w zamian pomogę ci wymyślić dowcip, który wyrwie twoich znajomych z kapci. Umowa stoi?
- Stoi. – Muszyński kiwnął głową.
- W takim razie bierzmy się do roboty...

ROZDZIAŁ III

OLGA

Dwie stojące za fotografem dziewiętnastolatki obserwowały z nieskrywaną zazdrością sporo od nich starszą, ale i znacznie atrakcyjniejszą kobietę, przybierającą kolejne wystudiowane pozy na tle przedstawiającym widok z wieży Eiffela.

– Może i ma sto lat, ale nadal jest seksowna – przyznała niechętnie jedna z nich.

– I nie ma ani milimetra cellulitu – dodała z nutką podziwu druga.

– Mnie wystarczy jedna frytka, żebym po paru dniach musiała lecieć na laser...

– Mnie załatwia alkohol, nawet kropelka – westchnęła z żalem pierwsza – od razu mam pryszczę. A podobno ta nie wylewa za kołnierz. Kumpel opowiadał, że gdy imprezował z nią po pokazie Przybylskiego, to miała takie tempo, że w pewnym momencie zaczął się obawiać, czy nie trzeba będzie lecieć do „Żabki” po napitki, bo ona sama obali wszystko, co jest za darmochem w barze dla VIP-ów.

– Podobno jeść też lubi – zauważyła druga. – Izka widziała ją na mieście, jak jadła pizzę! – To ostatnie słowo wypowiedziała z taką grozą, jakby ich starsza koleżanka po fachu została przyłapana co najmniej na spożywaniu kanapki z grillowaną chihuahua.

– Żartujesz?! – Pierwsza aż się zachłysnęła z wrażenia, po czym zmierzyła krytycznym wzrokiem wciąż niestrudzenie pozującą modelkę. – Ona musi mieć chyba podpisany jakiś pakt z diabłem. Alko, pizza, PESEL i wygląda taaaaaak?! To niesprawiedliwe!

– Geny – mruknął fotograf, z rozbawieniem przysłuchujący się ich szeptanej wymianie opinii. – I dużo seksu! Prawda, Olga?

– Seeeeksu. – Pierwsza z dziewczyn się skrzywiła. – Fuuuu...

– Jeśli to naprawdę kwestia genów, to przegrałam na starcie – zmartwiła się druga. – Mój ojciec wygląda jak salceson królewski, a matka jak odrzut z „Moje życie XXL”.

– Co tam mówisz, Czareczku? – zaciekawiała się Olga Lubiecka.

– Daję dobre rady twoim potencjalnym następczyniom – roześmiał się fotograf. – Jesteś dla nich niedoścignionym ideałem, mimo że według tego, co udało mi się podsłuchać, jesz jak tucznik i popadasz w alkoholizm.

– Żeby tylko! – parsknęła Olga, odrzucając z oczu, nieco tego dnia niesforną blond grzywkę. – Nie zapominaj, że jeszcze sypiam z kim popadnie, i to w większości za kasę, choruję na bulimię i anoreksję naraz, miałam tak mniej więcej dwieście poważnych operacji plastycznych i właściwie jedyne, co jest we mnie naturalne, to pypeć na brodzie, który nota bene zdaniem większości mogłabym sobie wreszcie usunąć. No i mam fatalny charakter. Wszyscy fotografowie i projektanci, którzy kiedykolwiek mieli ze mną do czynienia, choćby tylko przechodząc obok mnie na ulicy, teraz zmuszeni są wydawać fortunę na psychoterapię albo kupować szamańskie bębenki u Tamary Gonzalez, żeby wystukiwać sobie na nich uspokajające mantry.

– Jakoś nie odczuwam żadnej z tych potrzeb – zapewnił Cezary.

– Daj mi jeszcze trochę czasu. – Olga mrugnęła do niego porozumiewawczo. – To co? Mamy to? Jestem już wolna?

– Oczywiście. Byłaś jak zwykle fantastyczna. – Fotograf wykonał pełen rewerencji gest. – Bardzo dziękuję. Chyba zrobię sobie chwilę

przerwy, zanim zacznę cokolwiek z tymi świeżynkami. Chodźmy do garderoby. Muszę się znieczulić. Graża! – zawołał w kierunku gapiącej się w swój smartfon makijażystki. – Weź je jeszcze jakoś podmaluj, bo przecież jedna wygląda jak po szkarlatynie, a druga, jakby ją ktoś zatrzasnął w solarium. Zrób coś z nimi! Oślepiłaś czy co?

Dwie czekające na swoją kolej dziewczyny lekko zatkało. Cezary wykorzystał ów fakt, ujął pod rękę Olę i szybko wyszedł z nią ze studia.

– Czasem myślę, że jestem już na to za stary – westchnął, kiedy znaleźli się w garderobie, po czym wyjął zza pazuchy paczuszkę z białym proszkiem i kartę kredytową. Wysypał zawartość paczuszki na stolik, podzielił kartą na kilka kresek i spojrzał porozumiewawczo na Olę. – Chcesz? – zapytał, nachylając się i wciągając pierwszą kreskę. – Niezły towar. Dostałem w prezencie od jakiegoś Hansa czy tam innego Mansa, który mnie przeleciał wczoraj w nocy.

– Nie, dziękuję. – Lubiecka pokręciła głową. – Wiesz przecież, że skończyłam z tym dawno temu.

– Tylko mi nie mów, że zamierzasz teraz przeżuwać ekokielki pszenicy jak jakaś krowa na łące – Cezary wciągnął drugą kreskę – i spazmować za każdym razem, kiedy na sesji pojawi się coś pochodzenia zwierzęcego, a nie będzie żywe. Wczoraj robiłem zdjęcia jednej takiej ekowariatce. Po godzinie miałem ochotę zrobić sobie torbę z jej skóry.

– Nie, spokojnie – zapewniła go Olga. – Po prostu chciałabym mieć dziecko, więc próbuję doprowadzić swój organizm do jak największego porządku.

– Dziecko? – Fotograf wytarł nos i popatrzył na nią z ciekawością. – A masz już kandydata na ojca? Bo ostatnio chyba byłaś na etapie zaliczania jednorazówek z Tindera. Coś się zmieniło?

– Chyba obudziły się moje hormony – zaśmiała się Olga. – A tak serio, to nie chcę być starą matką. Moja urodziła mnie, jak miała dwadzieścia siedem lat i zawsze miałyśmy rewelacyjny kontakt.

Większy niż moje kumpele, które przyszły na świat, gdy ich matki były grubo po trzydziestce albo nawet przed czterdziestką. Za duża przepaść wiekowa. Mam wrażenie, że u mnie to już ostatni dzwonek, żeby potem mieć nie tylko córkę albo syna, ale też dobrą przyjaciółkę albo przyjaciela.

– Nadal nie usłyszałem ani słowa o ojcu...

– Jest pewien kandydat... – przyznała niechętnie. – Tylko nie wiem, jak mu powiedzieć, że potrzebuję go jedynie w tym celu i że potem może się ulotnić. Nie nadaję się na żonę.

– Chcesz wychować dziecko sama?! – Cezary gwizdnął przeciągle. – Odważne! Jesteś pewna, że dasz radę?

– Pewności nie ma się nigdy, ale zarabiam nieźle, rozkręciłam całkiem dobrze prosperującą firmę, więc nawet bez kontraktów reklamowych dam sobie radę i ewentualnie stać mnie będzie na jakąś pomoc. Chcę to zrobić. I uważam, że to najlepszy czas.

– Będę ci dzielnie sekundował – obiecał fotograf. – Wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć. No dobra... Idę do tych pokrak. Zanim je ustawię, będzie północ. Powiem ci, że albo ja się starzeję, albo te młode laski są coraz mniej przygotowane do tego, co robią. Kiedyś fakt, że przychodziłaś z agencji Kiki Star, był rękojmią, że przynajmniej będziesz znała podstawy tego zawodu. A teraz... Nie dość, że żadna z nich nie umie zagrać przed aparatem, to jeszcze wszystkie o byle co się nadymają i uważają, że są jak Cara Delevingne. Ech... To heja! Widzimy się za tydzień na pokazie Kupisza?

– Nie. – Olga pokręciła głową. – Wyjeżdżam ze znajomymi do Zakopanego.

– Brzmi lamersko. Musisz?

– To moja stara paczka z liceum. – Nie widzieliśmy się kopę lat i powiem ci, że nawet trochę się za nimi stęskniłam. Kiedyś się nieźle bawiliśmy.

– Balety i te rzeczy...? – Cezary wykonał kilka znaczących i zdaniem Lubieckiej mocno odrażających ruchów.

– Nie. Zwykle wypadły. Przyjacielskie. Bez podtekstów. Tyle że robiliśmy sobie na nich rozmaite pranki...

– Co robiliście? – zdziwił się fotograf.

– Pranki, od angielskiego, *pranks* – wyjaśniła Lubiecka. – W sumie to nie wiem, czy można to jakoś spolszczyć... Takie głupie kawały.

– Aaaaa... Kapuję! Coś à la rzeźba, która nagle ożywa? Albo kieliszek, który ma taką nalaną wódkę, że nie możesz jej wypić? – zaciekawiał się Cezary. – Ewentualnie sztuczny wąż podrzucony komuś do łóżka?

– Dzięki, właśnie poddałeś mi pod rozwagę kilka całkiem fajnych pomysłów – zaśmiała się Olga. – Coś w takim stylu. Tyle że czasami robiliśmy to z większym rozmachem.

– Czyli?

– Tak bardziej... widowisko. O tak, to najlepsze słowo. Miałam w tym całkiem niezłe osiągnięcia. Pamiętam, jak Marek Muszyński... Pewnie znasz?

– Pisarz, prawda? – upewnił się Cezary.

– Dokładnie. Więc Marek któregoś razu narzekał na ból ucha przed wyjazdem. Wiedzieliśmy, że tak łatwo mu nie przejdzie, a poza wszystkim on jest strasznym hipochondrykiem. Więc po dwóch dniach wieczorem dosypałam mu do piwa środek nasenny. Padł przy stole, a ja wezwałam znajomych, którzy go przewieźli do swojej prywatnej kliniki i tam popodłączali pod różne aparatury, a gdy się obudził, to mu powiedzieli, że ma jakiś syndrom czegoś tam i lepiej, żeby się z nami wszystkimi zawczasu pożegnał, bo co prawda wezwali już profesora z Krakowa, ale może nie zdążyć dojechać...

– I co? – Cezary wydał pogardliwie wargi. – Dał się nabrać?

– Hipochondrycy zawsze nabiorą się na wszystko, co dotyczy ich zdrowia – wyjaśniła z politowaniem Olga – a tu jeszcze dochodziła cała otoczka. Ludzie w kitlach, sala, sprzęt, kroplówka...

- Nie zabił cię potem?
- No co ty – zaśmiała się Lubiecka. – Kiedy okazało się, że to tylko dowcip, był tak uradowany, że miał ochotę wszystkich ucałować. Jak to powiedział: dostał drugie życie.
- Ilu ludzi tam jedzie?
- Sześcioro. Trzy babki, trzech facetów.
- I każdy musi przygotować taki żart?
- Teoretycznie można to zrobić w parze z kimś. Ale praktycznie każdy z nas zawsze chciał się popisać solo. Tylko Mario i Miśka z reguły kombinowali coś we dwoje.
- To ci od agencji „360 stopni”?
- Tak. A co? Znasz ich?
- A kto ich nie zna! – prychnął Cezary. – Najlepsza agencja eventowa w mieście. O ile nie w kraju. Parę miesięcy temu uratowali pokaz Zosi Gałczyńskiej, kiedy uparła się zrobić kolekcję ubrań z poliestru. Okazało się, że w hali, w której ma się odbyć impreza, wysiadła klimatyzacja i wewnątrz dość szybko zaczęło się kojarzyć z wnętrzem stoczni hutniczej. Modele i modelki już na próbach wychodzili zlni potem, Zosia dostała ataku hysterii i szłochała w kącie w poliestrową chusteczkę do nosa własnej produkcji, a przygłupia asystentka Mario zaproponowała, żeby przemianować nazwę kolekcji z „Plastic Fantastic” na „Zmokła kura 24”. I wtedy Mario i Miśka wpadli na pomysł, żeby wykorzystać helikopter.
- Co?!
- Helikopter – powtórzył Cezary. – Przyleciał przed halę, otworzono wrota, wszędzie rozsypało tyle kostek lodu i wylano tyle zimnej wody, ile się dało. Zrobił się z tego lodowaty przewiew i na trzy godziny starczyło. A po trzech godzinach pocili się już tylko goście, a nie modelki na wybiegu.
- Nie łatwiej było im załatwić klimatyzatory?
- To się odbywało w hangarze na Bemowie. Blisko lotniska. Helikopter był pod ręką, a klimatyzatory daleko.

– No tak... Choć na naszych wyjazdach to właśnie Mario i Miśka zawsze wymyślali najślabsze żarty. Jemu się nie chciało, a i ona zawsze była leniwa. Może teraz im się zmieniło. Zobaczymy. Tym niemniej dziękuję ci jeszcze raz. Zainspirowałeś mnie.

– Zawsze do usług. – Cezary chciał już wyjść, kiedy nagle spojrzał na Olgę i lekko zmarszczył brwi. – Ty zawsze miałaś ten pieprzyk po lewej stronie brody?

– Słucham? – Lubiecka popatrzyła na niego jak na wariata, po czym przejechała kciukiem i palcem wskazującym lewej ręki po dolnej części swojej twarzy. – Oczywiście! Nie sądzisz chyba, że sam przeszedł na inną stronę, bo mu się znudziło na tamtej?

– Dziwne... – mruknął fotograf.

– Więcej wciągaj, a niedługo zobaczysz, że wyrósł mi złoty róg na czole i elfie uszy – poradziła mu z politowaniem Olga. – A teraz już spadaj, bo młodź czeka!

– Dobra, dobra... Do zobaczenia! – Cezary zamknął za sobą drzwi.

Olga jeszcze przez chwilę patrzyła na miejsce, gdzie poprzednio stał, po czym powoli odwróciła się na krześle i spojrzała w znajdujące się przed nią lustro.

– Kurwa mać... – westchnęła, kręcąc głową i przyglądając się swojemu odbiciu. – Totalny kanał.

ROZDZIAŁ IV

LUCJUSZ

Zażywna blondynka w wieku na oko oscylującym wokół czterdziestki z rozmachem miotała znajdującymi się przed nią papierami.

– Najważniejsze ma pan już za sobą – mówiła z energią, wskazującą, że właśnie znalazła się w swoim żywiole. – CEIDG-1 pan złożył, więc teraz już zostały tylko drobiazgi, czyli formularze załączników do wniosku głównego. Będzie je pan musiał podpisać za pomocą profilu zaufanego lub kwalifikowanego. Jaki pan ma?

– Co mam? – Lucjusz Kędziak, który przestał jej słuchać mniej więcej kwadrans wcześniej, kiedy to zaczęła instruować go, co trzeba będzie załatwić w ZUS-ie, spojrzał na nią półprzytomnie.

– Profil zaufany czy kwalifikowany?

– Zaufany – odpowiedział, co prawda nie mając pojęcia, czy faktycznie coś takiego posiada, ale bardzo chcąc już wyjść z biura i zniknąć z oczu kobiecie, która jego zdaniem nie była człowiekiem, a cyborgiem. Ewentualnie sztuczną inteligencją.

– Może pan też złożyć je osobiście, to wtedy podpisze je pan odręcznie w urzędzie – poinstruowała go litościwie blondynka, podskórnie wyczuwając, że jej rozmówca kompletnie nie zna się na żadnym z gąszczu cudownych przepisów prawnych, którymi

ministerialni biurokraci ubarwiają życie przeciętnego człowieka i dbają, żeby nie było mu zbyt nudno. – Zacznijmy od CEIDG-PN. Za pomocą tego dokumentu zgłasza pan swoich pełnomocników. Ma pan jakichś?

– Nie.

– To na razie to odkładamy. Za pomocą CEIDG-RD informuje pan urząd o dodatkowych kodach PKD, a CEIDG-MW wypełnia, jeśli ma więcej niż jedno dodatkowe miejsce prowadzenia działalności. Co do zasady musi pan wprowadzić każdą lokalizację, w której wykonuje czynności związane z firmą. No i koniecznie wypełnić CEIDG-RB, bo z tego, co wiem, ma pan więcej niż jeden rachunek bankowy. Pod każdą z sekcji do wpisania rachunku ma pan checkbox. Trzeba tam coś zaznaczyć i wtedy na ten wybrany punkt otrzyma pan zwrot podatku. Teraz omówimy jeszcze CEIDG-SC, CEIDG-ZS, gdyby pan zszedł w trakcie prowadzenia firmy, no i oczywiście CEIDG-POPR, który jest połączony głównie z CEIDG-1 oraz CEIDG MW... – kontynuowała radośnie, doznając wewnętrznego orgazmu na widok coraz bardziej głupiejącego oblicza Lucjusza.

Ten z kolei, widząc rozanielony wyraz twarzy blondynki, lekko się zaniepokoił, czy aby nie jest ona chora psychicznie. Zachwyty nad jakimiś kompletnie tajnymi szyframi wojennymi wyraźnie jego zdaniem na to wskazywał.

– A musimy to koniecznie zrobić dzisiaj? – zapytał, na wszelki wypadek siląc się na miły uśmiech, żeby nie zdenerwować wariatki, która w rozdrażnieniu mogłaby zareagować jakoś gwałtownie. Na przykład wbić mu w tętnicę szyjną dzierzony w dłoni długopis.

– Jak pan chce. – Twarz jego rozmówczyni stężała. – Ja to tłumaczę dla pana dobra, żeby się pan potem nie pogubił i nie musiał do mnie wydzwaniać dziesiątki razy.

– Kiedy to dla mnie ogromna przyjemność – zapewnił szybko Lucjusz. – Pani jest zawsze taka miła. I kompetentna!

Z zachowania blondynki, która spiekła raka i spuściła skromnie oczy, wyczytał, że ją udobruchał. Doprawdy, tym wszystkim kobietom tak mało trzeba do szczęścia.

Lucjusz doskonale wiedział, że większość płci pięknej ma do niego słabość i przez lata nauczył się wykorzystywać to bez żadnego pardonu i najmniejszych wyrzutów sumienia. Traktował kobiety jako szczebelki, ułatwiające mu zdobycie celu. Przy czym tym ostatnim mogło być zarówno załatwienie czegoś bez kolejki, zdobycie informacji, które powinny zostać tajne, jak i zwykły podryw. Wysoki, wysportowany, seksowny, a do tego inteligentny i wygadany Kędziak plasował się w dziedzinie męskiej atrakcyjności zdecydowanie powyżej średniej krajowej, wyznaczanej przez białe skarpetki do czarnych kłapek, przepocony T-shirt z logiem jakiegoś pierdzącego kurzem metalowego zespołu popularnego trzy dekady temu, ewentualnie grubego srebrnego łańcucha opasającego brudną szyję.

Oczywiście, jak każdy na tym pełnym wypaczeń padole, Lucjan miał też kilka wad. Największą z nich było to, że szybko się wszystkim nudził i z reguły w każdej kwestii wykazywał słomiany zapal. Mieszkania zmieniał co dwa lata, samochody co roku, hobby co kilka miesięcy, a partnerki życiowe nawet co parę dni. Przez długi czas wydawało się, że jedynym stałym punktem w jego życiu będzie piłka nożna, którą trenował od podstawówki i w której zabrął aż do reprezentacji narodowej oraz kilku kultowych drużyn europejskich, po drodze zyskując popularność i lukratywne kontrakty reklamowe, ale ostatecznie i tym się wreszcie znudził.

Udawszy się kilka miesięcy wcześniej na sportową emeryturę, szybko doszedł do wniosku, że siedzenie w domu i wydawanie zarobionej fortuny na zakupy w aplikacjach internetowych też go nie bawi, i wpadł na pomysł założenia własnej szkoły sportowej. A konkretnie futbolowej, skrzętnie przy tym licząc, że skoro Madonna przeprowadziła się swego czasu do Portugalii tylko dlatego, że jej syn

chciał się uczyć kopania piłki w szkółce Cristiana Ronaldo, to może jemu samemu uda się przyciągnąć do Polski swoją ulubioną gwiazdę, Angelinę Jolie, która ze swoich adoptowanych dzieci mogłaby mu stworzyć więcej niż pół drużyny. Mówiąc zaś poważnie, Kędziak złapał się na tym, że z niedorosłymi znajduje wspólny język o wiele łatwiej niż z tymi, którzy mają już prawo wyborcze. Jedyne, czego nie wziął pod uwagę, to faktu, że to właśnie z tymi ostatnimi będzie musiał przejść przez całe piekło, jakim w naszym przyjaznym przedsiębiorcom kraju jest założenie własnej firmy. Wykończony papierologią i nieco przerażony tym, że czego nie ściągną z niego ZUS i NFZ, to zabierze skarbówka, mimo wszystko zapał się w sobie i postanowił za wszelką cenę wcielić swoje marzenie w życie.

Po kilku tygodniach wizyt w rozmaitych biurach i firmach, bo do spraw urzędowych doszedł mu jeszcze remont pomieszczeń przeznaczonych na treningi, tudzież wybudowanie boiska, czuł się tak wyczerpany, że kiedy przez zupełny przypadek uświadomił sobie, że za dwa tygodnie minie piętnaście lat od pierwszego wypadu z przyjaciółmi z liceum do Zakopanego, postanowił szybko to wykorzystać. Kilka rozmów z dawnymi kumplami sprawiło, że dwa dni później zarezerwował trzy pokoje w pensjonacie „Pod Śnieżycą”, należącym do Wincentego Staszeczka, który jako wielki fan piłki nożnej dał mu tak ogromną zniżkę, że aż Lucjuszowi zrobiło się trochę głupio. Ucieszył się więc, kiedy góral poprosił go o przysługę, a mianowicie zabranie przy okazji ze stolicy do Zakopanego swojej córki. Zważywszy na fakt, że pozostali postanowili dojechać na miejsce własnymi pojazdami, miejsca w swoim land roverze miał od groma i ciut, ciut.

Została jeszcze ostatnia kwestia. Coś, co sam przed laty wymyślił w ramach walki z nudą i co za czasów młodości doprowadził do perfekcji. Żart. Gorzej, że teraz, kiedy nie nosiły go już młodzieńcza fantazja i temperament, wymyślanie dowcipu, który miałby najpierw zaskoczyć albo przestraszyć jego znajomych, aby potem można się było

z niego pośmiać, nie przychodziło mu wcale tak łatwo. Tym bardziej że nie chciał kopiować swoich pomysłów sprzed lat. Wziąwszy zaś pod uwagę, że wtedy wykorzystał ogień, wodę, postaci z horrorów, klauny, zwierzęta, samochody, a nawet samolot, to doprawdy trudno mu było wpaść teraz na to, czym przebije poprzednie osiągnięcia. A przecież jako ojciec chrzestny tych igraszek musiał pokazać klasę!

Kędziak dumał i dumał, ale jakoś nic nie przychodziło mu do głowy. Także tego wieczora rozstawszy się w końcu z blond specjalistką od spraw zusowskich i im podobnych, próbował się skupić na wymyśleniu jakiejś blagi na poziomie. Jednakże blondyna tak go wyczerpała intelektualnie i ogłupiła biurwomową, że nie był się w stanie w ogóle skupić, o wykombinowaniu czegokolwiek śmiesznego nie wspominając. Dopiero tuż przed północą, gdy zażywał aromaterapeutycznej odprężającej kąpieli, doznał wreszcie objawienia. W wyniku owego wyskoczył z wanny i pobiegł do salonu, w którym zostawił smartfon. Wykręcił znajomy numer i czekając, aż ktoś po drugiej stronie odbierze, uświadomił sobie, że stoi pośrodku całkiem niezłe oświetlonego pomieszczenia nagi i ociekający pianą, a z apartamentowca vis-à-vis patrzy na niego zdumionym wzrokiem całkiem atrakcyjna brunetka. Uśmiechnął się do niej i bez cienia zażenowania szarmancko ukłonił.

– Tak... – usłyszał w tej samej sekundzie w słuchawce. – Czemu budzisz mnie w środku nocy?

– To nie środek, tylko co najwyżej początek – pouczył swojego rozmówcę. – Słuchaj, mam pewien pomysł i chciałbym go z tobą obgadać...

– Ale o dwunastej w nocy? – jęknął mężczyzna po drugiej stronie.

– Ja ci z grubsza nakreślę plan, a ty mi powiesz, czy mamy szansę go zrealizować...

– Ale o dwunastej w nocy?! – usłyszał po drugiej stronie jak mantrę, ale nie wzbudziło to w nim ani grama litości.

– Słuchaj, ten gospodarz, którego mi poleciłeś w Zakopanem, to jakiś fajny gość?

– Nie poleciłbym ci nefajnego...

– W takim razie... – W kilku zdaniach streścił to, na co wpadł kilka minut wcześniej. – Myślisz, że się zgodzi?

– Myślę, że tak – usłyszał w odpowiedzi. – Ale błagam, zadzwoń jutro i powtórz mi to wszystko jeszcze raz. Tylko nie o dwunastej w nocy.

– Jasne – obiecał Lucjusz. – Do jutra! – Rozłączył się, po czym spojrzał, czy brunetka ciągle jeszcze go obserwuje. Odnotowawszy z zadowoleniem, że nadal jest obiektem jej zainteresowania, wykonał zapraszający gest, a następnie nakreślił w powietrzu numer swojego apartamentu.

Noc zapowiadała się rozkosznie.

I taka właśnie była.

ROZDZIAŁ V

MARIO I MIŚKA

Choć przez lata ich przyjaźni Dominika Szustek wykonała ogromną pracę nad sobą i ostatecznie zaakceptowała fakt, że Mario ubiera się całkiem tak jak jej ciotka, która po wylewie straciła częściowo zdolność rozróżniania kolorów i z uporem maniaka łączyła pomarańczowy z niebieskim, to tym razem doszła do wniosku, że wszystko ma swoje granice.

– Mógłbyś mi wyjaśnić, co ty na siebie nadzielesz? – zapytała, patrząc na swojego druha z rozpaczą w oczach. – Co to niby ma być? Hołd dla żółtego sera?

– To jest, moja droga, najnowsze dzieło naszego ulubionego Olympusa – wyjaśnił Mario, przeglądając się z zadowoleniem w zajmującym pół ściany jego gabinetu lustrze. – Zapowiedź kolekcji: „Promień słońca”. Będziemy robili jej pokaz w marcu.

– Ale dlaczego to... coś... – Miśka nie umiała nawet zawyrokować, czy Kosek ma na sobie marynarkę, kurtkę czy damski żakiet. Przy czym to ostatnie wydało jej się najbardziej prawdopodobne, zważywszy na fakt, że na niedawną imprezę wcisnął się w damski gorset i w dodatku prezentował się w nim absolutnie fantastycznie. Prawie jak w podobnym outficie lider jej ulubionej rockowej kapeli

Mäneskin, Damiano David – ...przypomina goudę, do której dorwały się myszy?

– Bo to jest oversizowy pulower w kolorze cytrynowym – odpowiedział Mario, siadając na fotelu – a wytarcia i dziury, jakbyś tego nie zauważyła, układają się w konstelację planet.

– Nie zauważyłam – przyznała Miśka. – Dla mnie nie układają się w nic. Za to na dole przebija ci spod tego srebrna guma od majtaliasów i wygląda tak, jakby ta gouda zaczynała pleśnieć.

– Co racja, to racja – westchnął Mario. – Trzeba będzie znaleźć gdzieś cytrynowe gatki.

– Moim zdaniem przebywanie z Iwką zaczyna ci się rzucać na mózg – zawyrokowała Miśka.

Iwka była ich wspólną asystentką, choć z niewiadomych przyczyn z jej usług korzystał głównie Mario. Choć słowo „usług” należało w tym przypadku traktować czysto lingwistycznie, Iwka nigdy bowiem nie robiła tego, o co ją się poprosiło, a swoje obowiązki służbowe uważała za, jak to sama kiedyś określiła, „takie tam wskazówki, co ma robić”.

Asystentka słynęła też z tak bardzo oryginalnych kreacji, że istniało niebezpieczeństwo, że kiedyś za sam wygląd jakiś patrol zakuta ją w kaftan bezpieczeństwa i odwiezie prosto do Tworek. Dzisiaj na przykład ubrana była w rozpadające się z lekka czarne trepy na dziesięciocentymetrowym słupku, spodnie sindbadki w kolorze khaki, białą satynową bluzkę z wydatnym żabotem i wełniany kubraczek w różnych odcieniach czerwonego. Ukoronowaniem tej kreacji był różowy monokl i złoty melonik.

– Jeśli ścigacie się, kto będzie wyglądał bardziej idiotycznie, to dzisiaj jest jeden zero dla ciebie. – Szustek skwitowała z sarkazmem wygląd współnika.

– Oj, już przestań już gęgać. – Mario zmierzył ją złym spojrzeniem i najwyraźniej chciał wygłosić jakąś złośliwą uwagę na temat jej stroju, ale wrodzone poczucie sprawiedliwości nie pozwoliło mu tego

uczynić, bo też i Miśka w starannie dopasowanym do swojej nieco zaokrąglonej figury, bordowym kostiumie, czarnej bluzce i błyszczących szpilkach prezentowała się jak z kart żurnala. – Lepiej mi powiedz, czy też dzwonił do ciebie Lucjusz.

– Owszem. – Pokiwała głową.

– I co sądzisz o jego propozycji?

– Że skoro w przerwie między świętami a Nowym Rokiem planowałam głównie maraton „Zbrodni po sąsiedzku”, to równie dobrze mogę jechać do Zakopanego i trochę się tam zabawić. Tylko...

– Ten dowcip, prawda? – Mario od razu zrozumiał, o czym myśli przyjaciółka. – Zawsze byliśmy w tym do bani. O ile dobrze pamiętam, nie zdobyliśmy ani jednego białego misia...

– Owszem, zdobyliśmy – zaprotestowała Miśka. – Wtedy kiedy pomieszałeś cztery margarity z góralskim bimbrem i wszyscy byli pewni, że chcesz pobić rekord Guinnessa w ilości puszcanych paw.

– No tak, pamiętam. – Mario skrzywił się, odruchowo kładąc sobie rękę na brzuchu. – Tyle że wtedy to nie był żart, a nagrodę zdobyliśmy w ramach pociechy. Widzę marne szanse na powtórkę.

– Zastanawiam się, po co właściwie to robimy – westchnęła Miśka. – Wtedy byliśmy młodzi i durni, a teraz...

– Jesteśmy starzy i durni – wszedł jej w słowo Kosek. – Pewnie dlatego. Zresztą nie wiem. Lucjusz na to nalegał. Ciekawe, co sam wymyślił, skubany mistrzunio.

– Na pewno coś wyjątkowego...

– To co? – Mario popatrzył na nią z rezygnacją. – Poddajemy się od razu?

– Moglibyśmy... – Miśka na moment się zamyśliła. – Acz...

Kosek nie spuszczał z niej wzroku.

– Mamy teraz większe możliwości – rzekła powoli. – Więcej znajomych. Niektórych na przykład z branży filmowej...

– *Ouh là là*... Widzę, że chcesz iść na całość!

– Skoro przez tyle lat przegrywaliśmy, to na koniec moglibyśmy pokazać klasę.

– Nie znałem cię od tej strony – zauważył Mario.

– Której?

– Ambicjonalnej. Jakoś dotąd nie kojarzyłaś mi się z osobą, która idzie po trupach do zwycięstwa.

– Po trupach powiadasz... – Miśka się uśmiechnęła. – Bardzo interesujący pomysł...

– Widzę, że na coś już wpadłaś!

– Powoli mi się krystalizuje pewna idea...

– To w takim razie ty myśl nad żartem i jak już zrobi ci się wazon, to daj znać – zawyrokował Mario. – Ja zaś w tym czasie...

– Co mi się robi? – zdumiała się Miśka.

– Wazon – powtórzył Mario. – Skoro coś ci się krystalizuje, to potem będzie z tego kryształowy wazon.

– Zgłupiałaś?

– To się nazywa zabawa słowami – pouczył ją Mario. – Więc ty wymyślaj żart, a ja zastanowię się, jakie kreacje zabrać do Zakopanego. Choć nie sądzę, abym znalazł choć jedną rzecz pasującą do tego miejsca.

– A co? – zaciekawiała się z niewinną miną Miśka. – Nie masz płóciennej koszuli, spodni z sukna, cuchy, skórzanego pasa zdobionego we wzór kwiecica polnego, filcowego kapelusza i ciupagi?

– Nawet nie chcę sobie wyobrażać, jak bym w tym wyglądał – rzekł jej współnik z odrazą. – Choć i tak obawiam się, że będę musiał odwiedzić jakąś... sieciówkę – widać było, że to słowo z trudem przeszło mu przez gardło – i kupić tam rzeczy dla ludzi, którzy myślą, że Abercrombie and Fitch to nazwa producenta czipsów.

– Przeżyjesz – zaśmiała się Miśka. – I pamiętaj, że w tym roku najmodniejsze kolory dla facetów to brązowy, ciemnozielony, granatowy i szarobury. Może jeszcze być jasnoszary, ale dotyczy to tylko dresów.

– Czyli dokładnie te same, co od drugiej wojny światowej – westchnął Mario. – Jak w tym kraju ma być fajnie i optymistycznie, skoro faceci ubierają się, jakby byli leśniczymi?

– U kobiet się poprawiło – zauważyła Miska.

– Tia... – mruknął Mario – Zależy u których. Ostatnio musiałem iść do ZUS-u i stałem tam za siedmioma laskami, które wyglądały, jakby wylądowały prosto z pogrzebu. A uczesania... Naprawdę, w następnych wyborach zgłoszę na kandydata, który wprowadzi ustawowy zakaz robienia sobie trwałej. Jakby zrobić im zdjęcie i kazać zgadnąć ludziom z Francji albo Włoch, z jakich ono jest czasów, to na pewno większość odpowiedziałaby, że z lat siedemdziesiątych.

– Przecież retro jest teraz modne...

– Ale nie na łbie! – wykrzyknął Mario. – I nie na nogach. Żebyś widziała, jakie buty miały te panny. Trumienne! W podobnych pochowaliśmy moją prababcie. Tylko ona przez całe życie nosiła na zmianę dwa swetry, myła się ługiem i uważała, że żel pod prysznic to wynalazek szatana. Nie żądam od wszystkich, żeby nosili Louboutina albo Blahnika, ale zakładanie obuwia ortopedycznego dla ozdoby też powinno być karane. Co najmniej rokiem kursu dobrego smaku.

– Robisz dramę. – Miśka się skrzywiła. – Moim zdaniem nie jest tak źle...

– Bo ty jesteś w tym nowa. – Mario machnął ręką. – Pamiętasz, jak się ubierałaś, kiedy zakładaliśmy agencję? W twoich swetrach poza tobą zmieściłaby się jeszcze cała żeńska drużyna siatkarska. Nie mówiąc już o tych koszmarnych ozdobach z... Wypadło mi słowo... Tych pomarańczowych kamulców znad morza, których się szuka między ptasimi kupami...

– Z bursztynów – podpowiedziała Miśka. – Nadal uważam, że są piękne.

– Niech sobie będą – zgodził się Mario – na odpustowym straganie w Gdańsku. Ale noszenie ich na salonach to przestępstwo. Moją misją

jest uczenie ludzi, jak być eleganckimi. Skoro z tobą mi się udało, to z innymi może też się powiedzie.

– Na razie naucz się, jak nie wywołać zbiegowiska w centrum Zakopanego – poprosiła go Miśka. – Wolałabym raczej nie musieć cię ratować przed jakimiś homofobicznymi troglodytami i tłumaczyć im, że jednak jesteś hetero, w co mi samej trudno czasem uwierzyć. Zwłaszcza kiedy ubierasz się w goudę.

– A co niby ma wspólnego orientacja seksualna z bezbłędnym gustem odzieżowym? – zdziwił się szczerze Mario. – Jakby ci twoi troglodyci zaczęli nosić kreacje od Olympusa, to od razu byliby bardziej zadowoleni z życia.

– Jasne – mruknęła Miśka, starając się wymazać sobie sprzed oczu wizję ustawki kibolskiej, której uczestnicy mają na sobie satynowo-koronkowe kombinezony z nowej, teoretycznie męskiej kolekcji projektanta. – A swoją drogą, to ile my się wszyscy nie widzieliśmy?

– Też próbowałem sobie przypomnieć – przyznał Kosek. – Z Olgą widzieliśmy się na pokazie Zosi Gałczyńskiej kilka miesięcy temu.

– Z Markiem byliśmy w ramówce Tele-Polu w zeszłym roku – przypomniała Miśka. – Wtedy, kiedy miał wziąć udział w jakimś durnym reality show. Już nawet nie pamiętam jakim...

– „Fort Boyard” – podpowiedział Kosek – który nota bene w ogóle nie został wyemitowany...

– Ciekawe dlaczego...

– To akurat wiem – westchnął Mario. – Klaudia Hutniak w drugim odcinku dostała spazmów na widok robaków, spośród których miała wyciągnąć klucz do skarbcza, w którym leżała główna nagroda. Oskarżyła producentów, że ze stresu czasowo straciła głos, a poza tym czuła, że dusze robaków zostały zbrukane strachem przed kamerami. No i poszła z tym wszystkim do sądu. Zawlokła tam nawet dwóch adwokatów. Cud, że nie wynajęła trzeciego, żeby reprezentował robaki. A że trafiła na jakąś durną sędzię, która była jej fanką i na widok Klodi wchodzącej na salę przeżyła hurtem pięć orgazmów

naraz, to ostatecznie Tele-Polowi nakazano przerwanie zdjęć. Wszyscy byli wściekli, straty ogromne i tylko Hutniak zadowolona. I oczywiście robaki.

– Lucjusza spotkaliśmy ostatnio dwa lata temu. – Szustek wolała nie komentować zachowania jej zdaniem całkowicie znikowanej gwiazdy. Tym bardziej że po tym, jak kiedyś zmuszona była z nią przez chwilę pracować, Klaudia bardzo ją polubiła, co objawiało się tym, że dzwoniła do niej o swojej ulubionej trzeciej nad ranem w tak ważnych sprawach, jak na przykład ta, czy Miśka „otuliła na noc korzeń swojej duszy ochronną złotą pierzyną kosmicznych wibracji”. – Podszedł do nas po meczu na Stadionie Narodowym, pamiętasz?

– Faktycznie. – Mario pokiwał głową. – Czyli wychodzi na to, że najdłużej nie widzieliśmy się z Kariną. To już chyba będzie z dobrych pięć lat...

– Dokładnie – potwierdziła Miśka. – Ostatni raz balowaliśmy na jej urodzinach w klubie „Dekada”.

– Ciekawe, jak bardzo się zmieniła – zastanowił się Kosek – bo pozostali prawie w ogóle. Olga wypiękniała, Marek nadal jest takim samym kosmitą jak w liceum, a Lucjusz zadufanym w sobie dupkiem.

– Zawsze lubiłeś go najmniej z całej naszej paczki, prawda? – zauważyła Szustek. – Swoją drogą nigdy nie rozmawialiśmy, dlaczego tak było. Chodziło o powodzenie u dziewczyn, tak?

– Między innymi – przyznał niechętnie Mario, bo głupio było mu powiedzieć, że był to jedyny powód jego lekkiej i zawsze starannie maskowanej niechęci do szkolnego kolegi. – Kiedy idziesz do klubu z Misterem America, trudno się dziwić, że wszyscy zwracają uwagę na niego, a nie na ciebie.

– Chyba wszystkie – poprawiła Miśka. – Poza tym przesadzasz. On jest atrakcyjny w taki bardzo oczywisty sposób, a ty w ukryty, bardziej intrygujący...

– Tia – mruknął Mario – bo nabzdryngolone laski w klubie nie marzą o niczym innym, jak o szukaniu ukrytego piękna u facetów.

Całymi nocami!

– Serio mierzysz swoją wartość zainteresowaniem nabzdryngolonych lasek? – zdumiała się Miśka.

– Niczego nie mierzę. – Kosek wzruszył ramionami. – Tłumaczę ci tylko, dlaczego w tamtych czasach nie byłem przewodniczącym fan klubu Lucjusza. Teraz mi to wisi, ale wtedy, przyznaję, miałem focha z tego powodu.

– Mimo to się z nim przyjaźniłeś – wypomniała mu Miśka.

– Bo pod każdym innym względem był megafajnym koleś – przyznał Kosek – więc na to jedno dało się przymknąć oko. Nie powiesz mi, że sama też nie zazdrościłaś czasami Oldze...

– Owszem, ale akurat nie powodzenia u płci przeciwnej – zastrzegła Miśka – tylko przemiany materii. Pamiętam, jak na jednym wyjeździe zrobiliśmy eksperyment i przez całe dwa tygodnie jadłyśmy dokładnie to samo w takiej samej ilości. A potem się zważyłyśmy. Ona schudła przez ten czas trzy kilo, a ja przytyłam pięć. Ot, i sprawiedliwość!

– Nikt ci nie powiedział, że to był dowcip? – zdziwił się Mario. – Jakim cudem?!

– A był?

– No jasne. Poprzedniego dnia Olga przeprogramowała wagę tak, żeby pierwszej z was pokazała określoną wcześniej liczbę, a drugiej zawyżoną o osiem kilo. Tak naprawdę ważyłaś po dwóch tygodniach tyle samo co na początku.

– Że też ja się, głupia, nie połapałam. – Miśka aż chwyciła się za czoło. – Przecież po powrocie do domu zważyłam się jeszcze raz i wyszło mi, że nie przybrałam nic. Ale zwałam to na karb stresu i braku apetytu po poprzednim pomiarze. No po prostu kretynka.

– Gorzej, bo skoro ty o tym nie wiedziałaś, to złamaliśmy zasadę numer jeden, że pod koniec wyjazdu mówimy sobie o wszystkich prankach – zmartwił się Mario. – Tych mniejszych też...

– Niby tak – rzekła obojętnie Miśka. – Ale jakie to ma teraz znaczenie?

– Żadnego. Za to znaczenie ma to, jak wypadniemy tym razem. Więc myśl, kochana, myśl!

– Aha. – Miśka się nadęła. – Czyli ja mam jak zawsze odwalić całą robotę umysłową, a ty zbierzesz za to ewentualne laury.

– Yhm. – Mario uśmiechnął się szeroko. – To się w slangu korporacyjnym nazywa: umiejętność delegowania obowiązków. I, jak widać, jestem w tym idealny!

ROZDZIAŁ VI

PRZECZUCIE

Robiąca zakupy w sklepie spożywczym o zachęcającej, acz i mocno mylącej nazwie „Zostaw grosik”, Longina Łuszczek przyglądała się z nieufnością plastikowym opakowaniom z bekonem.

– Niby ładny – orzekła wreszcie – ale jakiś taki dziwnie pomarańczowy, nie sądzi pani? Wygląda, jakby był pomalowany.

– No wie pani! – oburzyła się sprzedawczyni. – Toż to nasz, polski, świeży boczek! Prosto z Niemiec! Ledwie co go w zeszłym miesiącu przywiozłam z hurtowni.

– Yhm. – Longinie już nawet nie chciało się rozwikływać zagadki, czemu polski boczek jest niemiecki i jakim cudem może być świeży dwudziestego siódmego grudnia, skoro został przywieziony do sklepu w listopadzie. Zbyt dobrze znała swoją rozmówczynię i wiedziała, że dla zysku jest ona nawet w stanie zasłonić metką pleśń na pomidorze, czym akurat nie różniła się specjalnie od supermarketów, które robią to nagminnie, tyle że na większą skalę. – Muszę mieć lepszy. Będę miała wczasowiczów. Z Warszawy!

– No i co? – Sprzedawczyni wzruszyła ramionami. – Toż to w stolicy takie gówna jedzą, że możesz im, złociutka, podać, co tylko chcesz. I wmówić, że to prima sort góralskie jedzenie. Moja córka, jak miała u siebie letników, to im raz podała kotlety z kury zmieszanej

z odrobiną indyka i powiedziała, że to baranina. Nawet nie mrugnęli okiem i potem napisali w internecie komentarz, że tak smacznej baraniny nie jedli jeszcze nigdzie. Z Warszawy to przyjeżdżają same świry. Nikt normalny tam przecież nie mieszka!

– Ci moi sprawiają wrażenie sympatycznych – mruknęła Longina. – To znaczy w sumie oni nie są moi, bo na stałe zatrzymują się u Staszeczka „Pod Śnieżycą”. U mnie będą nocowali tylko wtedy, kiedy skorzystają z kuligu. Na śniadanie chcę im przyszykować jajecznicę na boczku.

– I tak nie zjedzą – zawyrokowała stanowczo ekspedientka.

– A to niby dlaczego?

– Bo oni w stolicy wszyscy są jaroszami – wyjaśniła z pełnym przekonaniem sprzedawczyni. – Żywią się tylko trawą, korzeniami i jakimiś paskudztwami typu nasiona geja. Tfu! Bezwstyd! Nikt nie tknie mięsa, nawet jeśli miałoby być ze złotego cielca. Sama zobaczysz, kochaniutka!

– No i tu się pani bardzo myli – rzekła z satysfakcją Łuszczek, którą bezsensowna paplanina kobiety zaczęła już mocno irytować. – Mój mąż z nimi rozmawiał i wszyscy jedzą mięso. I sami o tę jajecznicę zapytali. Jedyne wymóg, jaki mieli, to żeby jajka były od lokalnych kur. To wezmę od Barciszkowej. Ale boczek musi być lepszy. Ten wygląda, jakby go zrobił nie masarz, a malarz.

– Dobrze, dobrze, już przyniosę lepszy, dzisiaj z samego rana go przywieźli, z lokalnego zakładu. – Ekspedientka podreptała na zaplecze, skąd po chwili wróciła z kawałkiem znacznie lepiej prezentującego się mięsiwa. – Może być?

– No – uciszyła się Longina. – Teraz to inna rozmowa! I jeszcze jakaś dobra kiełbasa by się przydała. Co tam skitrała pani na zapleczu?

– Oj tam, zaraz skitrała – oburzyła się sprzedawczyni. – Po prostu najpierw sprzedają to, co zostało sprzed świąt. Tu też jest dobra kiełbaska... – Wyłapała pełen politowania wzrok Łuszczek i znów

udała się na zaplecze. Wróciła stamtąd z kilkoma paczkami wędlin, spośród których Longina wybrała te sprawiające wrażenie jako tako zjadliwych. – A ci goście? – zaciekała się. – To jacyś nietypowi, prawda?

– Wnioskuje pani z tego, że chcą dobrze zjeść? – Longina popatrzyła na nią ironicznie. – Ale w sumie ma pani rację. Szóstka przyjaciół. Podobno kiedyś tu bywali dość regularnie. Ale to było sporo lat temu, kiedy jeszcze z Tadzkiem mieszkaliśmy w Poroninie. Mieli zwyczaj robienia sobie wzajemnie dowcipów. Czasem wciągali w nie nawet tutejszych.

– Chyba coś kojarzę. – Sprzedawczyni zmarszczyła brwi. – Jednym z nich był ten znany piłkarz... Jak mu tam? Mój stary by wiedział. Nie umie zapamiętać, gdzie w chałupie stoi mop, ale imiona i nazwiska piłkarzy ma wbite w łeb na amen. Pamięta wszystkie, nawet tych, którzy grali za Mieszka Pierwszego!

– Mój podobnie – pocieszyła ją Longina. – I tak, ma pani rację. To właśnie ci ludzie.

– A to faktycznie, słyszałam, że są mili. Trochę dziwacy, ale ci z Warszawy zawsze tacy są. I mówi pani, że będą na stałe mieszkać u Staszeczka?

– Tak. Przez dziesięć dni. Przyjeżdżają dzisiaj po południu, a wyjeżdżają przed Trzema Królami. Dzień przed sylwestrem organizujemy im kulig.

– Zazdroszczę – westchnęła sprzedawczyni. – Nikt nie organizuje takich kuligów jak pani Tazio!

– Dwadzieścia lat doświadczenia robi swoje – wyjaśniła Longina. – Choć tym razem...

– Tak? – zapytała po chwili ekspedientka, nie mogąc doczekać się dalszego ciągu wypowiedzi.

– Mam jakieś dziwne przeczucie – przyznała gaździna niepewnie.

– Jakie? – Sprzedawczyni popatrzyła na nią z wyraźnym zdumieniem.

– Sama nie wiem – westchnęła Longina. – Czasem tak mnie nachodzi. Pamiętam, jak byłam dzieckiem i miała do nas przyjechać w odwiedziny babcia. Wtedy chyba miałam takie przeczucie po raz pierwszy...

– Że babcia umrze? – Ekspedientka aż się przeżegnała z przestachu.

– Niezupełnie – odpowiedziała Longina z wyraźnym zakłopotaniem. – Miałam po prostu przeczucie, że stanie się coś złego. I faktycznie. Babcia pomyliła sok z aronii z nalewką z borówek na czystym spirytusie, wlała sobie do herbaty pół buteleczki, do kolejnej pół godziny później drugie pół, a następnie chodziła po Poroninie i śpiewała na cały głos „Czterdzieści kasztanów” Violetty Villas z towarzyszeniem chóru złożonego z okolicznych psów, krów, kur i innej żywności. Już po kilku minutach miało się wrażenie, że w miasteczku kręcą nową wersję „Doktora Dolittle”. Później miałam to przeczucie jeszcze wiele razy. Zanim urodziłam Kinię, wiedziałam, że będzie wcześniakiem i że poród nie przejdzie ulgowo. Dzień przed zawałem mojego ojca też miałam uczucie, że powinnam go odwiedzić. Nie wiem, czemu tego nie zrobiłam. Miałam potem wyrzuty sumienia. Na szczęście przeżył. Teraz jednak... Ech... Mam wrażenie, że stanie się coś naprawdę złego. Jakaś tragedia.

– Niechże pani nie wieszczy tu żadnych katastrof – poprosiła strachliwie sprzedawczyni. – Czasem, kiedy wygaduje się takie rzeczy, wywołuje się лихо z lasu. Słowo wróblem wyleci, a wołem wróci. Sama, kochanieńka, wie...

– No wiem, wiem – przyznała Longina – ale nijak nie umiem się pozbyć tego przeczucia.

– Mówi pani, że będą mieszkać u Staszeczka? – Handlarka wolała czym prędzej zmienić temat.

– Tak.

– Ciekawe, czy jego córuchna wróci przed Nowym Rokiem – w głosie kobiety pojawiła się nutka pogardy – bo jeśli tak, to na miejscu pań

z tej grupy raczej miałabym na oku swoich panów. Jeśli wie kochanieńka, co chcę powiedzieć...

– Nie za bardzo – przyznała Longina.

– Niech no kochanieńka nie udaje, że nigdy nic nie słyszała o Staszczakównie – zdziwiła się sprzedawczyni.

– Ale niby czego? – Gaździna rzadko brała udział w tak zwanym „sąsiedzkim życiu” i plotki z reguły docierały do niej jako do ostatniej osoby w całym Zakopanem. O ile w ogóle. Nie była jakoś specjalnie z tego powodu zrozpaczona.

– Że niezła z niej latawica. – Sprzedawczyni ściszyła głos. – Kiedy się uczyła w liceum, to chodziła z młodym Siennickim. Patrysiem. A potem wbiła sobie do głowy, że będzie studiować w stolicy. Jej ojcu było to nie w smak, ale wie kochanieńka, wychowywał Agnieszkę sam po śmierci żony i nigdy nie umiał jej niczego odmówić. Patryś też błagał ją, żeby została, albo jeśli już koniecznie musi studiować, to żeby wybrała uniwersytet w Krakowie. Ale ona się uparła i wyjechała. Gdy Patryś pojechał ją odwiedzić po kilku miesiącach, to nie mógł się nadziwić. Bo niby miała mieszkać w akademiku z innymi studentkami, a tymczasem miała wynajęte własne mieszkanie w centrum miasta i to podobno całkiem luksusowe. Rozumie pani...

– Może dostawała pieniądze od ojca – podsunęła Longina – przecież Staszczkowi chyba dudków nie brakuje...

– Pozory! Pensjonat już nie przynosi takich dochodów, co kiedyś, a i nasz Wituś nie ma ręki do interesów. No i jeszcze ten wypadek... Poza tym tam zawsze rządziła jego żona. Gdy jej zabrakło, to się posypało.

– Więc skąd jego córka miała na te luksusy? I to w stolicy?

– No właśnie. – Sprzedawczyni pokiwała głową ze znaczącą miną. – To samo zastanowiło też i Patrysia. Został w tajemnicy przed nią w stolicy, zaczął węszyć, śledzić ją...

– Tak się nie powinno robić... – zauważyła z pewnym niesmakiem Longina.

– W takiej sytuacji?! – oburzyła się ekspedientka, postanawiając nie przyznawać się swojej rozmówczyni, że sama regularnie zagląda do telefonu męża i komputera syna. – Wcale mu się nie dziwię.

– No i co niby takiego odkrył?

– Ano, że Staszczakówna ma... Jak to się teraz mówi? – Sprzedawczyni poszukała w głowie odpowiedniego słowa. – Sponsora. I to niejednego.

– Słucham? – Longinie trudno było uwierzyć w to, co właśnie usłyszała.

– Nooooo! – Kobieta wyraźnie ucieszyła się z jej reakcji na swoje słowa. – Jeden płacił za nią rachunki, drugi kupował drogie ubrania, trzeci zabierał na kolacje do eleganckich restauracji...

– Chce pani powiedzieć, że córka Staszczka była... – Łuszczek starała się wybrać najdelikatniejsze spośród wszystkich synonimów, określających przedstawicielki najstarszego zawodu świata – ... kurtyzana?

– Jaką tam kurtyzana! – prychnęła handlarka. – Zwykłą kurwą!

– Zwykle... – Longina poczuła, że jednak popularny wulgaryzm nie przejdzie jej przez gardło – ... prostytutki to chyba stoją na rogu? A tu jest jednak inaczej...

– Dla mnie to obojętne, czy stoją na rogu, czy się hańbią w innym miejscu – rzekła stanowczo sprzedawczyni. – Dziwka to zawsze tylko dziwka.

– Ale... – Łuszczek zastanowiła się przez chwilę. – Czy poza słowami Sennickiego jest na to jakiś dowód? Bo wie pani, równie dobrze mogli się po prostu pokłócić albo ona nie chciała z nim już dłużej chodzić i wszystkie te informacje mogą być jego zemstą...

– Nie sądzę. – Sprzedawczyni zdążyła się przywiązać do swojej wersji. – Wie pani, że facetom nie chce się takich rzeczy wymyślać. Co innego kobiety. Poza tym Patryś, gdy wrócił ze stolicy, chodził taki przybity i smutny, że szkoda było na niego patrzeć. I o tym

wszystkim, co odkrył, nie powiedział prawie nikomu. Tylko jednej osobie...

„To faktycznie wybrał wyjątkowo dyskretną”, przemknęło przez głowę Longinie.

– ...ona też powiedziała to tylko jednej – kontynuowała sprzedawczyni – i jakoś tak to się rozeszło. Wszyscy teraz są ciekawi, co będzie, gdy Staszczakówna wróci do domu, i czy wszystkie te pogłoski dotarły też do jej ojca.

– Mam szczerą nadzieję, że nie – rzekła Longina. – Nawet jeśli te plotki są prawdą, w co na razie wolę nie wierzyć, to ostatnim, czego potrzeba, jest to, żeby dowiedział się o nich Staszczek. Jakby mało w życiu przeżył. Najpierw śmierć żony, potem wypadek, a teraz to... Za dużo, jak na jednego człowieka.

– Możliwe – zgodziła się bez przekonania sprzedawczyni – ale i tak całe miasto czeka, co się stanie, kiedy Agnieszka tu w końcu przyjedzie... Podobno Patryś zapowiedział, że...

– A co te pomarańcze takie białe?! Spleśniałe?

Głos za nimi spowodował, że obie zgodnie się wzdrygnęły i popatrzyły w kierunku, z którego dobiegł. Przy skrzynce z faktycznie mocno podejrzanie białymi cytrusami stała Jagna Jędrzejczyk, sąsiadka obgadywanego przez nie przed chwilą Staszczka.

– Oj tam, zaraz spleśniałe! – Sprzedawczyni jako pierwsza odzyskała rezon. – Z Hiszpanii sprowadzane, to je po drodze zabezpieczyli.

– Pleśnia? – zapytała z odrazą Jagna. – Bo to na pewno nie jest nic innego.

– To niech nie kupuje! Czy ja kogoś do tego zmuszam? – oburzyła się handlarka. – Inni kupią i zjedzą ze smakiem!

– A potem ich spadkobiercy urządują im pogrzeb. Ze smakiem! – mruknęła Jędrzejczyk, przechodząc od owoców do warzyw i uważnie lustrując wystawiony towar. – A masz tu w ogóle coś, co nie pamięta

poprzednich świąt? – Podeszła do Longiny i uściskała ją serdecznie, mierząc przy tym sprzedawczynię złym wzrokiem. – Słyszałam, skarbie, że szykuje ci się pracowity koniec roku. Goście, kulig...

Łuszczak zmarszczyła brwi.

– Ha, ha... Jeszcze się nie przyzwyczałaś, że u nas kichniesz we własną poduszkę w środku nocy, a nad ranem pod domem będzie stała kolejka znajomych z kroplami na katar w rękę? – zaśmiała się Jędrzejczyk. – Aczkolwiek w tym przypadku źródło mojej wiedzy jest mało sensacyjne. Jak tu szłam, to spotkałam po drodze twojego Tadzia przed „Trzema Szczytami” i sobie chwilę pogadaliśmy.

– O, już przyjechał? – zdziwiła się Longina. – Miał być później! Muszę lecieć. Niech mi to pani wszystko podliczy.

Zgarnęła zakupy, zapłaciła i szybko wyszła ze sklepu.

– Podobno jednym z gości, którzy będą na tym ich kuligu, jest ktoś, kto ma przywieźć ze stolicy Staszeczkównę – rzekła konfidenicznym tonem Jagna, ledwo co za Longiną zamknęły się drzwi. – Czujesz?

Popatrzyły na siebie porozumiewawczo.

– Szykuje się nam ciekawy sylwester i Nowy Rok – zawyrokowała sprzedawczyni. – Zwłaszcza że jest tu też jej syn...

– Yhm. – Jagna pokiwała głową. – Tragedia wisi w powietrzu. Zobaczysz, wspomnisz moje słowa!

ROZDZIAŁ VII

AGNIESZKA

Wbrew oczekiwaniom Lucjusza, który przewidywał, że podróż w towarzystwie dwudziestolatki będzie należeć do tych bardziej rozrywkowych, Agnieszka Staszeczek okazała się być osobą cichą i poważną. Kędziak robił wszystko, żeby jakoś ją rozkręcić, ale mniej więcej w okolicach Radomia poddał się i przestał starać się o prowadzenie jakiegokolwiek konwersacji, tym bardziej że dotychczasowe kwestie jego towarzyszkę ograniczały się do słów: „tak”, „nie” oraz „to miłe”.

– Czego chcesz posłuchać? – zapytał z rezygnacją.

– Nie wiem – odpowiedziała Agnieszka obojętnym tonem. – Wszystko mi jedno.

– Mogą być Red Hoci? – Lucjusz odpalił na swoim smartfonie Spotify. – Czy wolisz coś bardziej współczesnego? Adele? Podsiadło?

– Może być – zgodziła się Agnieszka, ale ponieważ nie sprecyzowała co, machnął na nią ręką i po chwili z głośników rozległy się dźwięki nieśmiertelnego hitu „Californication” Red Hot Chili Peppers.

Między Radomiem a Kielcami jedynym głosem, jaki rozbrzmiewał w Kędziakowym land roverze był ten należący do Anthony’ego Kiedisa, wokalisty amerykańskiej grupy i zarazem człowieka, który powinien zostać wpisany do Księgi rekordów Guinnessa jako ten,

który wypróbował w swoim życiu najczęściej nielegalnych substancji i przeżył, mimo że każdy inny na jego miejscu zszedłby z tego padoku sekundę po spróbowaniu albo wstrzyknięciu sobie już pierwszej z nich.

Mniej więcej dziesięć kilometrów za Kielcami, w chwili, kiedy Lucjusz był już pewny, że dojadą w ciszy do samego Zakopanego, jego towarzyszkę, która przez poprzednie pół godziny namiętnie stukała w swój telefon, nagle magicznie odetkało.

– Czy faceci zawsze muszą być tak podli? – zapytała z irytacją.

– Słucham? – zdziwił się Lucjusz.

– Nic, nic. – Agnieszka wyglądała, jakby dopiero zdała sobie sprawę z jego obecności. – To nie było do pana...

– A moglibyśmy sobie mówić na „ty”? – zaproponował Kędziak, odrywając dłoń od kierownicy i wyciągając ją w kierunku pasażerki. – Lucjusz.

– Agnieszka. – Dziewczyna uściśnęła mu rękę.

– To co z tymi facetami? – Piłkarz usiłował skorzystać z okazji, że jego towarzyszka sama rozpoczęła jakiś temat, by potem spróbować go pociągnąć, tym bardziej że chwilę przed jej pytaniem poczuł senność. Może nie trzeba było przed porannym wyjazdem baraszkować z seksowną sąsiadką do trzeciej w nocy. Z drugiej jednak strony, jak można było sobie tego odmówić? – Zapytałaś, czy zawsze są podli. Rozumiem, że masz z nimi jakieś problemy...

– Taaa – prychnęła jego towarzyszka podróży. – Zawsze chcą więcej, niż mogę im dać...

Lucjusz zmarszczył czoło, słysząc zdanie, które sam wygłaszał wiele razy, tyle że w stosunku do płci pięknej i jej zakusów wobec niego samego.

– Jeśli powiem, że doskonale cię rozumiem, to pewnie mi nie uwierzysz – rzekł ostrożnie.

Staszeczek popatrzyła na niego dziwnym wzrokiem.

– Też masz problemy z facetami? – zapytała z lekkim zdumieniem.
– Jesteś gejem?

Lucjusz aż się zachłysnął.

– Ja?!!! – wykrzyknął z takim osłupieniem w głosie, że aż na poważnej dotąd twarzy jego towarzyszki pojawił się cień uśmiechu.

– No wiesz – zauważyła niewinnie. – Jesteś przystojny, wysportowany, zadbany, dobrze ubrany. Po prostu klasyczny gej.

– Nawet tak nie żartuj! – fuknął Lucjusz, po czym lekko się zreflektował. – To znaczy nie mam nic przeciw gejom. Przez wiele lat byłem nawet pewny, że mój dobry przyjaciel jest jednym z nich i w ogóle mi to nie przeszkadzało, ale sam na pewno nie czuję pociągu do swojej płci. Możesz być tego pewna. Jestem stuprocentowym heteroseksualistą.

– Podobno nikt z nas nie jest stuprocentowy pod tym względem. – Agnieszka najwyraźniej postanowiła się z nim trochę podroczyć. – Ja na przykład mogłabym być z kobietą. Tak mi się wydaje. Zwłaszcza teraz, kiedy faceci dali mi tak popalić...

Lucjusz przez moment zajęty był usuwaniem sobie sprzed oczu podniecającej wizji Agnieszki i swojej sąsiadki zabawiających się na łożu w jego sypialni. Tym bardziej że z powodu owego marzenia o mało co nie wpakował się pod zauważonego w ostatnim momencie TIR-a.

– To co ci takiego zrobili? – zapytał, kiedy już odzyskał kontrolę nad swoją rozbrykaną wyobraźnią i samochodem. – Może ci w czymś pomogę...

– Sama nie wiem. – Agnieszka przez dłuższą chwilę milczała, najwyraźniej rozstrzygając coś w myślach. – Nie znamy się zbyt dobrze, ale... Sprawiasz wrażenie faceta, któremu można zaufać.

– Dziękuję. – Kędziak nagle uświadomił sobie, że jego towarzyszka ma rację. Nigdy nie czuł potrzeby plotkowania ani przekazywania dalej historii, które ktoś mu o sobie opowiadał. Inna sprawa, że owa cecha wynikała głównie z faktu, że był skoncentrowany głównie na

sobie i wszystko to, co dotyczyło innych ludzi, interesowało go w znikomym stopniu albo w ogóle. – Możesz liczyć na moją dyskrecję.

– Więc... – Agnieszka poprawiła się w fotelu, po czym przeniosła spojrzenie z niego na autostradę. – Kiedy przyjechałam do Warszawy na studia, poznałam kilku mężczyzn. Starszych ode mnie. Takich lubię. Moi rówieśnicy są zbyt dziecinni. Pewnie to rozumiesz...

Lucjusz co prawda miał akurat odwrotnie i interesował się głównie młodszymi kobietami, ale pokiwał głową z takim rozmachem, że aż mu strzyknęło w szyi.

– Jasne, jasne – zapewnił gorliwie.

– W Zakopanem spotykałam się przez kilka miesięcy przed wyjazdem na studia z kolegą z liceum – kontynuowała Agnieszka – ale to nie miało żadnej przyszłości. On był pozbawiony jakichkolwiek ambicji. Nie mogłam poważnie myśleć o kimś, kto na pytanie o życiowe plany, odpowiadał, że rodzice załatwią mu fuchę kelnera w swojej restauracji, więc nie ma się czym przejmować.

– Bywa tak, że ambicje przychodzą z czasem. – Męska solidarność nakazała Lucjuszowi stanąć w obronie obojętnego mu w sumie chłopaka.

– Jakoś nie chciało mi się czekać na ten dzień – rzekła dziewczyna z wyraźną pogardą w głosie. – W Warszawie zobaczyłam inny świat. Pierwszego faceta poznałam w klubie. Zupełnie różnił się od moich kolegów. Starszy, przystojny, genialnie ubrany, dowcipny, pewny siebie. Poszliśmy do niego, bo na samo słowo „akademik” zrobił taką minę, jakby miał puścić pawia. Mieszkał w centrum, w luksusowym apartamencie z widokiem na Pałac Kultury. Widać było, że ma mnóstwo kasy, ale nie to było najważniejsze. Był uroczy. Podniecało mnie już samo to, co mówił. Jak mówił. Ale nie poszłam z nim do łóżka, choć bardzo chciał.

– Dlaczego? – zdziwił się szczerze Lucjusz.

– Jestem góralką! – odpowiedziała Agnieszka takim tonem, jakby to jedno słowo miało tłumaczyć jej cnotliwość.

– Jasne – rzekł Kędziak ugodowo, choć tak naprawdę nic z tego nie rozumiał.

– Na szczęście ten facet okazał się gentlemanem i kiedy usłyszał „nie”, to po prostu spasował. – Staszeczek wróciła do swojej opowieści. – Ale z drugiej strony widać było, że odmowa go uraziła, bo nawet nie nalegał, żebyśmy się wymienili numerami telefonów ani innymi kontaktami. Więcej go już zresztą nie spotkałam. Za to zaczęłam poznawać innych. I szybko uświadomiłam sobie, jak łatwo nimi sterować. Nawet nie musiałam się za bardzo starać. Wystarczyło iść do klubu, poobserwować, kto jest tam bogatym desperatem, pouśmiewać się, powiedzieć kilka komplementów, i już. Można się było wygodnie ustawić.

– Mówisz o... – zaczął Lucjan, nie za bardzo wiedząc, jak ma dokończyć to zdanie, żeby nie urazić swojej towarzyszki.

– O tym, co robi co trzecia moja koleżanka, która nie ma bogatych rodziców, a nie chce klepać biedy w stolicy. – Agnieszka wzruszyła ramionami. – O posiadaniu kilku... przyjaciół, którzy pomogą w tym i owym.

– *Sugar daddys?* – zaśmiał się Kędziak, zanim ugryzł się w język, po czym szybko wyjaśnił: – Nie oceniam i w sumie nie mam nic przeciwko.

– Oni naprawdę są sugar, a nawet *sweet*. – Agnieszka w ogóle nie wydawała się przejęta aluzją Lucjusza co do swojej konduity. – Jasne, że są starsi ode mnie, ale chyba nie od ciebie. I z reguły cierpią na najgorszą chorobę świata. Są samotni. Z tych trzech, którzy pomagali mi w Warszawie, jeden tkwił w nieszczęśliwym związku z laską, która zamieniła mu życie w piekło. Musztrowała go, zamieniła w swojego lokaja, nieustannie pozbawiała pewności siebie. I to do tego stopnia, że nie mógł nawet... No wiesz...

Lucjusz kiwnął głową, domyślając się, o co jej chodzi.

– Siedział u mnie, kiedy tylko jego żona dawała mu... – Agnieszka nakreśliła w powietrzu znak cudzysłowu – ...wychodne.

Rozmawialiśmy całymi godzinami, głaskałam go po głowie, dodawałam otuchy. Potrzebował tego bardziej niż seansów terapeutycznych, na które wysłała go ta baba. Drugi z kolei potrzebował kogoś, komu mógłby pomagać, kim mógłby się opiekować. Taki kompleks dobrego tatusia. Też nie było między nami żadnej intymności. Brakowało mu kogoś, kto poszedłby z nim do restauracji, kina albo na party do przyjaciół. Podejrzewam, że w odróżnieniu od ciebie był gejem, tylko nie umiał tego zaakceptować, a przynajmniej nie chciał otwarcie ujawnić.

– A trzeci? – zapytał z ciekawością Lucjusz, kiedy jego towarzyszka przez dłuższą chwilę milczała.

– No właśnie... trzeci – westchnęła Staszeczek. – To z nim mam problem. Poznałam go, kiedy już dzięki tamtym dwóm żyłam na jako takim poziomie. Na początku był ideałem. Przynosił kwiaty na spotkania, zabierał mnie do najlepszych restauracji, na zakupy do Vitkaca. Był uroczy. Czarujący. A do tego megaprzystojny. Wydaje mi się, że na początku troszkę się w nim zabujałam. I wtedy przyszły kłopoty.

– Kłopoty...? – powtórzył Lucjusz, coraz bardziej zainteresowany nie tyle samą historią swojej towarzyszki, bardziej odpowiedzią na pytanie, dlaczego mu ją w ogóle opowiada.

– Po pewnym czasie zaczął zadawać mi pytania. Skąd mam kasę na mieszkanie? Czemu czasem nie odbieram od niego telefonów? Dlaczego nie możemy się spotkać w określone wieczory albo noce? Dość szybko zorientowałam się, że zaczął mnie szpiegować. Wystawał pod kamienicą, w której mieszkam. Jeździł za mną samochodem. Raz nawet wyjął z mojej skrzynki pocztowej korespondencję. Nie wiem w sumie po co, bo przecież nikt w tych czasach nie pisze już listów. Od przekazywania wiadomości są telefony. W swoim zmieniał *face ID* na kod, bo byłam pewna, że kiedy spałam, próbował zajrzeć do mojego smartfona, przysuwając mi ekran do twarzy. Zaczęłam się go bać. Był coraz bardziej natarczywy. Czułam się osaczona.

– Wcale się nie dziwię... – mruknął Lucjusz.

– Udało mu się wysledzić, że spotykam się z tamtymi dwoma. Zrobił mi potężną awanturę. Myślałam nawet w pewnym momencie, że mnie uderzy. Wymógł na mnie, żebym się z nimi rozstała. Zaczął sam płacić za mój apartament. Każdego dnia wmawiał mi, że jestem od niego zależna, że powinnam mu być wdzięczna. Nadal był miły, ale coraz częściej zaczynał mi robić łaskę z tego, że gdzieś pójdziemy. Nawet na głupi spacer nad Wisłę. Wolał siedzieć w moim apartamencie i oglądać Eurosport albo Netfliksa. Wiecznie był rozdrażniony, niezadowolony, znudzony. O byle co natychmiast wybuchała kłótnia. Zaczęłam mieć tego dość. Jestem młoda, chciałam się bawić, coś zobaczyć, coś przeżyć. Na początku znajomości obiecał mi, że kiedyś pojedziemy do Paryża. Zawsze marzyłam, żeby zobaczyć to miasto! Kiedy mu o tym przypominałam, stwierdził, że w Paryżu jest syf, a poza tym pełno bezdomnych i pedziów, po czym powiedział, że skoro już chcę koniecznie gdzieś jechać, to w Otwocku jest fajny hotel ze SPA i basenem. Paryż kontra Otwock. Nieźle, prawda? Ale co było robić. Zgodziłam się na ten Otwock. Hotel naprawdę był fajny, SPA znakomite, ale nawet tam trudno było go gdziekolwiek wyciągnąć. Jak tylko przyjechaliśmy, walnął się na łóżko, włączył telewizor, a na pytanie, czy nie poszedłby ze mną na jakiś zabieg albo do sauny, warknął, że przyjechał się relaksować, a nie pocić jak świnia w upał albo klepać po twarzy jak stara blachara, i żebym poszła sobie sama. No to poszłam. Najwyraźniej w charakterze młodej blachary. I tam po zabiegu spotkałam w restauracji kogoś nowego. Ponieważ wszystkie stoliki były zajęte, dosiadłam się do takiego, przy którym siedziała tylko jedna osoba. Mężczyzna. Zaczęliśmy rozmawiać. Był inny niż ci, których przed nim poznałam. Nie żeby tamci byli głupi, ale po tym było widać, że jest prawdziwym intelektualistą. Nawet nie zauważyłam, jak nam minęła godzina rozmowy. Choć to może za dużo powiedziane, bo głównie on mówił. Ale nie paplał jak moi rówieśnicy, którzy ledwo co otworzą usta, a już

masz ochotę kazać im je zamknąć, tylko opowiadał tak, że mogłabym go słuchać całymi dniami. Po tej godzinie przestraszyłam się, że zaraz zejdzie ten mój z góry, ale on na szczęście zasnął. Z tym drugim zobaczyłam się jeszcze następnego dnia na śniadaniu. Widać było, że kiedy mnie zauważył, chciał podejść i się przywitać, ale dostrzegł, że nie jest sama, no i pewnie musiałam mieć tak spanikowany wyraz twarzy, że spasował. Ale podrzucił mi kartkę ze swoim numerem telefonu. Po powrocie do Warszawy długo wahałam się, czy do niego zadzwonić, ale ten mój zachowywał się coraz gorzej, czułam się coraz bardziej bezradna... W końcu skontaktowałam się z nim. Umówiliśmy się na kawę. Raz, potem drugi. Czułam się zafascynowana. Być może dlatego, że ten mężczyzna jest z zupełnie innego świata. Świata, do którego chciałabym należeć...

– Rozumiem. – Kędziak pokiwał głową. – I gdzie ten problem? Czemu nie zerwiesz z tym, którego już masz po dziurki w nosie?

– Próbowałam – Agnieszka prychnęła – ale na najmniejszą aluzję, że powinniśmy dać sobie więcej przestrzeni, od razu stawał się agresywny. Zaczęłam się bać... O siebie, o mojego nowego znajomego. I tak prawdę mówiąc, boję się nadal. Ten człowiek jest nieobliczalny!

– I podły? Bo zaczęłaś od tego, że mężczyźni są podli... – przypomniał Lucjusz.

– A nie, to nie o nim. Podły jest mój były chłopak...

– Ten bez ambicji?

– Tak, on. Kumpela właśnie napisała, że narobił mi niezłej siary. Rozpowiedział po całym Zakopanem, że jestem kurwą.

– Słucham?!

– Niestety – westchnęła z wyraźną irytacją. – Moja przyjaciółka była dzisiaj w naszym lokalnym sklepie i słyszała rozmowę dwóch starych bab, które mnie obgadywały. Ponoć całe miasto huczy o tym, że pojechałam do stolicy tylko po to, żeby się puszczać za kasę z kim popadnie. I to wszystko przez niego! Mam ochotę go zabić. I nawet nie wiem, czy chce mi się teraz wracać do domu. Najchętniej

wysiadłabym w Krakowie i wróciła pociągiem do Warszawy. I nie wracała do tej cholernej dziury już nigdy więcej w życiu. Ale tak nie zrobię...

– Dlaczego?

– Po pierwsze, ze względu na ojca. To wspaniały człowiek, a na okrągło spotykało go coś złego. Najpierw śmierć mojej mamy. Ona rządziła naszym domem i nim. Kiedy zachorowała na raka, a potem odeszła, tata był na skraju załamania. Myślę, że gdyby nie miał mnie, wylądowałby w zakładzie psychiatrycznym. Ale... Skończyłam wtedy trzynaście lat. Wiedział, że musi być silny. A potem... Miał wypadek. Wracał wieczorem zakopianką. Była noc, zima, widoczność prawie zerowa. Ktoś mu nagle wyskoczył przed maskę. Nie miał jak zahamować. Zresztą wszystko działo się w ułamku sekundy. Zatrzymał się, wezwał pogotowie, policję. Miał zresztą świadków, którzy potwierdzili jego słowa. Ta osoba, którą przejechał, młoda kobieta... Ludzie mówili, że wyglądało to tak, jakby zrobiła to specjalnie...

– Samobójstwo?

– Nigdy tego nie wyjaśniono. Turystka. Z Warszawy. Miała dwadzieścia osiem lat.

– Kiedy to było? – Lucjusz zmarszczył brwi.

– Pięć lat temu – odpowiedziała Agnieszka. – A co?

– Nic, nic... Zwykła ciekawość.

– W każdym razie po tym wypadku ojciec znów był w złej formie. Prokurator, oczywiście, nie dopatrzył się żadnej jego winy, zeznania świadków były jednoznaczne, ale tata przez cały czas, aż do dzisiaj, wyrzuca sobie, że mógł jechać wolniej, niż nakazywały przepisy, że przy tak fatalnej pogodzie powinien był jednak zachować większą ostrożność. Nie daje mu to spokoju. No i teraz jeszcze dobić go informacją, że nie przyjeżdżam? W chwili, kiedy wiem, jak bardzo za mną tęskni i jak bardzo mu na tym zależy? Nie, nie mogę mu tego zrobić. Pojadę tam i będę patrzyła tym wszystkim wścibskim

wiedźmom prosto w oczy. Mam zamiar przedefiladować samym środkiem miasta. Kilka razy! A Patryka nie chcę widzieć już nigdy w życiu na oczy.

Choć imię to pojawiło się w ich rozmowie po raz pierwszy, Kędziak nie miał wątpliwości, do kogo należy. Nurtowało go od pewnego czasu zupełnie coś innego.

– Dlaczego mi o tym opowiadasz? – zapytał ostrożnie.

Agnieszka roześmiała się cicho.

– Jest jeszcze jeden powód, dla którego nie chcę zrezygnować z podróży do Zakopanego – wyjaśniła powoli. – Ten ostatni mężczyzna, który tak bardzo mnie zafascynował, będzie tam dokładnie w tym samym czasie co ja. I co więcej, doskonale go znasz.

– Ja?! – Lucjusz zdumiał się tak, że o mały włos, a byłby zderzył się z kolejnym TIR-em. – Jakim cudem?

– Bo to jest twój przyjaciel – odpowiedziała z uśmiechem Staszeczek.

– Kto?! – Kędziak zrobił wielkie oczy.

– Marek Muszyński.

– Naprawdę?! – Lucjuszowi, jak bardzo by się nie starał, trudno było sobie wyobrazić literata jako bohatera ognistego romansu. Już prędzej jako sklapcaniałego ojca trójki pociech i męża jakiejś współczesnej Ksantypy. – To dlaczego jedziesz ze mną, a nie z nim?!

– Słuchałeś w ogóle tego, o czym opowiadałam...? – zapytała z wyrzutem.

– No tak... Skoro chcesz ukryć swoją relację z Markiem, to zrozumiałe. – Kędziak układał w głowie fakty, z których jeden nieco go zaniepokoił. – Choć z drugiej strony, skoro twierdzisz, że tamten furiat jest nieobliczalny, to nie boisz się, że jazda ze mną też wyda mu się podejrzana i ściągnie ci na głowę kłopoty? A przy okazji też i mnie?

– Kiedy mój ojciec zadzwonił z informacją, że załatwił mi podwózkę do Zakopca, on akurat był w domu. Telefon był włączony na głośnik.

A do tego... – Agnieszka znowu się zaśmiała – ...tata, kiedy o tobie mówił, określił cię jako „emerytowanego sportowca”, a potem ciągle używał słów „ten emeryt”. Wyszło na to, że jesteś staruszką, a przecież o kogoś takiego nie ma co być zazdrosnym.

– No tak. – Lucjusz przez moment pozbywał się z wyobraźni wizji siebie z siwą brodą i równie siwymi włosami, pomarszczonego i, co w tym wszystkim było najbardziej przerażające, mającego z tyłu zamiast jędrnego tyłka, dwa trzęsące się przy każdym ruchu, galaretowate budynie, a z przodu w miejsce wypielegnowanego kaloryferka piwny bandzioch ukryty pod zbyt krótkim podkoszulkiem à la Ferdek Kiepski.

– Marek to w ogóle wie, że jedziesz ze mną?

– Nie. Kiedy skojarzyłam, że mój ojciec poprosił właśnie ciebie o zabranie mnie do Zakopanego, chciałam mu o tym powiedzieć, ale po namyśle doszłam do wniosku, że zabawniej będzie go zaskoczyć. Wyobrażasz sobie jego minę, kiedy zobaczy, że się znamy?

– Dziwne. – Lucjusz patrzył na nią przez tak długo, jak tylko pozwalało mu prowadzenie auta. – Na początku miałem cię za ponuraczkę...

– Sorki, byłam wściekła na tego gnojka. – Agnieszka wzruszyła ramionami. – Nadal zresztą jestem. Mam nadzieję, że mi się nie napatoczy nigdzie w Zakopanem, bo nie ręczę za siebie.

– Słuchaj... Tak sobie myślę... – rzekł Lucjusz niepewnie, zastanawiając się, czy wyjście przed orkiestrę, jakie teraz planował, zostanie dobrze odebrane przez jego przyjaciół. – Trzydziestego planujemy kulig.

– Z Łuszczakiem, wiem.

– Dokładnie. Może byś z nami pojechała? Oderwiesz się trochę od rzeczywistości, zabawisz się...

– Marek mi to już proponował – poinformowała go, ku jego olbrzymiej uldze, Agnieszka. – Jeśli to nie będzie nikomu przeszkadzało...

– A komu miałyby przeszkadzać? – prychnął Lucjusz. – To fajna ekipa. Sama zobaczysz!

– Jeśli są w niej kobiety, to na bank którejs z nich będę przeszkadzać – rzekła Agnieszka.

– Są – potaknął Kędziak – ale mogę się założyć, że cię polubią...

– Nie sędzę. – Staszeczek pokręciła z przekonaniem głową. – Kobiety mnie nie lubią. Sam zobaczysz.

I, jak się szybko miało okazać, bynajmniej się w tej kwestii nie pomyliła.

ROZDZIAŁ VIII

ŻART

Jako pierwsza do pensjonatu „Pod Śnieżycą” dotarła Karina. Wjeżdżając na parking, z zadowoleniem popatrzyła na niewielki budynek. W porównaniu do większości tego typu zakopiańskich obiektów, ten prowadzony przez Wincentego Staszeczka zdawał się po prostu filigranowy. Zbudowany w szacunku dla podhalańskiej tradycji z drewna i naturalnego kamienia, położony na peryferiach miasta i na skraju lasu, stanowił świetną bazę wypadową do Morskiego Oka czy na Kopieniec. W bliskiej odległości od niego znajdowały się też Dolina Olczyska, kompleks narciarski Nosal i Kuźnice, skąd można było wjechać kolejką linową na Kasprowy Wierch. Trochę dłuższy spacer trzeba było sobie zafundować, aby dojść do Krupówek, ale to akurat Kariny w ogóle nie bolało. Nie zamierzała ani niczego kupować, ani jak to dawniej robili z przyjaciółmi, biegać po zakopiańskich klubach. Jej marzeniem, przynajmniej na razie, było to, aby po prostu wypocząć.

Zalewska przywitała się z gospodarzem. Starszy, na oko sześćdziesięcioletni góral był bardzo uprzejmy, acz wydał jej się też smutny, w czym akurat nie widziała nic dziwnego, bo sama również ostatnio nie buchała nadmierną wesołością i optymizmem.

Błyskawicznie dopełnił formalności związanych z zameldowaniem, po czym wręczył jej klucz.

– Kto pierwszy, ten lepszy – poinformował ją, mrugając porozumiewawczo. – Ma pani pokój na pierwszym piętrze. Kto przyjedzie następny, dostanie ten naprzeciw pani. Kolejna dwójka będzie musiała wchodzić na drugie piętro, a ostatnia na trzecie. I jeszcze spać w jednym pokoju, bo na poddaszu nie ma więcej pomieszczeń.

Karina z rozbawieniem pomyślała, że jeśli jako ostatni do Zakopanego dotrą Miśka i Mario, to – znając ich niechęć do przemęczania się w jakimkolwiek aspekcie życia – choć im akurat wspólny pokój nie sprawi różnicy, to prędzej będą spali na stole w znajdującej się na parterze jadalni, niż pokonywali dzień w dzień kilkadziesiąt schodów, ale zachowała tę myśl dla siebie. Pozwoliła góralowi wnieść swój bagaż do pokoju, po czym, kiedy już zostawił ją samą, z przyjemnością rozejrzała się po jego wnętrzu.

Mniej więcej dwudziestometrowe pomieszczenie wykończona została drewnem i wyposażona w ozdobione rycinami meble, łóżko, a właściwie potężne łożo, biurko, dwa krzeselka, szafę na ubrania, wszystkie według zapewnienia Wincentego ręcznej roboty i pochodzące z najlepszych lokalnych zakładów. W przeciwieństwie do rustykalnego wystroju pokoju, przynależna do niego całkiem okazała łazienka wyposażona była nowocześnie i posiadała nawet wannę z hydromasażem. Karina odnotowała jeszcze, że jej niewielki balkon wychodzi na Tatrzański Park Narodowy oraz że ma do dyspozycji telewizor, małą, sprytnie schowaną w biurku lodówkę, czajnik i kubeczki. A nawet kawę oraz kilka torebek różnych herbat do wyboru. Nie było źle. Powoli zaczęła rozpakowywać swoją torbę i układać rzeczy w szafie. Nie znosiła, kiedy ubrania leżały w innych miejscach niż te przeznaczone do ich przechowywania. Kiedy była dzieckiem, dostała nawet na jednych koloniach odznakę „świra turnusu”, nieoficjalnie przyznaną i wykonaną przez współlokatorki po

tym, jak posprzątała i poukładała wszystkim rzeczy nie tylko w ich wspólnym pokoju, ale i niejako siłą rozpedu też w pięciu innych.

Powoli kończyła rozpakowywanie, kiedy przez uchylone drzwi balkonowe usłyszała, że pod wejście podjeżdża kolejne auto. Wyjrzała i zobaczyła mknące między dwiema zaspami, z jakich składało się pobocze drogi wiodącej do pensjonatu, srebrne bmw. Należec mogło ono tylko do jednej osoby.

– Olga! – krzyknęła z radością, rozkładając ramiona w powitalnym geście kilka minut później. – Jak miło cię zobaczyć!

Lubiecka, ubrana tak, jakby przyjechała na pokaz strojów zimowy do Aspen, a mianowicie w sprawiającą wrażenie kompletu z autem srebrną kurteczką z futrzanym kołnierzem, idealnie podkreślający jej płaski brzuch czarny golf oraz obcisłe równie czarne połyskujące jeansy, wydała z siebie okrzyk, wypuściła z rąk torby i szybko podbiegła do dawnej przyjaciółki.

– Wreszcie! – rzekła z radością. – Ile to już lat?! Miałam do ciebie zadzwonić, żebyśmy się umówiły na kawę, ale sama wiesz, jak jest z czasem. Zlatuje nie wiadomo kiedy i ciągle przyspiesza. Poza tym wiecznie jestem w rozjazdach. Non stop latam między Paryżem, Mediolanem, Londynem, Nowym Jorkiem... A ty?

– Non stop latam między zapaleniem oskrzeli, anginą, grypą a infekcją gardła – westchnęła Karina.

– Współczuję. – Olga kątem oka spostrzegła zbliżającego się Wincentego. – Pan jest naszym gospodarzem? Bardzo mi miło! Gdzie będę mieszkała? Na piętrze? W takim razie proszę zanieść mi tam bagaże, a ja jeszcze przez chwilę porozmawiam z przyjaciółką. Nie widziałyśmy się tak długo, że muszę się nią nacieszyć, zanim przyjedzie reszta i mi ją porwie. Ach, jeszcze jedna walizka została w bagażniku. Jest otwarty...

Zaskoczony Staszeczek, który początkowo chciał zaprotestować przeciw robieniu z niego bagażowego, na widok dziękczynnego uśmiechu na twarzy Olgi, z werwą chwycił za jej klamoty i po chwili

słyszeć było już tylko jego człapanie po schodach. Obserwująca tę scenę z zaciekawieniem, Karina cicho zachichotała.

– Jak widzę, ciągle działasz dopingująco na facetów – zauważyła z ironicznym wyrazem twarzy.

– A co? – zaśmiała się Olga. – Niech znają swoje powinności wobec nas i miejsce w szeregu. Jesteś tu od dawna? Jak tu jest? Da się przeżyć?

– Przyjechałam niespełna pół godziny temu – przyznała Zalewska. – Na razie wszystko prezentuje się w porządku. Pokoje ładne. Czysto.

– Zastanawiam się, dlaczego Lucek wybrał coś nowego, a nie jedną z naszych poprzednich met. – Olga rozejrzała się dokoła. – Choć przyznaję, że to miejsce na pierwszy rzut oka nie jest złe... A co u ciebie? Wyrwałaś się bez trudu? Bo ja sama sobie sterem, żeglarzem i okrętem, ale ty, z tego, co pamiętam, to chyba byłaś z kimś...

– Nie możesz tego pamiętać, bo widziałyśmy się ostatnio pięć lat temu na moich urodzinach – przypomniała Zalewska. – A mojego byłego poznałam pół roku później.

– Naprawdę...? – zdziwiła się Olga. – To pewnie musiałam od kogoś usłyszeć. I... dobrze usłyszałam słowo „byłego”?

– Niestety – potwierdziła Karina – albo i na szczęście. Zależy, z której strony na to spojrzeć.

– Brzmi zagadkowo...

– Ale nie jest. Po prostu trafiłam na narcyza...

– Aaaaaa. – Olga posłała jej porozumiewawcze spojrzenie. – Czyli drań, ale o uzależniającej osobowości? Jak mocno wpadłaś? Szkody tylko emocjonalne czy materialne też?

– Rozumiem, że znasz ten typ – bardziej stwierdziła, niż zapytała Karina, czując lekkie zdziwienie. W końcu po kim jak po kim, ale po pięknej modelce należało się spodziewać, że to ona będzie bawić się mężczyznami, a nie na odwrót. Tym bardziej że – z tego, co Zalewska pamiętała z ich wspólnych licealnych czasów – co jak co, ale sztukę

uwodzenia tudzież wodzenia chłopaków za nos jej przyjaciółka miała opanowaną do perfekcji. I nie bez przyczyny zawsze miała wyższe oceny z tych przedmiotów, których nauczali przedstawiciele płci brzydkiej. Łącznie z historią i to mimo że przepytywana na okoliczność poprawy oceny miernej na dostateczną, Lubiecka na pytanie, co dobrego dla Rzeczypospolitej zrobił ostatni z Jagiellonów, odpowiedziała niepewnie: „Umarł?”. Ostatecznie na świadectwie miała trójkę, choć jej odpowiedź z historycznego punktu widzenia pozostawiała wiele do życzenia.

– Aż za dobrze! – przyznała Olga. – Przyciągam takie typy. Moja tarocistka zwała to wszystko na znak zodiaku. Wodniki z końca stycznia tak właśnie mają. Byłam do tej pory w trzech poważniejszych związkach i trudno byłoby mi rozstrzygnąć, który z moich partnerów był największym psychopata. Na szczęście nauczyłam się w końcu rozpoznawać takie typy na odległość. Nawet w aplikacjach randkowych. Wystarczy, żeby facet napisał, że szuka partnerki „z dystansem”, aby natychmiast przesunąć jego zdjęcie na ekranie w lewo.

– A cóż złego jest w dystansie? – zdumiała się Karina.

– Dystans w rozumieniu facetów to w dziewięciu przypadkach na dziesięć zgoda na jego szowinistyczne albo chamskie zachowanie. Jeśli tego nie akceptujesz, to znaczy, że nie masz dystansu – wyjaśniła Olga. – Podobnie zresztą jest z szukaniem „domatorki”. Gdy ktoś pisze coś takiego, to znaczy, że widzi cię z jedną ręką w garach, szykującą obiad, drugą z żelazkiem, prasującą jego gacie, a do tego z mopem w dupie. Dziękuję, wolę być sama.

– Chyba przesadzasz – zaprotestowała Karina, rozbawiona trochę wizją siebie jako robota wielozadaniowego i dumająca, że gdyby coś takiego opatentować, to pewnie cieszyłoby się u mężczyzn większą popularnością niż u kobiet Thermomix. – Nie może być aż tak źle. Nie odbieraj mi nadziei na to, że jeszcze spotkam kogoś rozsądnego.

– Ja ją już powoli tracę – przyznała Olga. – Dlatego postanowiłam, że chcę zostać samotną matką. Facet jest mi potrzebny tylko na etapie

dochodzenia do tego celu...

– Ale dlaczego... – Karina poczuła, że ma całe morze pytań, ale już pierwsze z nich przerwał jej warkot kolejnego samochodu.

– Ciekawe, kto to! – Olga klasnęła, odwróciła się i pobiegła do drzwi. – Land rover! To może być tylko nasz *futbol superstar!*

Karina wolno podeszła do niej, aby zobaczyć, jak na parkingu zatrzymuje się wielka kolubryna, z której faktycznie wysiada Lucjusz. Ze zdziwieniem odnotowała jednak, że otwierają się także drzwi po stronie pasażera. Wysunęła się z nich szczupła, wysoka, młodziutka blondynka. Kiedy odwróciła się do nich twarzą, Zalewska wzięła głębszy oddech.

– Agnieszka! – rozległ się za nią radosny okrzyk ich gospodarza. Wincenty wybiegł z pensjonatu, podbiegł do dziewczyny i chwycił ją w objęcia. – Moja córka – przedstawił ją minutę później przyjaciółkom. – Poprosiłem pana Lucjusza, żeby w uprzejmości swojej przywiózł ją tu ze stolicy. Mam nadzieję, że nie zanudziła pana po drodze? Agnieszka czasem tak papla, że nie można wytrzymać.

– Dzięki, tatko – prychnęła dziewczyna.

– Wręcz przeciwnie! – zapewnił Lucjusz. – Podróż zleciała nam w sekundę. Głównie za sprawą tak fantastycznego towarzystwa. – Skłonił się szarmancko w stronę Agnieszki. – A skoro już o towarzystwie mowa. Czy ja was mogę wciągnąć w mój pierwszy dowcip?

– Skoro musisz... – westchnęła Olga. – Naprawdę uważam, że jesteśmy za starzy na takie wygłupy.

– E tam. – Lucjusz niecierpliwie machnął ręką. – Posłuchajcie mnie uważnie...

Wynikiem jego kolejnych słów było to, że kiedy mniej więcej godzinę później, w zapadających powoli ciemnościach na parking wjechał citroën Marka, nie stał tam żaden inny pojazd. Pensjonat tonął zaś w ciemnościach. Muszyński wysiadł, rozejrzał się ze zdziwieniem, po czym podszedł do wejścia i nacisnął klamkę. Drzwi nie ustąpiły.

Marek zapukał, a kiedy nie doczekał się żadnej reakcji, uczynił to po raz drugi, zdecydowanie mocniej.

– Już idę, już idę – usłyszał ze środka. Po chwili rozległo się chrobotanie zamka i drzwi powoli zaczęły się otwierać. Przygarbiony starszy człowiek, stojący w nich, opatulony był kołdrą i nie wyglądał na zdrowego. – W czym mogę pomóc?

– Przyjechałem tu na wypoczynek – poinformował go Marek. – Mam rezerwację. To pensjonat „Pod Śnieżycą”, prawda?

Starszy człowiek westchnął ciężko.

– Tak się to miejsce zwało dawno temu – rzekł nieco zachrypniętym, smutnym głosem – ale od kilku lat jest już zamknięte. Ja tu tylko pilnuję, żeby nie rozkradli tego, co zostało. Nowy pensjonat jest zupełnie gdzie indziej.

– Ale przecież... – Marek popatrzył na swojego rozmówcę bezradnie. – Nawigacja pokazała mi, że miejsce, do którego mam dojechać, jest właśnie tu.

– Nawigacja. – Starszy pan westchnął. – Pewnie jej jeszcze nie zaktualizowali. Nie, młody człowieku, tutaj żadnego miejsca do wypoczynku pan nie znajdzie. Może to i lepiej, bo dziwne rzeczy się tu wyprawiają i nawet ja, choć mało jestem strachliwy, czasem dostaję gęsiej skórki, kiedy widzę, a przede wszystkim słyszę, co się tu dzieje...

– A co się dzieje? – zaciekawiał się Marek.

– Dźwięki różne dochodzą tu z każdego kąta – poinformował go grobowym tonem starszy pan. – Czasem rzeczy same się przesuwają z miejsca na miejsce. Postaci różne w oknach widać, choć przecież dom od lat już opuszczony i pusty...

– Co pan powiada? – Marek od najmłodszych lat panicznie bał się zjawisk paranormalnych i teraz histeria wyparła mu z głowy wszystkie inne uczucia, a przy okazji też zdolność racjonalnego myślenia. – Tu naprawdę straszy?

– Każdy to panu potwierdzi, bo wiele osób było tego świadkiem. Niektórzy ludzie boją się nawet chodzić po okolicy.

Marek wcale się im nie dziwił.

– A ten nowy pensjonat to jest gdzie? – zapytał, czując, że nie ma ochoty ani chwili dłużej przebywać w tym nawiedzonym miejscu i być narażonym na jakieś akustyczne, albo i co gorsza też wizualne, wstrząsy. – Wskaże mi pan drogę?

– Prosta jest – rzekł pocieszająco starszy pan. – Jak pan wyjedzie z parkingu, to niech jedzie tak, jak tutaj, tylko w odwrotną stronę, a gdy dotrze pan do ronda, tego z dużymi tablicami reklamowymi, to musi pan skrócić w pierwszy zjazd po lewej i tam jechać aż do końca ulicy. Tam zobaczy pan duży, biały budynek. To właśnie będzie pensjonat.

– Dziękuję. – Marek miał nadzieję, że wszystko dobrze zapamiętał. W jego stanie nie było to takie pewne. – Do widzenia.

– Nie sądzę, młody człowieku. – Starszy pan zmierzył go uważnym spojrzeniem, po czym poprawił swoje nakrycie i powoli zamknął drzwi.

Marek jeszcze raz rzucił okiem na pensjonat, teraz sprawiający na nim wrażenie przerażającego, czym prędzej pospieszył do swojego citroëna. Wyjeżdżał już z parkingu na drogę, kiedy zobaczył na drugim jej krańcu światła. Podjechał jeszcze kilkadziesiąt metrów, po czym ztrzymał auto i wysiadł z niego. Zmierzająca najwyraźniej do pensjonatu dacia duster zatrzymała się tuż obok niego.

– Marek! Ty stary draniu! Nic a nic się nie zmieniłeś! – Mario też opuścił swój samochód i rzucił się, aby wykonać z Muszyńskim uścisk na tak zwanego „misia”.

– A czemu miałbym się zmieniać? – zdziwił się pisarz. – I to ledwie przez rok!

– Wiesz, ile możesz przez rok zmienić? Możesz się roztyć, wyłysieć albo osiwieć. A ty nic! Cały czas taki sam!

– Cześć, Mareczku. – Miśka ziewnęła przeciągle i pomachała Muszyńskiemu dłonią, nie ruszając się z miejsca. – Później się na ciebie rzucę. Boszzzz... Jaka jestem niewyspana.

– Przedziwne – mruknął Mario – wzięwszy pod uwagę, że już od Kielc chrapałaś niczym kucyk na kacu.

– Ja?! – zdumiała się szczerze Miśka. – A kto niby zabawiał cię intelektualną konwersacją?

– Głównie moja przyjaciółka Miley Cyrus – westchnął Kosek – i nie była to konwersacja, tylko jej monolog. Wyśpiwany. No dobrze... – Wrócił wzrokiem do Marka. – Czemu zawracasz? Już masz ich wszystkich dość? Szybko!

– Nie, nie. – Muszyński pokręcił głową. – To podobno nie ten pensjonat. Nawigacja źle pokazuje. Trzeba jechać do właściwego. Niedaleko.

– Jak to nie ten? – zdziwił się Mario. – Moja też pokazuje to miejsce.

– Ale nikogo tam nie ma. Poza jednym dziwnym starszym gościem – wyjaśnił Marek. – Wszystko sprawia wrażenie wymarłego. A poza tym tam... straszy...

To ostatnie słowo wypowiedział tak cicho, że dotarło ono w pełni tylko do Mario.

– Co robi? – Miśka aż wychyliła się ze swojego siedzenia, będąc pewna, że źle słyszy.

– Straszy – powtórzył Marek, lekko ze wstydu czerwieniejąc na twarzy, co w sumie można było zwalić też na panujące warunki atmosferyczne. – Ten człowiek powiedział, że to nawiedzone miejsce, wszyscy w okolicy się go boją i wolą nie przebywać nawet w jego pobliżu. Ja też bym nie chciał...

– Ty i twoje strachy na lachy – roześmiał się Mario. – Daleko ten właściwy pensjonat? Wiesz, jak dojechać?

– Tak. – Marek energicznie pokiwał głową. – Jedźcie za mną!

– Węszę tutaj jakiś podstęp – powiadomił Mario Miškę minutę później, ruszając w drogę w ślad za swoim przyjacielem.

– Myślisz, że to pierwszy żart? – zaciekała się.

– Tak mi się wydaje – przyznał Mario. – Weź no zadzwoń do Lucjusza i zapytaj.

Miśka posłusznie spełniła jego polecenie i przez moment po wstępnym: „Cześć, tu Dominika” wydawała z siebie tylko potakujące „yhm” i „ehe”.

– No więc masz całkowitą rację – powiadomiła, kiedy już rozłączyła się z Kędziakiem. – Gorzej tylko, że na miejscu mamy wziąć w tym czynny udział.

– W czym?

– W tym, co wymyślił nasz ukochany przyjaciel. – Ton głosu Miśki wskazywał, że nie ma ona najlepszego zdania nie tyle może o Lucjuszu, ile o jego pomysle. – Poczekaj, już ci mówię...

W wyniku jej relacji Mario nie mrugnął nawet okiem, kiedy dojechawszy na miejsce, pod jakiś niewielki góralski dom, bynajmniej nie sprawiający miłego wrażenia, zobaczyli tam zaparkowane samochody z warszawskimi rejestracjami.

– Wygląda na to, że dziewczyny są już na miejscu – zauważył Marek, kiedy szli z parkingu w stronę budynku. – Nie ma jeszcze Lucjusza, ale to nic dziwnego. Zawsze wszędzie się spóźniał. Łącznie z meczami. Na jednym nie było go nawet na śpiewaniu hymnu. Nie wiem, czy bramki, które potem zdobył, w ogóle powinny się liczyć.

Doszli do drzwi i zapukali.

– A to wy? – Otworzyła im wyraźnie zirytowana, szczupła kobieta z taką fryzurą, jakby, zdaniem Mario, chwilę wcześniej miała bliskie spotkanie z gniazdkiem elektrycznym. – Co tak późno przyjechali?

– Przecież jest dopiero po dziewiętnastej – zauważył ze zdziwieniem Marek. – Nie wiem, czy dobrze trafiliśmy. Tu jest teraz pensjonat „Pod Śnieżycą”? Bo nie widzę żadnego szyldu.

– A po co szyld? – zdziwiła się gaździna. – Nie lubię, kiedy trafiają tu przypadkowi ludzie. Mąż i ja sami wybieramy tych, których chcemy gościć... – Wypowiedziała te teoretycznie miłe słowa takim

tonem, że Muszyński aż poczuł dreszcz przestachu na plecach. – Chcą się napić czegoś ciepłego?

Marek uprzejmie odmówił. Mario i Miśka potaknęli. Po chwili gaździna wręczyła im po ozdobnym kuflu.

– Ciepły miód – poinformowała, mierząc ich mało życzliwym, zdaniem Marka, spojrzeniem. – Najlepiej rozgrzewa, kiedy na dworze zimnica. Niech piją. Na zdrowie!

– Czy to tylko moje odczucie, czy w tej kobiecie jest coś... dziwnego? – zapytał pisarz, kiedy gaździna poszła po, jak to określiła, księgę, do której musiała wpisać ich dane.

– Tak, zdecydowanie – potaknął Mario. – Jest w niej coś demonicznego.

– Też to zauważyłeś?! – Muszyński odetchnął z wyraźną ulgą. – Bo już myślałem, że to ja zacznęm świrować.

– Nie, nie. – Miśka włączyła się do rozmowy. – Mnie też skojarzyła się z moją sąsiadką. Pamiętasz, Mario, opowiadałam ci o niej.

– Jaką sąsiadką? – zapytał Marek, starając się zapanować nad swoimi zębami, które zaczęły wykazywać niezdrową skłonność do szczekania.

– Dwa lata temu do mojego bloku wprowadziła się dziwna kobieta – wytłumaczyła mu Miśka cichym głosem. – Nawet bardzo dziwna. Ubierała się na czarno, nigdy się nie uśmiechała. Z jej mieszkania zawsze dochodził zapach kadzidełek, a w nocy jakieś zawrota głowy. Odwiedzali ją podobni do niej ludzie. Mieszkała przez kilka miesięcy i pewnego dnia zniknęła. Musiała się wyprowadzić w środku nocy, bo nikt tego nie widział. Po kilku dniach zaś przyjechała policja. Weszli do jej mieszkania i podobno znaleźli tam ślady ludzkiej krwi i wiele akcesoriów związanych z kultem voodoo. Potem dowiedziałam się, że była poszukiwana w sprawie zaginięć ludzi i podejrzewano ją o kilka morderstw.

– Żartujesz? – Marek poczuł, że w komplecie do zębów, musi też zacząć pilnować rąk, które podejrzanie zlodowaciały. Na pewno nie

było to spowodowane zimnem, bo w pensjonacie panował gorąc, jakby grzali tu sami diabli.

– Chciałabym, ale nie. – Miśka smętnie pokręciła głową. – Kiedy pierwszy raz jechałam windą z tą kobietą, poczułam w duszy to samo ostrzeżenie co tutaj na widok naszej gospodyni. I teraz zastana...

– Dowody mi dadzą! – Głos gaździny nagle przerwał jej wypowiedź.

Marek drgnął i – czego tak Miśka, jak i Mario byli pewni – ledwo co powstrzymał wydanie z siebie przeraźliwego krzyku.

– Przepraszam, ale gdzie są nasze przyjaciółki? – zapytał niespokojnie.

– Jakie przyjaciółki? – Kobieta popatrzyła na niego spode łba.

– Te, które przyjechały wcześniej – wytłumaczył Marek. – Ich samochody stoją przed pensjonatem...

– Poszły spać... – poinformowała go takim tonem, że Muszyński z miejsca nabrał podejrzeń, czy aby powiedziała prawdę. – Zmęczone były...

– I nie poczekały, żeby się z nami przywitać? – Marek wypowiedział to pytanie dziwnie piskliwym tonem, konstatuując, że do grona buntujących mu się organów doszło jeszcze gardło, i przelotnie dumając nad tym, co odmówi mu posłuszeństwa w następnej kolejności. Miał szczerą nadzieję, że nie nogi.

– Jakoś dziwnie się czuję – usłyszał szept Miśki.

– Ja też – brzmiała odpowiedź Mario.

Marek z teraz już lawinowo narastającą paniką przeniósł wzrok z trzymającej się za brzuch Dominiki na Koska przytrzymującego się krawędzi kantorku, przy którym stali. A potem popatrzył na trzymany przez niego w dłoni kufel.

– Co pani im podała?! – krzyknął, kiedy Mario nagle osunął się na podłogę. – Co tam było?

– Trzeba było też się napić! – Gaździna miała już prawdziwie diaboliczny wyraz twarzy, co podkreślało dodatkowo liche oświetlenie

i padający na nią blask ze znajdującego się obok kantorku kominka. – Nic by nie poczuł... A tak to...

– Tak to co? – wypiszczał już bez mała altem Muszyński. Odgłosy za jego plecami wskazywały, że i Miśka nie była już w stanie utrzymać pionu. – Co to wszystko ma znaczyć?!

– Niebawem się przekona... – rzekła chrypliwie właścicielka pensjonatu, sięgając pod kantorek.

Marek poczuł, że ma w nosie to, co stanie się z jego przyjaciółmi. W końcu kumplowali się jakieś pięćset lat temu, a ostatnio nawet nie dzwonili do siebie na Nowy Rok. Poza tym pewnie już i tak nie żyją. A on ciągle tak i bardzo by chciał ten stan utrzymać. Nie wdając się więcej w żadne dyskusje z gaździną i nie czekając, jakie śmiercionośne narzędzie wyciągnie ona spod kantorka, runął do drzwi. Te, ku jego rozpaczy, okazały się zamknięte. Muszyński przez moment siłował się z klamką, po czym, widząc, że na nic się to zdaje, pobiegł w stronę schodów na piętro, wiedziony myślą, że wejdzie tam do pierwszego lepszego pokoju i wyskoczy oknem. Upadek z tej wysokości i to w dodatku w śnieżne zasy py chyba nie groził mu niczym strasznym. A nawet jeśli coś sobie skreśli albo nawet złamie, to i tak lepsze niż zgon. Z prędkością godną Usaina Bolta pokonał dystans między drzwiami a schodami, a następnie wbiegł na górę, pokonując po dwa stopnie naraz. Czując, że za chwilę trafi go udar albo inny tam zawał, rozejrzał się po niewielkim korytarzyku, a następnie, słysząc, że gaździna też wchodzi na schody, nacisnął klamkę do pierwszych drzwi z lewej, gwałtownie je otworzył i poczuł, jak kamienieje.

Na ogromnym łożu, oświetlona blaskiem niewielkiej nocnej lampki, leżała Olga. Miała otwarte usta, nieruchomy wzrok wpatrzony w sufit i dziwnie rozrzucone ręce. Nie to jednak było najgorsze i sprawiło, że Marek poczuł, jak serce przesuwa mu się w stronę przełyku, a za moment pewnie spróbuje wydostać się na zewnątrz. Tym, co przeraziło go do granic jestestwa, był widok plamy krwi i rękojeści noża, wystającej z klatki piersiowej jego przyjaciółki. Marek nie miał

nawet jak krzyknąć, bo wędrujące po jego ciele serce dotarło właśnie do strun głosowych i uniemożliwiło ich wykorzystanie. Czując, że nie umie podejść bliżej zwłok, popatrzył za siebie, sprawdzając, czy gaździna już tam nie stoi i nie wyśle za moment do nieba albo piekła także i jego. Odnotowawszy, że kobiecina nadal jest na schodach, Muszyński przebiegł przez korytarz i otworzył drzwi do pokoju vis-à-vis tego, w którym żywota dokonała Lubiecka. Poczul wszechogarniający go chłód, którego źródłem było otwarte okno. Kolejny makabryczny widok, Kariny, leżącej na podłodze na brzuchu obok rozbitego kufła, który najwyraźniej wypadł jej przed śmiercią z dłoni, nie był już w stanie spotęgować jego paniki, głównie dlatego, że kilka sekund wcześniej doszła ona do zenitu. Marek nie wahał się już ani chwili. Słyszając po charakterystycznym skrzypnięciu podłogi, że gaździna doszła na piętro, podbiegł do okna, otworzył je na oścież, wyjrzał na zewnątrz i odnotowawszy z ulgą, że znajduje się pod nim wyjątkowo duża zaspą, wdrapał się na parapet, a następnie bez chwili namysłu skoczył. Gdy tylko poczuł, jak ląduje w miękkiej otulinie śniegu, oślepił go nagły ostry blask. Zaczął gramolić się z zaspą i w tym momencie usłyszał zewsząd śmiech i oklaski.

– No, stary – dobiegł go znajomy głos. – To był skok godny samego Kozakiewicza, tyle że odwrotnie, bo on skakał do góry, a ty w dół!

– Lucjusz?! – Muszyński przez moment jeszcze niczego nie rozumiał.

– We własnej osobie. – Blask stał się nieco mniej oślepiający i po chwili pozwolił Markowi zobaczyć stojących wokół zaspą Kędziaka, starszego pana, który nie tak dawno wskazał mu drogę do tej cholernej mordowni, oraz... jego ukochaną Agnieszkę!

– Co wy tu...? – zaczął, ale w jednej chwili uświadomił sobie, w czym wziął właśnie udział. – Ty sukinsynu! Niech no ja cię tylko dorwę!

Rechoczący głośno Lucjusz na widok Marka, opuszczającego ze wściekłą miną zaspą, schował się za Agnieszkę.

– Pozwól, kochanie – rzekła ta z miną niewiniątka – że przedstawię ci mojego tatę. Ojczulku, to jest właśnie Marek Muszyński, o którym ci kilka razy opowiadałam.

– Bardzo mi miło. – Pisarz całym wysiłkiem opanował emocje i uścisnął wyciągniętą przez Wincentego dłoń, postanawiając odłożyć trochę w czasie plan natychmiastowego zmasakrowania Lucjusza.

– Mnie także – zapewnił Staszeczek. – Mam nadzieję, że nie obrazi się pan za nasz maleńki żarcik.

– Maleńki... – westchnął Marek.

– Kto mógł przewidzieć, że aż tak spanikujesz?! – zauważył, ciągle zza pleców Agnieszki, Kędziak. – Liczyliśmy, że się trochę złękiesz i tylko narobisz krzyku, a nie że będziesz tutaj skutecznie jakiegoś konkurencje sportowe. To jak...? Mogę cię uściskać na powitanie czy wybaczysz mi dopiero po piątym grzańcu?

– Możesz, cholerny draniu... – zapewnił Marek.

Kiedy jednak Lucjusz podszedł do niego, ten dał mu kuksańca w brzuch.

– Zasłużyłeś! – stwierdził mściwie, kiedy kolega rzucił mu pełne wyrzutu spojrzenie. – Mogłem sobie coś złamać!

– No co ty?! – roześmiał się Lucjusz. – Co prawda nikt poza mną tak naprawdę nie spodziewał się, że zdecydujesz się na skok z okna, ale na wszelki wypadek zgarnęliśmy tu tyle śniegu, że musiałbyś być wyjątkowym ciamajdą, żeby sobie coś uszkodzić.

Powoli doszli do pensjonatu. Kiedy weszli do środka, na dole zapalone były już wszystkie światła. Miśka i Mario siedzieli na fotelach przy kominku, Karina oglądała zawieszona na ścianach obrazy, a gaździna, o dziwo mająca na głowie normalne uczesanie, nalewała do kufli złotawy płyn z dużej butli, przypominającej antyczną amforę.

– O, jak miło, że nic panu nie jest – zauważyła z radością na widok przekraczającego próg Muszyńskiego. – Tylko chyba trochę pan przemókł. Powinien się pan szybko przebrać!

– Moją ciocię Władzię już poznałeś – rzekła Agnieszka – a reszty podobno nie muszę ci przedstawiać.

– Nie, nie musisz – mruknął Marek, po czym spojrzawszy w stronę swoich przyjaciół, dodał: – Z wami wszystkimi będę miał później do pogadania. I nie będzie to miłe!

– Strasznie się boimy – zapewnił Mario.

– Nie masz się o co czubić. – Karina podeszła do Marka i uściskała go serdecznie. – I dla ścisłości, ja byłam przeciwna tej maskaradzie. I uważałam ją za idiotyzm.

– Ale i tak wzięłaś w niej czynny udział – zauważył Muszyński z wyrzutem.

– Znasz zasadę: wszyscy za jednego... – westchnęła lekarka. – Poza tym mój udział nie był czynny, tylko bierny. Po prostu sobie poleżałam trochę na dywaniku.

– Uznajmy, że była to pasywna agresja. A gdzie Olga? – Marek na wszelki wypadek rozejrzał się raz jeszcze.

– Przebieram się! Za moment zejde! – dobiegł go z góry okrzyk Lubieckiej. – Muszę się pozbyć koszuli z keczupem...

Mniej więcej kwadrans później przy kominku zgromadzili się już wszyscy.

Po tym, jak Muszyński wyznał, że najbardziej przekonał go morderczy obłęd w oczach gaździny oraz jej uczesanie, i po jej wyjaśnieniach, że jedno jest wynikiem lekkiej postaci choroby Gravesa-Basedova, a drugie rekwizytem z inscenizacji bajki o Jasiu i Małgosi, w której Władzia wciela się od czasu do czasu w mającą ochotę na dziecięce barbecue Babę-Jagę, dalsza konwersacja zeszła na kwestie prywatne uczestników spotkania.

– Nie do uwierzenia, że nie widzieliśmy się wszyscy aż taki szmat czasu. – Olga odrzuciła, opadając na oczy blond grzywkę. – Mam z tego powodu wyrzuty sumienia. Ale wiadomo, każdy ma swoje życie. Moje wygląda tak, jakbym była nomadą. Czasem sama nie wiem, gdzie jestem. Pamiętam, jak rozmawiałam z mamą w czasie jednego

z wyjazdów i powiedziałam do niej, że mam nadzieję, że po sesji i pokazie wyrwę się trochę z hotelu, bo chciałabym zobaczyć wreszcie wieżę Eiffela. Babka z agencji popatrzyła na mnie jak na debilkę, a kiedy się rozłączyłam, zapytała, czy zdaję sobie sprawę, że nie każde miasto we Francji ma swoją wieżę Eiffela i że według jej wiedzy jedyna na świecie stoi w Paryżu. Okazało się, że jesteśmy w Lyonie.

– Nie miała racji – mruknęła Miśka. – Kopia wieży Eiffela jest też w Las Vegas.

– I w Warnie – dodała Karina.

– I w Hangzhou w Chinach – dorzucił w tym samym momencie Lucjusz.

– I chyba też w Pradze – rzekł niepewnie Marek.

– Ja też muszę coś wymyślić? – zaciekawiał się Mario. – To jakieś zawody?

– Nie, nie. – Olga machnęła ręką. – Chodzi mi o to, że każdy z nas ma swoje zajęcia i trudno zachować taką regularność spotkań jak kiedyś. Ty odpadłeś jako pierwszy – wskazała na Lucjusza – bo przecież długo nie było cię w kraju...

– Yhm – potwierdził Kędziak. – Półtora roku występów w Barcelonie, a potem jeszcze rok w Liverpoolu i rok w Zagrzebiu.

– Naprawdę chciało ci się przechodzić na emeryturę i wracać do kraju? – zdziwiła się Karina.

– Paradoksalnie tak – przyznał Lucjusz. – Pomieszkałem w Europie, poobijałem się po świecie i dotarło do mnie, że nigdzie nie czuję się tak dobrze jak u nas. Nie zrozumcie mnie źle. Uwielbiam podróżować, zwiedzać, poznawać nowe miejsca na świecie, ale stały kąć mogę mieć tylko tutaj. Co Polska, to Polska.

– Nie wiedziałam, że z ciebie taki patriota – zaśmiała się Olga. – Ja tam mogłabym na stałe osiąść w Londynie albo Paryżu. W Polsce trzyma mnie tylko rodzina. Zwłaszcza mama. Lubi, kiedy jestem blisko. Nie mam jej tego za złe po tym, co się wydarzyło...

– A co się wydarzyło? – zapytała Agnieszka, po czym, wyłapawszy wzrok pozostałych, szybko dodała: – Przepraszam, nie chciałam być wścibska...

– To w sumie żadna tajemnica – westchnęła Olga. – Moja młodsza siostra... Jak by to powiedzieć? Wpadła w złe towarzystwo. Imprezy, kluby, alkohol, narkotyki... I pewnego dnia skończyło się to tragedią. Pomieszała prochy z wodą i już jej nie odratowano.

– Współczuję – szepnęła Staszeczek. – Bardzo mi przykro...

– Było, minęło, nie przejmuj się – pocieszyła ją Olga. – Miałam sporo czasu, aby się z tym pogodzić, ale moja mama wciąż to przeżywa. I dlatego nie chcę narażać jej na jakieś dodatkowe stresy. Każda moja podróż i tak oznacza dla niej bezsenne noce.

– Skoro już przy tym jesteśmy... – ocknął się Marek. – Rozumiem, że we właściwym pensjonacie nic nie straszy i że pana – skinął na Wincentego – opowieść była wymyślona na potrzeby tego... hmm... debilnego dowcipu?

– Ale z ciebie cykor – zaśmiał się Lucjusz. – Mieszkać w nawiedzonym domu to dopiero jest przygoda!

– Nie, spokojnie – rzekł uspokajającym tonem Staszeczek. – W moim pensjonacie jedyne, co czasem straszy, to ceny. Ale nie dla was! Dzięki panu Lucjuszowi macie wszystko z odpowiednią bonifikatą!

– I dodatkowymi atrakcjami – mruknął Marek.

– Już się weź i uspokój – rzekł stanowczo Lucjusz. – Stało ci się coś? Nie! To co narzekasz!

– Jeszcze nie wiem, czy mi się coś nie stało – mruknął Marek. – Jakoś mi tak serce dziwnie teraz wali i... – Urwał, ze zdumieniem obserwując wymianę wymownych spojrzeń między Kędziakiem a jego ukochaną. – To znaczy faktycznie nic mi się nie stało.

– A co u was? – Olga popatrzyła na siedzących obok siebie Miśkę i Mario. – To niesamowite, że prowadzicie wspólny biznes! I to jak ekscytujący!

– Wielce – mruknął Mario, który tuż przed wyjazdem dowiedział się, że ich asystentka z sobie tylko wiadomych przyczyn zamówiła do prezentacji retro kolekcji Afrodyty Zieleniak zamiast samochodu Syrenka, którym rzeczona projektantka zamierzała triumfalnie wjechać na wybieg pod koniec swojego pokazu, gipsowo-styropianową replikę pomnika warszawskiej syreny. Jakby tego było mało, przy wnoszeniu tej potężnej figury jeden z tragarzy dziabnął się w oko dzierzonym w dłoni przez pół kobietę, pół rybę mieczem, a drugi zaczął się uskarżać, że dostał przepukliny. W wyniku tego Mario musiał najpierw zatroszczyć się o poszkodowanych kurierów, a potem uspokoić rwącą włosy z rozpacz i co gorsza rozsiewającą je po całym jego gabinecie oraz wykrzykującą: „Na co mi ta rybia wywłoka!” Zieleniak. Na koniec zaś wypożyczyć syrenkę, co okazało się o tyle problematyczne, że wraz z nią dostał w pakiecie też jej właściciela, maniaka starych wozów, który traktował swoje auto niczym rodzone dziecko i za każdym razem, gdy tylko ktoś się do niego zbliżał, wydawał z siebie paniczny okrzyk: „Nie dotykamy!!!”. Z powodu tych nagłych a donośnych wrzasków większość gości pokazu dostała ticków nerwowych, a mająca w pobliżu syrenki swój minirecital, potraktowana tym rykiem kilkakrotnie wokalistka Marta Raj kompletnie zapomniała, jak nazywają się kwiaty w jej hicie „Chryzantemy szczęścia” i zamiast tego słowa za każdym razem wydawała z siebie dźwięki brzmiące, jakby się dławiła mazowszanką.

– Nie narzekamy – szybko zapewniła Miśka, wyczuwając szóstym zmysłem, jakie obrazy ma obecnie przed oczami jej współnik. – Jakoś się kręci...

– Nawet gdy się pracuje z kimś takim jak Klaudia Hutniak? – zaciekała się nie bez złośliwości Agnieszka. – Wiecie, że ona będzie tu występować w sylwestra?

– Serio? – jęknęła Miśka.

– Przecież nie my to organizujemy – pocieszył ją Mario – to co się przejmujesz?

– A jeśli ona mnie wypatrzy na ulicy? – zapytała rozpaczliwie jego współniczka. – Znowu będzie mnie wypytywać, czy podlałam krokusa mojego serca nektarem, który otrzymałam od słonecznej energii życia.

– Aaaa, czyli plotki o tym, że jest walnięta, nie są przesadzone? – zaśmiała się Karina.

– Są wyjątkowo ostrożne, zważywszy na to, jak wygląda rzeczywistość – zapewnił Mario.

– Słyszałem też, że prowadzicie czasem dość ekscytujące życie – rzekł Lucjusz.

– Co masz na myśli? – niepewnie zapytała Miśka, zastanawiając się w duchu, czy na pewno chce usłyszeć odpowiedź.

– Przyjaźń z Różą Krull? I kilka spraw kryminalnych, w które razem z nią byliście zamieszani? Bez niej, o ile dobrze pamiętam, też coś wam się przytrafiło...

– Owszem, zgadza się – przyznał niechętnie Kosek. – Morderstwo w czasie pokazu mody i zaraz potem w reality show.

– Prawo serii – mruknęła Karina.

– Dziękuję za taką serię. – Miśka popatrzyła na nią z wyrzutem. – Starczy na całe życie...

– U mojej sąsiadki przebywa teraz komisarz policji – wtrąciła Władzia. – I to taki znany. Widziałam go w telewizorze nawet! Jak mu tam? Dąbski? Damski?

– Darski? – podsunął Mario ze zdumieniem.

– Tak! – Gaździna uraczyła go uśmiechem. – Jak to mówią miejscowi, świarny panocek!

– Czyli niezłe ciacho – przetłumaczyła szybko Agnieszka, widząc wyraz niezrozumienia na ich twarzach.

– A pani nie jest miejscowa? – zdziwiła się Karina.

– Nie. – Gospodyni pokręciła głową. – Ja z Radomia, tyle że lata temu zakochałam się w góralu i przeprowadziłam tutaj. Potem on odszedł, a ja już zostałam...

– Przykre – westchnęła Olga.

– Życie. – Ciotka Agnieszki wzruszyła ramionami. – Chłopy przychodzą i odchodzą. Przyjaciele są na zawsze.

– À propos przyjaciół. – Mario popatrzył na Miškę. – Trzeba się będzie przywitać z Krzysztofem...

– Nie żebyście się dawno nie widzieli – mruknęła Szustek, przewracając oczami.

– Taka tam dziwna sprawa – wyjaśnił Mario, widząc skierowane w swoją stronę pytające spojrzenia. – Morderstwo młodego chłopaka, wielbiciela ksiązek Róży Krull.

– Chyba coś o tym czytałam – mruknęła Olga. – Wydarzyło się na jakiejś gali...

– „Książki pod Arkadami” na początku grudnia – potwierdził Mario, zamyślając się nieco. – To głupie, ale zawsze, kiedy Darski jest w pobliżu, zaczynam się obawiać, że zdarzy się coś złego...

– A to nie jest aby tak, że najpierw wydarza się coś złego, a potem dopiero pojawia się nasz dzielny komisarz? – podsunęła mu Miška. – Nie mylisz przypadkiem kolejności zdarzeń?

– Możliwe – przyznał Mario. – Tak czy siak, jego obecność w okolicy nie daje mi poczucia komfortu...

– Mówiąc o którym... – rzekła powoli Miška. – To bardzo chciałabym się już rozpakować. Fajnie się tu siedzi, ale w drugim pensjonacie też możemy sobie pogadać, jak już rozłożymy nasze klamoty...

Powoli zaczęli się zbierać. Marek skrętnie wykorzystał powstałe przy tym zamieszanie, aby przez chwilę znaleźć się sam na sam z Agnieszką.

– Tęskniłem za tobą – szepnął, kiedy jako pierwsi wyszli przed domostwo Władzi. – Wszystko w porządku? Od kiedy tu jesteś?

– Przyjechałam mniej więcej godzinę przed tobą – odpowiedziała, zręcznie uchylając się od jego pocałunku. – Nie teraz! Jeszcze ktoś zobaczy...

– No i co z tego? – zdziwił się Marek. – Miałem nadzieję, że choć tutaj nie będziemy musieli się ukrywać. Zwłaszcza przed moimi przyjaciółmi.

– Nie jestem na to gotowa. Nie zmuszaj mnie! – zachnęła się gniewnie Agnieszka. – Proszę cię. Nie możesz tego ode mnie wymagać.

– Niczego nie wymagam. – Marek z miejsca się wycofał. – Chciałem tylko pobyc z tobą dłużej. Byłoby łatwiej, gdyby wszyscy wiedzieli, co jest między nami...

– A co jest między nami? – Dziewczyna popatrzyła mu prosto w oczy. – Sam wiesz, jaka jest moja sytuacja.

– Ale przecież tutaj go nie ma! – Muszyński lekko podniósł głos. – Nie musimy się pilnować na każdym kroku jak w Warszawie.

– Skąd wiesz? Nie mamy gwarancji, że nie przyjechał tu za mną. On jest do tego zdolny.

– Nie możesz tego sprawdzić? – zdziwił się Marek. – Przecież w tych czasach zlokalizowanie kogoś to banał.

– Nie bawię się w szpiega – mruknęła Agnieszka z wyraźną pogardą. – To lamerskie.

– Ale za to popadasz w obsesję – zirytował się Marek. – Nie wiem, co gorsze! Myślałem, że spędzimy tu fajny czas, ale...

– Sorry, że psuję ci z góry ustalone plany. – Na twarzy Staszeczek pojawił się gniew. – Szkoda tylko, że nie omówiłeś ich wcześniej ze mną.

– Aga... – jęknął Marek. – Ja tylko...

– Nikt ci nie każe tego wytrzymać. – Agnieszka odsunęła się od niego. – Wszyscy jesteście tacy sami. Myślicie tylko o sobie i o tym, żeby to wam było dobrze. Miałam nadzieję, że akurat ty jesteś inny.

– Nie rozumiem. – Chciał dotknąć jej ramienia, ale powstrzymał go wyraz oczu ukochanej. – Przecież nie zrobiłem niczego złego...

– Nie! Wy nigdy nie robicie nic złego. – Dziewczyna odeszła kilka kroków do tyłu. – Czasem myślę, że jestem za młoda na te wszystkie

dramy. Może powinnam być jak moi rówieśnicy. Ganiać po imprezach, klubach, niczym się nie przejmować...

– Aga...

– Daj mi święty spokój!

W drzwiach pensjonatu pojawił się Lucjusz. Błyskawicznie oszacował sytuację.

– Kłótnia kochanków? – zapytał cicho.

Agnieszka nie odpowiedziała, za to Marek wyglądał, jakby trafił go piorun.

– Jakim cudem... – zaczęła, ale fakt, że za Kędziakiem zobaczył Olgę, sprawił, że nie dokończył zdania.

Wbrew zapowiedziom w ich faktycznym pensjonacie nikt nie miał już siły na dalszą integrację. Ustaliwszy rozsądnie, że jutro też jest dzień, przyjaciele życzyli sobie spokojnej nocy i rozeszli się po pokojach. Nie oznaczało to, rzecz jasna, że natychmiast udali się na spotkanie z Morfeuszem.

Marek zawzięcie pisał, po czym kasował na swoim smartfonie treść wiadomości, którą planował wysłać do Agnieszki, a następnie pisał ją na nowo. I tak z tysiąc razy.

Olga wertowała rękopis w ozdobnej, kwiecistej okładce, co jakiś czas robiąc notatki na znajdującej się obok niej kartce papieru.

Lucjusz leżał na łóżku i wpatrywał się w zdjęcie wyświetlone na ekranie swojego telefonu.

Karina rozmawiała przez WhatsAppa z kimś, kto odpowiadał na jej wiadomości słowami: „Nie reaguj gwałtownie”, „Zastanów się, zanim coś zrobisz” i „Nie daj się ponieść nerwom”.

– Styl zakopiański! – irytował się na poddaszu Mario po tym, jak uroczysty trzeci raz przeżył bliskie spotkanie ze spadzistym dachem pensjonatu. – Czyli ciasnota, zapach jak w rowie melioracyjnym, zimno jak w dupie u Eskimosa i drewniane meble jak za Bolesława Chrobrego. Do kompletu jeszcze brakuje obrazu z jelonkiem u wodopoju.

– Yhm – zgodziła się Miśka i, korzystając, że jej ukochany kumpel wygłasza swoją tyradę, stojąc tyłem do niej, czym prędzej zdjęła ze ściany landszafcik prezentujący Najświętszą Panienkę w otoczeniu nie tylko jelonków, ale też królików, lisków i borsuków, wpatrujących się w nią takimi oczami, jakby ogłosiła, że za moment wykorzysta ich do zrobienia pasztetu z dziczyzny, a następnie błyskawicznie wrzuciła go za ramę swojego łóżka.

– To ty robisz te hałasy? – warknął Mario, odwracając się do niej i patrząc podejrzliwie. – Czy ta kurna chata już się zaczęła walić?

– Ja, ja – zapewniła gorliwie jego współniczka. – Spadła mi przez przypadek szczotka do włosów...

– Ta? – zaciekawiał się Mario, wskazując na przedmiot leżący na szafce nocnej.

– Ojej. – Miśka udała zdumienie. – Ciekawe, co mi w takim razie upadło? Zaraz sprawdzę. Zacząłeś coś mówić... Coś o drewnie, tak?

– Jak wybuchnie tu pożar, to mamy przekichane. – Mario błyskawicznie zapomniał o upadłej, albo i nie, szczotce. – Przecież te stare dechy, z których pozbijano te pożałuj się Panie rupiecie, spłoną, zanim zdążymy się obudzić. O ile w ogóle damy radę zasnąć. Jak na moment położyłem się na łóżku, to pierwszy raz w życiu zrozumiałem matkę, która twierdziła zawsze, że w dziedzinie bólu kręgosłup dokopał jej nawet bardziej od ojca, kiedy miał fazę na udawanie, że jest Don Juanem DeMarco.

– O tym akurat niekoniecznie chciałam wiedzieć – mruknęła Miśka, która bardzo lubiła rodziców swojego przyjaciela i niezupełnie zgadzała się z wygłoszoną przez niego kiedyś opinią, brzmiącą: „Gdyby moja matka odkryła wreszcie, że istnieje coś takiego jak botoks, to jeszcze może coś z niej by się udało zrobić, ale mojego ojca nawet operacja plastyczna nie pozbawi już prezencji buraka pastewnego”.

Mario klapnął na łóżko, po czym wstał, z obrzydzeniem zdjął z pościeli krótką wełnianą narzutę i odniósł ją w najdalszy kąt

pokoju.

– Siedlisko wszy i pluskiew – mruknął z odrazą, wracając na swoje miejsce. – Nie wiem, jak bardzo trzeba mieć nie po kolei w głowie, żeby coś takiego kłaść nie tylko na pościel, ale nawet w jej pobliżu. Ech... No i jak znajdujesz naszych przyjaciół?

– Mało się zmienili. – Miśka też przyjęła pozycję siedzącą.

– Doprawdy? – Mario popatrzył na nią spode łba. – Marek odpuścił sobie i się zapasł.

– Z której niby strony?

– Z każdej! – Mario poprawił się na łóżku, po czym zgarnął pierzynę bardziej pod swoje cztery litery. – Nie wiem, czy nie będę spał na podłodze. To łóżko ma same dziury.

– Po podłodze ciągnie halny – ostrzegła go współniczka. – Dostaniesz lumbago albo zapalenia płuc.

– No i co z tego? – Kosek wzruszył ramionami. – To się przeniosę do szpitala i przynajmniej nie będę musiał codziennie wdrapywać się na ten szczyt Giewontu.

– Do szpitala cię nie przyjmą. Chyba że już będziesz umierał. Inaczej potrzymają cię kilkadziesiąt godzin na izbie przyjęć i poczekają, aż ci przejdzie ochota na dłuższy pobyt. Ostatnio tak robią. Jak moja ciotka trafiła ostatnio na SOR, to nauczyła się na pamięć imion i nazwisk wszystkich stu piętnastu gwiazd, które tam wcześniej były i zostawiły swoje podpisy na ścianie. Gdy wróciła, to skomentowała, że nie dziwi się, że większość tych gwiazd nie żyje i że pewnie umarła z nudów na tej izbie przyjęć. Nieważne. Lepiej mi wytłumacz, gdzie niby Marek się zapasł?

– Boczki mu się zrobiły – rzekł Mario złośliwie. – I zamiast męskiej klatki piersiowej ma damską. Z cycuszkami.

– Sam jesteś cycuszek. – Miśka popatrzyła na niego z politowaniem. – Może trochę spowaźniał, ale wyszło mu to tylko na dobre. Ty też byś wreszcie mógł!

– Jeśli pod hasłem „spowaźniał” rozumiesz wałki tłuszczu na brzuchu, cerę jak po ospie, włosy w nosie i uszach oraz zakładanie półbutów w kolorze krowiego placka, to pomyśl raz jeszcze – rzekł stanowczo. – Laski trzymają się jako tako, choć Karina wygląda z nas najpowaźniej. Ale to nic dziwnego. Zawsze tak miała. Pamiętasz, jak na początku liceum pojechaliśmy na wyjazd integracyjny na Mazury i przewodnik wziął ją za nauczycielkę? Ale była wtedy wściekła!

– Ma taki typ urody – westchnęła Miśka. – Za to Olga nie zmieniła się w ogóle. Mam wrażenie, że czas się dla niej zatrzymał na liceum. Pamiętasz wybory miss naszego ogólniaka? Miało się wrażenie, że cała reszta dziewczyn stanowi dla niej tylko tło. Można było w ogóle nie organizować tej imprezy, a od razu wręczyć jej koronę. Swoją drogą podobno teraz wybory miss są niepopularne, bo stygmatyzują inne kobiety, które nie spełniają warunków, żeby wziąć udział w takim cyrku. Jakoś to do mnie nie trafia. Wybory są, odkąd tylko pamiętam, oglądam je od czasu do czasu i jakoś nigdy nie poczułam się stygmatyzowana. Cokolwiek by to słowo nie oznaczało. W każdym razie Olga nie postarzała się wizualnie ani trochę...

Mario zmarszczył brwi.

– Coś nie tak...? – zaniepokoiła się Miśka.

– Mam jakieś dziwaczne wrażenie, zeeeeeee... – Kosek zawiesił głos.

– Zamierzasz jakoś rozwinąć swoją wypowiedź? – zaciekawiała się Szustek po chwili milczenia kumpla.

– Nie wiem. – Mario bezradnie pokręcił głową. – Kiedy zaczęłaś mówić o wyborach miss naszego liceum, miałem uczucie, że coś jest nie tak.

– W wyborach? – zdziwiła się Miśka.

– Nie, w Oldze... – przyznał niepewnie Kosek.

– Ale co?

– Żebym to ja wiedział!

– Zaczynasz świrować – westchnęła Szustek. – Może faktycznie idźmy spać. Swoją drogą właśnie sobie uświadomiłam, że jesteś

jedynym mężczyzną, z którym w ciągu tego roku dzieliłam sypialnię.

– Czy to mnie do czegoś obliguje? – Mario uśmiechnął się szeroko, doskonale wiedząc, że jego przyjaciółka traktuje go niczym rodzzonego brata. Już dawno oboje wyjaśnili sobie, że nie ma mowy o żadnych romansach ani nawet opcji „przyjaciele ze wzajemnymi korzyściami”, gdzie te ostatnie są synonimem słowa „seks”. Ot, po prostu nie było między nimi żadnej chemii natury erotycznej. Za to przyjacielska działała tak mocno, że rozumieli się z reguły w pół słowa i gotowi byli skoczyć za sobą w ogień.

– Tak. – Miśka pokiwała głową. – Do tego, żeby nie wydawać z siebie kocich jęków godowych, jak ostatnio, kiedy spaliśmy razem.

– To nie były żadne jęki godowe, tylko nuciłem sobie balladę Klaudii Hutniak, żeby szybciej zasnąć...

– Ballady Hutniak są już dostatecznie nie do zniesienia w jej wykonaniu, żebym jeszcze musiała ich słuchać w twoim – rzekła stanowczo Miśka, wstając z łóżka i zaczynając grzebać w swojej torbie w poszukiwaniu piżamy. – Jedyny, którego jeszcze nie omówiliśmy, to Lucjusz...

– Ten skubaniec to się dopiero nie zmienia – mruknął Mario tonem, w którym dało się bez trudu znaleźć ślad zawiści. – Ani wizualnie, ani mentalnie. Ten jego dowcip...

– ...był beznadziejnie durny – wpadła mu w słowo Miśka. – Wiem, że daliśmy się namówić, żeby wziąć w nim udział, ale dokładnie w takim stylu, w jakim robiliśmy to kilkanaście lat temu. Tania szopka. Teraz dorośliśmy i należałoby wykazać się większą inwencją.

– A, właśnie. – Mario popatrzył na nią z ciekawością. – Tak się zająłem szukaniem garderoby na ten wyjazd, że w sumie zapomniałem cię zapytać. Jak tam nasz żart?

– Nasz?! – Oburzona Miśka odwróciła się tak gwałtownie, że aż torba, w której ciągle grzebała, spadła, a po podłodze potoczyły się różne, schowane dotąd w niej przedmioty. – Chyba sobie kpisz!

– No twój, twój... – zapewnił pospiesznie Mario, zrywając się z kanapy i pomagając przyjaciółce w zbieraniu jej kłopotów. – Choć mam głęboką nadzieję, że pozwolisz mi się też pod nim podpisać, bo nie chce mi się na oczekaniu wymyślać czegoś własnego. Poza tym ustaliliśmy przecież, że... – rzut oka na twarz Miśki sprawił, że szybko zmienił końcówkę swojej wypowiedzi – ...będę ci wisiął ogromną przysługę, jeśli zdejmiesz mi ten problem z głowy.

– Kiedyś się naprawdę pogniewamy – zapowiedziała gniewnie Szustek. – Nie widziałeś, gdzie poleciała moja wazelina do ust? Nie zasnę, jeśli jej nie użyję. Na mrozie strasznie mi pękają wargi...

– Chyba pod szafę. – Mario postanowił zaplusować u wkurzonej przyjaciółki i z poświęceniem przyjął pozycję krzyżem na podłodze, a następnie zaświecił latarką swojej komórki pod szafę, po czym triumfalnie ogłosił: – Widzę ją! Tylko potoczyła się tak daleko, że nie dosięgnę ręką. Nie masz jakiegoś kijka?

– Jasne, cały arsenał – zapewniła Miśka. – Życzysz sobie golfowe, grillowe czy do nordic walking?

– A chcesz mieć swoją wazelinę? – wysapał Mario, próbując mimo wszystko dosięgnąć tubkę z rzezonym mazidłem. – To radziłbym ci jednak znaleźć coś, co mi ułatwi jej wydobycie.

Miśka rozejrzała się po pokoju, po czym z ulgą dostrzegła zwieszoną na jednej ze ścian ciupagę. Zdjęła ją i podała przyjacielowi. Ten za jej pomocą zręcznym ruchem przyciągnął wazelinę do siebie, a następnie już palcami wydobył ją spod szafy.

– Proszę. – Podał mocno zakurzoną tubkę Miśce. Chciał wstać, ale zanim to uczynił, odruchowo jeszcze raz spojrzął pod szafę, gdzie wciąż leżała ciupaga. Jego uwagę przykuł metalowy kolec, którym zabezpieczono ją od dołu, aby ochronić drewniany trzon przed wyszczerbieniem czy zabrudzeniem, dzięki czemu można było jej spokojnie używać też w charakterze laski. Na owym kolcu znajdowała się bowiem nadziana kartka papieru, której na pewno tam nie było, gdy wpychał laskę pod szafę. Mario przyciągnął ciupagę do siebie,

zsunął kartkę i wciąż leżąc na podłodze, korzystając z faktu, że jego telefoniczna latarka ciągle świeciła, czym prędzej przebiegł wzrokiem zapisany tam tekst, po czym z osłupiałą miną podniósł się na kolana i podał kartkę patrzącej na niego pytająco Szustek. Ta także przeczytała zawartość Mariowego znaleziska.

– Co to jest?! – zapytała z niebotycznym zdumieniem.

– A skąd ja mam wiedzieć?! – odpowiedział pytaniem na pytanie równie skonfundowany Mario, wstając i odruchowo otrzepując spodnie. – Leżało pod szafą.

Miśka jeszcze raz popatrzyła na trzymaną w ręku kartkę.

– Myślisz, że to jest na serio? – zapytała ostrożnie.

– Nie brzmi, jakby ktoś żartował – zawyrokował Mario. – Raczej wręcz przeciwnie...

– Ale chyba nikt nie wziął tego na poważnie – zauważyła Miśka – skoro zamiast na policji, ta kartka znalazła się pod szafą...

– Pytanie, czy trafiła do tego kogoś, do kogo była pisana – rzekł Mario, odwieszając ciupagę na miejsce.

– Słusznie – przyznała Miśka. – To teraz pytanie, co powinniśmy z tym zrobić.

– Róża Krull, jak ją znam, na pewno rozpoczęłaby jedno ze swoich sławetnych śledztw – westchnął Mario, przypominając sobie, ile to już razy ich serdeczna przyjaciółka władowała go w kłopoty z policją, o narażeniu życia i wolności osobistej już nawet nie wspominając. – Na szczęście my nie musimy iść w jej ślady i spokojnie przekazemy tę kartkę Krzysztofowi...

– Darskiemu? – upewniła się Miśka.

– Yhm. – Mario pokiwał głową. – I tak mieliśmy się z nim przywitać, więc przy okazji upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu. I niech on już dalej główkuje, co z tym fantem zrobić.

– Czy wszędzie tam, gdzie nasze drogi krzyżują się z Darskim, zaraz musi się wydarzyć jakaś zbrodnia? – westchnęła Miśka. – Zaczynam się obawiać, że masz rację i to jest jakaś klątwa.

– Wyjątkowo w tym przypadku wolałbym nie mieć racji – przyznał Mario, wracając na łóżko. – Mam ostatnio po dziurki w nosie tajemnic i śledztw. Nie chcę powtórki z rozrywki!

Niestety, tym razem jego życzenie miało się nie spełnić.

ROZDZIAŁ IX

DARSKI

Idący spokojnym krokiem po Krupówkach i niespodziewający się niczego złego komisarz Krzysztof Darski na widok nadchodzących z przeciwnej strony tą samą ulicą Mario i Miśki o mało co nie padł na zawał. I choć z reguły stan ten wywoływany był strojem brzydszej, przynajmniej w teorii, połowy tej pary, to tym razem nie o strój chodziło. Mario ubrany był bowiem jak nie on. Miał na sobie krótki kożuszek w kolorze beżowym, wykończony białym futrzanym kołnierzem, jasnoszarą czapę z nausznikami oraz białe jeansy, których nogawki ginęły w ciemnoszarych śniegowcach. Zero ekstrawagancji, zero elementów, które mogłyby zwrócić na niego uwagę. No, może nadnaturalnie ciemną karnacją, której jak już wiele razy tłumaczyła Darskiemu jego narzeczona, Kosek nie zawdzięczał bynajmniej słońcu czy solarium, ale kosmetykom firmy Lancôme. Niepokój Darskiego nie był więc tym razem wywołany przez kreację Mario, a wyraz jego twarzy. Komisarz wiedział, że kroi się coś złego i najbliższe chwile miały udowodnić, że jego prawie nigdy nieomylna intuicja i teraz go nie zawiodła.

– Od razu uprzedzę twoje pytanie – rzekł Mario krótki czas później w kawiarni, kiedy już oboje z Miśką wytłumaczyli Darskiemu, jakim sposobem weszli w posiadanie kartki, którą mu parę minut wcześniej

przekazali. – Nie mamy bladego pojęcia, kto to napisał i do kogo. Wnosząc z faktu, że znaleźliśmy to w naszym pensjonacie, wydaje się, że te pogróżki skierowane są do córki naszego gospodarza, bo innej kobiety tam nie ma...

– A jej matka?

– Nie żyje od wielu lat – wyjaśnił Mario – a ta kartka nie wygląda na jakąś specjalnie starą. Oczywiście, nie znam się na tym i może się okazać, że ma sto lat, ale nie sądzę. Zresztą słowa, które są tam użyte, wskazują raczej na to, że nie napisano tego dawno. Od kiedy w użyciu jest słowo „odklejka”? Chyba od niedawna...

– Od kilku miesięcy – przyznał Darski. – I wskazuje ono też na to, że autorem tego listu jest ktoś młody, co jest o tyle zaskakujące, że młodzież przecież teraz już nie pisze, tylko wysyła wiadomości przez WhatsAppa czy Messengera.

– To prawda. – Mario pokiwał głową. – Myślałem nad tym wczoraj przed snem. Problem w tym, że w internecie nic nie ginie. I wszyscy młodzi o tym wiedzą. Z każdej aplikacji da się wyciągnąć informacje, nawet jeśli teoretycznie zostały one skasowane. Dlatego jeśli ktoś chciał nastraszyć swojego rozmówcę, czy też w tym przypadku rozmówczynię, to łatwiej było mu użyć czegoś, co potem można na przykład spalić. Albo zniszczyć raz na zawsze w inny sposób. O ile, rzecz jasna, nie jest to jakiś idiotyczny żart... – Mówiąc to, Mario zmarszczył brwi.

– Skąd taka myśl? – Darski popatrzył na niego badawczo.

– Jesteśmy w tym pensjonacie z przyjaciółmi – wyjaśnił Kosek. – Choć to może za dużo powiedziane. Za czasów liceum byliśmy przyjaciółmi, teraz już jesteśmy bardziej tylko znajomymi. Sam wiesz, jak to jest. No i zwyczajem naszym przez lata było to, że robiliśmy sobie na takich wypadach żarty. Głupie akcje, mające wystraszyć albo zaskoczyć jedno z nas. Teraz mieliśmy wskrzesić tamten zwyczaj i tak się zastanawiam, czy ta kartka...

– Oszalałeś? – wtrąciła z niesmakiem Miśka. – Naprawdę uważasz, że któreś z nich posunęłoby się do czegoś podobnego?

– A dlaczego nie? – Mario wzruszył ramionami. – Skoro wczoraj wszyscy mogliśmy udawać truposzy, to taka karta to dziecinna igraszka.

– Udawać, przepraszam, co? – zapytał zdumiony Darski.

Mario w kilku zdaniach streścił mu przebieg poprzedniego wieczoru. Komisarz miał minę, która dość jednoznacznie podsumowywała jego stosunek do tego, co słyszał.

– Dorośli ludzie – mruknął, kiedy Kosek skończył opis wydarzeń – a przynajmniej tak by się wydawało...

– Moment, moment! – Na twarzy Mario pojawił się złośliwy uśmieszek. – A to aby nie ty ostatnio chwaliłeś się, że całe dni grasz z jakimś swoim młodocianym kuzynem w jakąś tam grę komputerową?

– Co to ma do rzeczy? – zdziwił się Darski. – Poza tym to nie jakaś tam gra, tylko FIFA!

– To pokazuje, że każdy z nas, niezależnie od metryki, ma w sobie dzieciaka. Czy też w naszym przypadku nastolatka. Jaka to różnica, czy robisz sobie głupie kawały w realu, czy siedzisz przed telewizorem i udajesz, że jesteś wirtualnym Cristianem Ronaldo?

– Robertem Lewandowskim – skorygował komisarz. – Zresztą ja tym sposobem koryguję prawdziwe porażki naszej drużyny. Wiecie, ile razy doprowadziłem Polskę do złota?!

– Na pewno więcej niż którykolwiek z naszych trenerów. A dlaczego nie wybrałeś Ronalda?

– Bo jest jakiś taki oślizgły. Wiecznie wygląda, jakby się dopiero co natarł oliwką...

– Oliwka znakomicie wpływa na jakość skóry. Zwłaszcza nóg!

– Naprawdę uważasz, że przy kopaniu piłki najważniejsze jest to, żeby to robić wypielegnowaną stopą?!

– Przestańcie w końcu pleść te androny! – zirytowała się Miśka. – Ja bym się chciała dowiedzieć, czy to w końcu dobrze czy źle, że daliśmy ci ten papier, i czy uważasz, że jest się czym przejmować?

– Trudno mi na to odpowiedzieć. – Darski złożył kartkę, po czym schował ją w kieszeni kurtki – ale spróbuję co nieco sprawdzić. Macie szczęście, że w jednej z tutejszych komend pracuje moja... dobra znajoma.

– Znajoma? – Mario wychwycił, że przed wypowiedzeniem tych dwóch ostatnich słów Darski lekko się zawahał.

– Właściwie... – Komisarz był wyraźnie zakłopotany. – To nawet więcej niż znajoma...

– Masz kochankę?! – wyrwało się Miśce, zanim zdążyła się opanować.

– Oszalałaś?! – Darski popatrzył na nią z wyrzutem. – Nie kochankę, tylko... Jeśli już musicie koniecznie wiedzieć... Pracuje tam moja była dziewczyna.

– No proszę! – Mario aż uderzył się po kolanie. – Wychodzi nam ciemna przeszłość Greya! Byłem pewny, że przed poznaniem Betty wiodłeś życie pustelnika, czy tam mnicha buddyjskiego, a tu zaraz się okaże, że masz byłe dziewczyny w każdej co większej komendzie w kraju.

– Ale pociskasz! Za chwilę się doigrasz! – Darski usiłował być groźny, ale tym razem nie wyszło mu to specjalnie przekonująco.

– W sumie to mnie to w ogólnie nie interesuje – wycofał się litościwie Mario na widok rumieńców na twarzy znajomego. – Mam tylko nadzieję, że ta twoja była dziewczyna pomoże nam cokolwiek ustalić à propos tej kartki.

– Pożyjemy, zobaczymy... No dobra, muszę lecieć. – Darski dopił do końca wcześniej opłaconą kawę. Pożegnał się najpierw z Miśką, potem z Mario. Wstał od stolika i już chciał wyjść z kawiarni, kiedy nagle nieco się zawahał. – Tylko moi drodzy, trzymajcie język za zębami, proszę was. Między mną a Iloną już od dawna nie ma nic poza

przyjaźnią i sympatią, taką czysto platoniczną, ale Betty mogłaby mieć obiekcje, że kontaktuję się z moją byłą. Rozumiecie? Dla dobra sprawy lepiej, żeby nikt o tym nie wiedział. Mogę na was liczyć, prawda?

Mario i Miśka zgodnie pokiwali głowami. Darski z wyraźną ulgą skierował się do wyjścia z lokalu. Kiedy tylko przestąpił jego próg, Kosek ze złośliwą miną sięgnął po smartfon, po czym wybrał jeden z kontaktów.

– Róża? – upewnił się, kiedy uzyskał połączenie. – Nie uwierzysz, kiedy ci powiem, czego się właśnie dowiedzieliśmy o naszym ukochanym policjancie. Otóż, wbrew temu, co zakładaliśmy, wcale nie był prawiczkim do trzydziestego trzeciego roku życia! Już ci tłumaczę! Otóż jesteśmy z Miśką w Zakopcu i...

ROZDZIAŁ X

KLEMENS

– Agnieszka! Agnieszka!

Staszeczek odwróciła się i zobaczyła zmierzającego w jej kierunku szybkim krokiem wysokiego, szczupłego rudzielca. Znała go doskonale, bo chodzili razem do podstawówki. Klemens Jędrzejczyk ostatnie metry pokonał biegiem.

– Wypatrzyłem cię z daleka – wysapał, szybko łapiąc powietrze, co wskazywało na to, że z jego kondycją nie jest jakoś rewelacyjnie. – Tyle że nie byłem pewny, czy to ty. Przyjechałaś na sylwestra?

– Tak. – Za każdym razem, kiedy z nim rozmawiała, Agnieszka miała wrażenie, że nie mówi do swojego rówieśnika, tylko do dzieciaka. Ze swoimi dużymi oczami, rumianymi, piegopatymi policzkami, wiecznie rozwichrzonymi, lekko kędzierzawymi włosami i brakiem zarostu Klemens nijak nie wyglądał na dwudziestolatka, a prędeż na trochę zbyt wczesnie wyrosłego trzynastolatka. Staszeczek nigdy jakoś nie umiała go traktować zbyt serio.

– Będzie super koncert – poinformował ją z przejęciem. – Słyszałaś? Na scenie na Górnej Równi Krupowej. Ma być sporo fajnych kapel disco polo, a przed samą północą Klaudia Hutniak. Ona ma kilka zajebistych kawałków. No i jeszcze nigdy tu nie śpiewała. Może być fajnie! Wybierasz się?

– Jeszcze nie wiem – odpowiedziała. – Chciałam pobyć z tatą...

– No weź! – Na twarzy Klemensa pojawił się nieśmiały uśmiech. – Wstęp jest wolny. Jak cię zobaczyłem, to pomyślałem... Pomyślałem...

– Że?

Widać było, że Jędrzejczyk zaciął się z zawstydzenia.

– Że... mogłabyś... pójść... ze mną – bardziej wyjąkał, niż powiedział – bo samemu to tak jakoś głupio...

– Nie jestem tu sama – poinformowała go Agnieszka.

– Mówiłem o sobie – wyznał, a jego różowe dotąd policzki zrobiły się nagle purpurowe.

– Wybacz – Staszeczek popatrzyła na niego kpiąco – nie tak to rozumiałam.

– Nie szkodzi – mruknął chłopak. – Może nie powiedziałem tego zrozumiale. To jak? Reflektowałabyś?

W jego wielkich oczach było takie błaganie, że Agnieszka poczuła, że mimo wszystko nie ma siły mu odmówić. A przynajmniej nie tak wprost.

– A mogłabym w razie co zabrać znajomych? – zapytała, chcąc zyskać na czasie. – Bo wiesz, jakoś głupio ich tak zostawić. Zwłaszcza w sylwestra.

– Jasne! – Klemens z miejsca się rozpogodził. – Dasz mi znać?

– Oczywiście. Nie zmieniłeś numeru telefonu?

– Nie. – Jędrzejczyk popatrzył na nią ze zdziwieniem. – Ale po co ci telefon? Mamy się przecież w znajomych na Insta i Messengerze!

– No tak. – Agnieszka rzecz jasna w ogóle o tym nie pamiętała. Poza tym na Facebooku i w Messengerze miała mniej więcej pół tysiąca znajomych, a na Instagramie dwa razy tyle followersów i już dawno się w tym wszystkim pogubiła. – Oczywiście. To dam ci znać, jak tylko ustalę coś ze znajomymi.

– Super! – wykrzyknął entuzjastycznie Klemens. – A dokąd teraz idziesz?

– Do przyjaciółki – odpowiedziała wymijająco, marząc już tylko o tym, aby się go pozbyć. Co prawda chłopak nie budził w niej żadnych złych uczuć, ale tym razem okazywana przez niego namolność była jej wyjątkowo nie na rękę.

– Do Zosi? – domyślił się chłopak.

Agnieszka niechętnie potaknęła.

– To nie masz co się trudzić – poinformował ją Jędrzejczyk. – Widziałem ją jakieś pół godziny temu w centrum. Razem z Pat... – Przerwał, uświadamiając sobie, że może to ostatnie powinien zostawić dla siebie.

– Patrykiem? – dopowiedziała Agnieszka ze zdziwieniem. – Co oni robili razem? Przecież nigdy się nie znosili!

– Dużo się pozmieniało, odkąd pojechałaś do stolicy – westchnął Klemens. – Między innymi też i to. Choć to świeża sprawa.

– Sprawa?! – Staszeczek zszokowała już sama aluzja, jaka pojawiła się w jego słowach. – Chcesz mi powiedzieć, że są parą?

– Parą może jeszcze nie – odparł wyraźnie zakłopotany chłopak – ale często widuje ich się razem i w klubie, i na spacerze, i nawet do Krakowa pojechali wspólnie kilka razy.

Agnieszka zastanowiła się, jak to w ogóle jest możliwe. Przecież przyjaciółka zawsze tytułowała jej byłego chłopaka tak uprzejmymi mianami jak blesser, przegryw, nieogar, parapet, a tu znienacka miałyby być jego dziewczyną? Nie, stanowczo coś tu nie grało.

– Przykro mi – rzekł cicho, obserwując ją w milczeniu Jędrzejczyk. – Wymusnęło mi się po prostu. Nie chciałem, żebyś dowiedziała się tego ode mnie.

– Nic nie szkodzi. – Agnieszka wruszyła ramionami, próbując udawać obojętność. – W takim razie wrócę do moich znajomych. A tobie dam znać, co z sylwestrem.

– Może cię odprowadzę? – zaproponował nieśmiało Klemens.

– Nie, dziękuję. – Głos dziewczyny zabrzmiał tak stanowczo, że jej towarzysz od razu wiedział, że może sobie darować wszelkie próby

przekonywania. Jego smutna mina rozczuliła jednak Staszeczek na tyle, że sama za bardzo nie rozumiejąc tego odruchu, pocałowała go w policzek. – Odezwę się. Pa!

Odwróciła się i zdecydowanym krokiem odeszła w stronę pensjonatu ojca. Klemens odprowadził ją na poły zaskoczonym, a na poły uradowanym spojrzeniem, nie zdając sobie sprawy, że kilkadziesiąt metrów dalej, zza rogu sklepu monopolowego, obserwuje go bacznie zakapturzona postać. I że bynajmniej nie ma ona w tym momencie zbyt szczęśliwej miny...

ROZDZIAŁ XI

KIELISZEK ŚLIWOWICY

– Niech panowie sobie wyobrażą, że tysiące lat temu Podhale wyglądało zupełnie inaczej niż dzisiaj. – Tadeusz Łuszczek podsunął trzem siedzącym przed nim mężczyznom kielichy wielkości mniej więcej mszalnych, a kiedy zobaczył, że jeden z jego gości delikatnie odsuwa od siebie to naczynie, szybko wyjaśnił: – To nasz regionalny trunek. Śliwowica łącka. Chyba nie odmówi pan małego toastu? Jak to mówią, „daje krzepę, krasi lica, nasza łącka śliwowica”!

– Skoro tak... – Mario ugryzł się w język, żeby nie powiedzieć, że jego lico krasi róż w kremie firmy Lancôme, nałożony i wklepany przez niego palcami, a następnie delikatnie stonowany za pomocą beauty blendera – ...grzechem byłoby nie spróbować.

– To jeden z naszych najpopularniejszych trunków – wyjaśnił Tadeusz, z satysfakcją patrząc, jak trzej warszawiacy najpierw kosztują zawartość kieliszków, a następnie, jak to się obrazowo określa, wykręca ich na wszystkie strony świata – a już na pewno najbardziej popularny pośród tych, które są nielegalne.

Ta ostatnia wiadomość sprawiła, że twarze dwóch mężczyzn nieco poblady, a trzeci lekko się zakrztusił.

– Jak to nielegalne? – wycharczał Mario, kiedy już Lucjusz litościwie poklepał go po plecach, przywracając mu tym samym

zdolność do normalnego oddychania. – To jest zwykły bimber?

– Ależ skąd! – oburzył się Tadeusz. – Toż to ten trunek robi się na terenie całej gminy Łącko od setek już lat. Z dziada pradziada!

– Z pijanego dziada pijanego pradziada – mruknął pod nosem Mario.

– Mało tego! Jakoś tak pod koniec komuny urząd konserwatora zabytków w Nowym Sączu uznał tę naszą śliwovicę za dobro kultury. A mimo to oficjalnie nadal jest nielegalna.

– Ile ona ma procent? – zaciekawiał się Marek, który zadał to pytanie nie dlatego, aby go to jakoś specjalnie interesowało, ale po to, aby przekonać się, czy śliwowica nie wypaliła mu na amen strun głosowych. – Trzydzieści? Czterdzieści?

– Jakby tyle miała, toby ją można było wyrzucić na śmietnik. – Tadeusz popatrzył na niego z politowaniem. – Nasza prawdziwa łącka śliwowica, a nie jakaś tam podrabiana, musi mieć najmarniej siedemdziesiąt pięć procent. To jest próg, od którego można ją butelkować. Zawsze to powtarzam, lepiej wypić jeden kieliszek dobrego trunku niż pięć byle jakiego.

– Lepiej mieć wątrobę niż jej nie mieć – mruknął Mario, postanawiając więcej nie tykać zaserwowanego im przez Łuszczka alkoholu, choćby nawet miał przez to nie wziąć udziału w organizowanym przez niego kuligu. Problem Koska tkwił bowiem w tym, że choć przez całe dotychczasowe życie, jak tylko mógł, unikał trunków wysokoprocentowych, to i tak dorobił się wątroby alkoholika. Wyszło to na jaw, kiedy nie spodziewając się niczego złego, pojawił się ze swoimi badaniami kontrolnymi u lekarki, która przeglądając je, o mało co nie dostała zawału i w te pędy odesłała go do hepatologa. Mario trafił do niego po kilku dniach wczesnym rankiem. Sympatyczny pan doktor popatrzył na jego wyniki, po czym uraczył go pytaniem: „A drineczka to już pan sobie dzisiaj chlapnął, prawda?”. Zaprzeczenie zdumionego Koska zostało przyjęte z pełnym niedowierzaniem uśmiechem i kolejnym pytaniem: „A wczoraj ile pan

wypił?”. I dopiero kiedy Mario bez mała na klęczkach przysiągł, że alkohol spożywa raz na rok Pański, pan doktor spoważniał i oznajmił: „No to dopiero teraz mamy problem”. Pomny tego Kosek postanowił, że prędzej stłucze kieliszek, niż wleje w siebie choć jeszcze jeden łyk jakiegoś cyganionego śliwką bimbru o ilości procentów pozwalającej za pomocą jednego kieliszeczka zwalić z nóg niedźwiedzia brunatnego.

– No więc o czym ta ja mówiłem...? – Tadeusz zamyślił się na chwilę. – A, już wiem, więc tu, gdzie teraz są góry, rozciągały się tylko łąki. Żyły na nich giganty, wielokrotnie większe nawet od samych dinozaurów. Najbardziej szanowanym z nich był Garłuch, który wraz ze swoją żoną Kopą rządził mieszkającym tu ludem. Miał on trzech synów. Jednemu dano imię Murań, drugiemu Krywań, a trzeciemu Giewont.

„Pierwszego nie znam, drugi założył zespół ludowy, a trzeci, jak zasnął przy tej opowieści, tak śpi do dzisiaj. A ja zaraz pójdę w jego ślady”, pomyślał Mario, który ze wszystkich opowieści przewodników najbardziej lubił te nagrane wcześniej i puszczone w muzeach w słuchawkach. I to tylko dlatego, że mógł je ściszyć do zera i tylko udawać, że ich słucha.

– No i pewnego dnia na tradycyjne święto plonów zjechali w gości do Garłucha wszyscy jego najbliżsi przyjaciele – kontynuował niewzruszony Łuszczek. – Był tam i sąsiad, zwany Czerwony Wierch, wdowa Pyszna ze swoją mądrą i piękną córką Bystrą, kawalerowie Ornak, Kasprowy oraz oraz bracia Kominy i Mnichowie, małżeństwo Rysów, młody jeszcze wdowiec Zawrat i panna Gubałówka. Wszyscy dokazywali przy trunkach i dobrym jadle, bawiąc się przy dźwiękach piszczałek. Kobiety miały wianki na głowie i tańczyły wokół panów, którzy trzymali pochodnie w rękach. I wszystko szło znakomicie, póki trzech synów Garłucha nie zakochało się na zabój w ślicznej Gubałówce. Żaden z kawalerów nie chciał ustąpić drugiemu. Najpierw zaczęli się między sobą kłócić, ale że krewscy byli, to rychło

do głosu doszły pięści, a potem ciupagi, którymi starsi bracia pozbawili życia Giewonta. Zrozpaczony Garłuch rzucił na nich klątwę, a że potomkiem był bóstw prasłowiańskich i władzę miał magiczną, to zamienił synów w granity. W gniewie swym gospodarz nie mógł się nijak opanować i pokarał także innych gości, którzy zamienili się w wysokie góry, Tatry. Chciał oszczędzić tylko swoją małżonkę, ale Kopa na widok śmierci dzieci sama skamieniała, a jej obficie płynące z oczu łzy dały początek rwącym potokom górskim. Gubałówka też zasnęła wiecznym snem, patrząc na Giewonta, do którego serce biło jej najmocniej. Ona jedna nie stała się litą skałą, a pokryła zielenią, gdyż była niewinna i czysta.

– Piękna legenda – rzekł Marek. – Rozumiem, że podczas kuligu poopowiada pan nam trochę więcej o historii tych ziem i legendach z nią związanych? Bo człowiek niby przyjeżdża do tego Zakopanego często, ale tak naprawdę nic o nim nie wie.

– Legenda legendą – westchnął Tadeusz – ale gdy się popatrzy na Tatry z Kościeliska, to idzie uwierzyć, że wszystko to wydarzyło się naprawdę... Tak, mogę opowiedzieć kilka historii i anegdot o Zakopanem i okolicach. O ile oczywiście znajdziemy na to czas...

„Końskie włosie i gędzby ludowe. To mnie na pewno zabije”, pomyślał z rezygnacją Mario.

– No właśnie, à propos czasu – ocknął się Lucjusz. – Przyszliśmy zapytać o to, jak to będzie wyglądało i czy mamy się jakoś specjalnie przygotowywać do tego kuligu.

– Trzeba się cieplej ubrać – poradził Łuszczek – a poza tym ruszymy z pochodniami. Będziemy przemierzali malowniczy Poronin. Przystaniemy kilka razy, żeby popodziwiać widok na Tatry. Wiem, że teraz wszystko trzeba mieć na telefonach, więc przygotowałem postoje w takich miejscach, gdzie można zrobić piękne fotografie. Sama przejażdżka zajmie nam około półtorej godziny. Jest państwa sporo, więc weźmiemy większe sanie, na osiem osób. W miejscu, gdzie zatrzymamy się na dłużej, będzie czekała na nas biesiada przy

potężnym ognisku, przy której przygrywać nam będzie moja zaprzyjaźniona kapela góralska.

„Nie. Dopiero to mnie zabije”, przemknęło przez głowę Mario.

– Co do biesiady – kontynuował Tadeusz – to zaserwujemy karkóweczkę i kielbasę, które będzie można sobie samemu upiec na patyku, mamy już wielki gar bigosu domowej roboty, kociołek żuru, pajdy wypiekanego przez moją żonę chleba ze smalcem, skwarkami i ogórkiem kiszonym i oczywiście będą też dodatki, musztarda, ketchup, chrzan, a do picia herbata z cytryną, herbata góralska z wódeczką, wino grzane, no i nasza śliwowica.

– A jeśli ktoś nie je mięsa? – zapytał Mario.

– Słucham?! – Tadeusz zdumiał się co najmniej tak, jakby Kosek zapytał, co przygotowano dla psychicznie chorych. – Jak to nie je mięsa?

– No, tak normalnie.

Łuszczek chwilę się zastanowił.

– Zawsze można podać indyka – poinformował w końcu.

– Staryś i głupiś! – Do pokoju weszła Longina. – Pan pyta o to, co mamy dla jaroszy. Spokojnie, będą warzywa na ogień, przygotuję też sałatki, cukinię, kabaczka... Ile osób nie będzie jadło mięsa?

Mario popatrzył na Lucjusza. Ten wzruszył ramionami.

– Ja tam jem – poinformował obojętnym tonem.

– Ja też – przyznał Marek. – Ale może któraś z dziewczyn?

– Miśka na pewno je – westchnął Mario. – Jak się ostatnio dorwała do tataru, to zostało po nim wspomnienie, zanim kelner zdążył ją powiadomić, że dodatki do niego przyniesie zaraz na osobnym talerzyku.

– Olga też je – dopowiedział Marek. – Przynajmniej jadła za czasów naszych wypadów. Pamiętacie, że zawsze ktoś jej musiał trzymać kijek z kielbasą, bo miała obsesję, że ogień spali jej włosy. Jak jakiemuś tam rockmanowi kiedyś...

– Nie jakimuś – sprostował Lucjusz. – Tylko Jonowi Bon Jovi. Chwila, kiedy musiał ściąć włosy, to jedna z najważniejszych dat w historii rocka. Jestem pewny, że była inspiracją dla wymyślenia grilla elektrycznego.

– Została Karina. Poczekajcie! – Marek wyciągnął telefon i wybrał numer do Zalewskiej. – Też je. Czyli kabaczek nam niepotrzebny.

– No chyba że córka naszego gospodarza jest... – zaczął Mario, ale ku jego zdziwieniu i Lucjusz, i Marek w jednej chwili wypowiedzieli „nie”. – A wy niby skąd to wiecie?

– Ja dlatego, że na prośbę ojca przywiozłem ją tutaj z Warszawy i po drodze strzeliliśmy sobie po hot dogu na stacji benzynowej – odpowiedział Kędziak, zerkając ironicznie na Muszyńskiego. – A skąd Mareczek ma taką pewność, to już niech się sam tłumaczy...

– Ja... to znaczy... – Pisarz poczuł, że nie za bardzo wie, co powiedzieć. Na szczęście Mario wybawił go z opresji.

– Jedzenie hot doga o niczym nie świadczy – oznajmił stanowczo. – Wiadomo przecież, że w parówkach jest wszystko, tylko nie mięso.

– Wszystko, to znaczy co? – zaciekał się Tadeusz.

– Głównie zmiksowane kurze dzioby i pazury – stwierdził z pewnością siebie Mario. – I woda.

– Sam jesteś zmiksowany dziób. – Lucjusz spojrział na niego z politowaniem. – W każdym razie wychodzi na to, że żadne z nas nie należy do grona wegetarian. – Wrócił wzrokiem do Tadeusza. – Gdzie mamy miejsce zbiórki?

– Podjedziemy po was do pensjonatu – odpowiedział Łuszczek. – Mamy busik, akurat zabierze się cała siódemka.

– Siódemka? – zdziwiła się Longina. – Myślałam, że jest was sześcioro...

– Jedzie z nami córka gospodarza – wyjaśnił Lucjusz. – Zaprosiliśmy ją i się zgodziła.

– Aha...

Mario pomyślał, że to jednak duża sztuka zawrzeć w jednej sylabie aż tak bardzo potężający komunikat.

– Tylko z góry uprzedzam, że nie mamy gdzie jej przenocować – oznajmiła Longina.

– Przecież jest... – zaczął Tadeusz, ale coś w wyrazie twarzy małżonki kazało mu nie kończyć wypowiedzi.

– Dlatego po kuligu ktoś odwiezie ją do ojca. – Longina potoczyła trudnym do zinterpretowania spojrzeniem po trójce swoich gości. – Czyli dokładnie tam, gdzie jest jej miejsce.

ROZDZIAŁ XII

PRETENSJE

Miśka siedząca w salonie pensjonatu w superwygodnym uszaku przerzuciła kartkę nowej powieści Pauliny Świst, dochodząc do wniosku, że gdyby ktoś jej powiedział, że autorka ta napisze tak wciągający kryminał i nie umieści w nim prawie żadnej sceny seksu, toby go wyśmiała. Sięgnęła po kubek z gorącą herbatą z sokiem malinowym i już miała wrócić do lektury, kiedy nagle usłyszała jakieś ciche głosy. Ponieważ wydawało jej się uprzednio, że została w pensjonacie sama, przez chwilę przeraziła się, że zaczyna mieć syndrom Joanny d'Arc i za moment nie tylko dozna jakiejś wizji, ale jeszcze na domiar złego będzie musiała poprowadzić do walki czyjeś wojska. A znając swoje rozeznanie w terenie, pod jej dowództwem owe wojska zdobędą wszystko, tylko nie to, co trzeba. Po chwili jednak uspokoiła się, bo głosy najwyraźniej nie dochodziły z wnętrza jej głowy, ale z zewnątrz budynku. Wiedziona niezrozumiałą dla samej siebie ciekawością, Miśka przysunęła się z fotelem nieco bliżej delikatnie uchylonego okna i nadstawiała uszu.

– ...co innego! – dobiegł ją wyraźniej zagniewany i w dodatku podniesiony głos Kariny.

– Nie odpowiadam za to, co on pani mówił. – Miśce wydawało się, że te słowa wypowiedziała Agnieszka. Ponieważ jednak nie miała co do

tego pewności, ostrożnie zmieniła pozycję, przystawiając oko do szpary między dwiema haftowanymi zasłonkami, by samej widzieć, a jednocześnie nie być widzianą. Tak, to była córka ich gospodarza. Czemu jednak klóciła się z Zalewską?

– Kiedy się poznaliśmy, zapewniał, że z nikim nie jest – mówiła dalej Agnieszka. – Nie miałam powodów, aby mu nie wierzyć. To znaczy wtedy, bo teraz...

– I ja mam niby w to uwierzyć?! – warknęła wściekle Karina. – Przecież widziałam cię pod domem. Stałaś i wpatrywałaś się w nasze okna. Nawet chciałam do ciebie wyjść i zapytać, czy mogę ci w czymś pomóc, ale zanim się zdecydowałam, już sobie poszłaś. A następnego dnia spotkałam cię w naszym osiedlowym spożywczaku, zanim pojechałam do pracy. I teraz chcesz mi powiedzieć, że o mnie nie wiedziałaś. Masz mnie za idiotkę?!

– Wiedziałam, że pani istnieje...

– A jednak! Wreszcie się przyznajesz!

– ...ale nie wiedziałam, że jesteście parą. Powiedział mi, że jest pani jakąś jego krewną, która rozwiodła się z mężem i w związku z tym musi u niego na razie mieszkać, bo nie ma gdzie się podziać.

– I ty w to uwierzyłaś?!

– Dlaczego nie? On zawsze mówił, że podobają mu się młodsze dziewczyny, a pani wyglądała na starszą. I to znacznie. Sorry, tak właśnie...

Miśka znów zbliżyła oko do szpary, tym razem, aby zobaczyć minę Kariny. Zgodnie z jej oczekiwaniami, Zalewska wyglądała tak, jakby ją zaraz miała trafić apopleksja.

– Jeśli chcesz wiedzieć – poinformowała dziewczynę zimnym głosem – jestem od tego skurwiela o dwa lata młodsza...

– Serio?! – Zdumienie Agnieszki było tak wielkie, że Miśka ledwo co powstrzymała się przed wybuchnięciem głośnym śmiechem.

Odruchowo chciała zasłonić sobie twarz ręką, ale zahaczyła trzymaną w nią książką o ramę uchylonego okna i przez przypadek

otworzyła je nieco szerzej. Chciała je szybko przymknąć w obawie, że zostanie zobaczona przez kłójące się kobiety, ale kątem oka zauważyła coś, co sprawiło, że powstrzymała swój ruch, a po chwili nawet rozchyliła skrzydło okna jeszcze bardziej. Oto bowiem, ku swojemu zdziwieniu, odkryła, że nie jest jedyną osobą, która podsłuchuje, czy też w tym przypadku podpatruje, awanturę toczącą się przed pensjonatem. Pod budynkiem gospodarczym, nieco w cieniu, stał ktoś wysoki, masywnie zbudowany i ubrany na czarno. Na głowie miał kaptur, na tyle szeroki i duży, że krył on w swoim cieniu całą twarz owego tajemniczego ktosia. Co prawda od Kariny i Agnieszki dzieliła go większa odległość niż Miśkę, ale zważywszy na fakt, że kłótnia między tymi pierwszymi toczyła się dość głośno, na pewno również ów ktoś słyszał każde wypowiedziane w trakcie jej trwania słowo. Szustek przez chwilę zastanawiała się, czy ten ktoś mógł się tu znaleźć przez przypadek. Pewnie tak, choć z drugiej strony pensjonat położony był w oddaleniu tak od Zakopanego, jak i od innych domów, a i wybranie się tu na przykład na spacer przy panujących warunkach pogodowych wydawało się dość wątpliwe. Poza tym było coś w postawie tego człowieka, co Miśka instynktownie odczuła jako niepokojące i budzące lęk, choć zapewne poproszona o skonkretyzowanie swoich odczuć i podanie ich przyczyny, miałyby z tym spore problemy. Po prostu wiało o tego kogoś złem, i tyle!

Szustek przez chwilę dumiała, co zrobić. Przyjmowała oczywiście, że postać w kapturze może być przypadkowym, Bogu ducha winnym obserwatorem zdarzeń. Mogła jednak też być jakimś bandziorem, którzy przyszedł okraść pensjonat albo zrobić cokolwiek innego, niekoniecznie zgodnego z prawem. Kłójące się ciągle przed domem bohaterki średnio na razie zrozumiałej dla niej dramy miłosnej nie pozwalały jej się skupić. Miśka rozejrzała się wokół w poszukiwaniu telefonu, aby skonsultować się z Mario. Po chwili przypomniała sobie jednak, że mniej więcej pół godziny wcześniej tylko pomyślała o tym, żeby zabrać smartfon ze sobą, a potem o tym zapomniała, w związku

z czym aparat nadal leży na stoliku przy jej łóżku. Nie chciało jej się wdrapywać na trzecie piętro. I w ogóle nie chciało jej się nic robić. Poczwała jednak, że musi. Machając ręką na to, czy jest to najrozsądniejsza decyzja, otworzyła okno na oścież i wychyliła z niego górną część kadłuba.

– Przystańcie się kłócić! – krzyknęła w stronę Agnieszki i Kariny. – Ktoś was podsłuchuje! – Machnęła ręką w stronę, gdzie stał ów tajemniczy ktoś. Ten błyskawicznie naciągnął kaptur jeszcze mocniej na głowę, po czym odwrócił się i szybkim krokiem, który po chwili przeszedł w bieg, salwował się ucieczką wzdłuż ściany budynku w kierunku odwrotnym niż ten wiodący do drzwi wejściowych pensjonatu. Po chwili skręcił za róg budynku i ze strony, w którą się oddalił, dobiegł warkot motoru.

– Kto to był? – zapytała kilka minut później Karina. – I jak go wypatrzyłaś?

– Okno mi się otworzyło i usłyszałam waszą... rozmowę. – Miśka zaczęła odpowiadać niezgodnie z chronologią pytań. – A jego zauważyłam, kiedy chciałam je zamknąć.

– Jasne – mruknęła Zalewska. – Już ci wierzę. Pewnie chciałaś lepiej wszystko usłyszeć. I kto to był? Bo zobaczyłam tylko znikający cień...

– Jakiś facet – odpowiedziała Miśka niepewnie. – To znaczy wydaje mi się, że facet, bo taką miał raczej męską posturę. Ubrany na czarno i w kapturze. W sumie kobieta też to mogła być, tylko taka herod-baba.

– I co robił?

– Podsłuchiwał.

– Od jak dawna?

– Tego to już nie wiem. Jak otworzyło mi się okno, to byliście już w ferworze tej waszej... hmm... dyskusji – rzekła powoli Miśka. – A tak swoją drogą, to nie chciałabym być wścibska, ale jednak usłyszałam przez przypadek to i owo...

– Przez przypadek – prychnęła Karina. – Odkąd tylko pamiętam, zawsze wszystko udawało ci się usłyszeć albo zobaczyć przez przypadek. Łącznie z tematami maturalnymi.

– Zdaliśmy wtedy na piątkę? Zdaliśmy! To co się teraz indorzysz! – oburzyła się Miśka, która faktycznie dzięki temu, że jej ciotka pracowała w ministerstwie edukacji, „przez przypadek” odkryła treść zagadnień maturalnych na czas jakiś przed egzaminami, co pozwoliło tak jej samej, jak i jej przyjacielom uzyskać najwyższe z możliwych ocen. – A teraz to naprawdę usłyszałam waszą rozmowę przypadkowo. Mogę przysiąc! I jeśli nie chcecie mi nic wyjaśnić, to nie będę nalegała...

– To chyba żadna tajemnica. – Agnieszka wzruszyła obojętnie ramionami. – Nie wiem, ile pani słyszała, ale tak się składa, że mężczyzna, z którym ostatnio randkuję, okazał się byłym partnerem pani przyjaciółki i pojawiły się podejrzenia, że to ja jestem przyczyną ich rozstania. Zresztą zupełnie bezpodstawne.

– Twoim zdaniem! – Z twarzy Kariny można było wyczytać, że znów zaczyna być wściekła. – A ja wiem, co usłyszałam w czasie rozmowy, kiedy to dowiedziałam się, że Sebastian chce zakończyć nasz związek.

– A co usłyszałaś? – zaciekawiała się mimowolnie Miśka. – To znaczy... przepraszam. To już było wścibstwo...

– Mogę ci powiedzieć! – wysyczała z furią Karina. – Oświadczył mi, że poznał kogoś, dzięki komu zrozumiał, że między nami nie wszystko było tak, jak powinno. Czujesz?! Głupi gnojek! Spędziłam z nim cztery lata. Utrzymywałam go, kiedy pokłócił się z szefem i rzucił robotę, znosiłam fakt, że mądry się na każdy temat, choć na większości zna się tyle, co kura na pieprzu, pasłam jego ego, znosiłam to, że nie ma o nikim nic dobrego do powiedzenia...

– Hola! Hola! – Miśka powstrzymała ją niecierpliwym ruchem ręki. – Poczekaj no, bo brzmi to znajomo... Mówisz, że twój były nie szanował nigdy innych ludzi?

– Nigdy! – potwierdziła Karina. – Naszą pomoc domową nazywał garkotłukiem z ukraińskiej wiochy, choć jest to przemiła osoba, kulturalna, taktowna i w dodatku u siebie w kraju pracowała jako nauczycielka. Listonosza tytułował mianem „paczkomatu”. Gdy czekał na jakąś przesyłkę, to zawsze pytał: „A ten paczkomat już dzisiaj chodził?”. Nawet o swojej własnej matce mówił pogardliwie, że jedyne, co dobrego zrobiła w życiu, to wydanie go na świat.

– Źle znosił krytykę, prawda? – upewniła się Miśka.

– Każdą! Pamiętam, jak kiedyś zwróciłam mu uwagę, że źle rozstawił sztuce na stole i że widelce powinny być po lewej stronie, a łyżka i nóż po prawej. Szarpnął wtedy obrus tak, że wszystko zleciało na podłogę, a talerze rozbiły się w drobny mak. Potem musiałam go przeproszać i prosić, żeby łaskawie zszedł na dół i żebyśmy w ostatniej chwili nie musieli odwoływać gości.

– Uroczo. Oczywiście, sprawa utraty pracy nie była jego winą. Nawet minimalną?

– Nie. Winny był szef idiota, mający wobec niego nierealistyczne oczekiwania i wiecznie się go czepiający, oraz jego koledzy, tumany, dające sobą sterować jak małe, przygłupie dzieci...

– No, to jeszcze mi powiedz, że na początku waszej znajomości był zupełnie inny. Taki po prostu do rany przyłóż... Szarmancki, miły, odgadujący twoje pragnienia, spełniający marzenia...

– Znasz go? – Karina popatrzyła na nią ze zdumieniem. – Dokładnie tak było. Dlatego się w niego wkręciłam. Pamiętam, jak na drugiej randce chodziliśmy po starówce i wypatrzyłam u jubilera pierścioneł. Piękny, z ametystem. Dokładnie taki, jak lubię. Na trzeciej randce dostałam go w deserze.

– W deserze?

– Tak, a dokładnie w kremie sułtańskim. To było i wzruszające, i zabawne. Bo oczywiście Sebastian mnie nie uprzedził o tej niespodziance, a tuż przed podaniem deseru musiał skorzystać z toalety. I kelner przyniósł ten krem, jak siedziałam przy stoliku

sama. Znasz moje podejście do słodyczy, już zwłaszcza kremów. Nie mogłam się powstrzymać i o mało co tego pierścionka nie połknęłam. Na szczęście pomyślałam, że to któraś z bakalii i usiłowałam ją rozgryźć. Skończyło się tylko na wymianie plomby. Ale i tak był to romantyczny gest... Takich na początku było o wiele więcej. Potem, kiedy już byliśmy „po słowie” i zamieszkaliśmy razem, wszystkie je szlag trafił. Zamiast doktora Jackylla dostałam pana Hyde’a.

– To jeśli cię sam z siebie porzucił, to możesz sobie tylko pogratulować – rzekła z pełnym przekonaniem Miśka – bo trafiłaś na podręcznikowego narcyza.

– Kogo? – zapytała z ciekawością przysłuchująca się z boku Agnieszka, dla której Sebastian wciąż był na etapie noszenia jej na rękach, co oczywiście z całą świadomością wykorzystywała.

– Taki typ męskiej osobowości – wytłumaczyła Szustek, która przez czysty przypadek tuż przed wyjazdem do Zakopanego trafiła na Youtubie na serię podcastów o różnych typach facetów. Te dotyczące zjawiska narcyzmu okazały się zdecydowanie najbardziej fascynujące. Do tego stopnia, że Miśka zaczęła podejrzewać, że wszyscy faceci wokół niej, na czele z Mario, są narcyzami. Potem jednak Kosek popłakał się na widok kulawego, wychudzonego kotka, którego wyciągnęli razem ze studzienki kanalizacyjnej, gdzie biedny, przerażony zwierzak usiłował schronić się przed burzą, i nie tylko przez tydzień się nim opiekował, ale potem znalazł mu jeszcze cudowny dom. Miśka doszła wtedy do wniosku, że w tym przypadku opadł jeden z filarów narcyzmu, czyli kompletny brak empatii, i łaskawie przerzuciła Mario do kategorii zwykłych „lalusiów”, jako takich też niełatwych we współżyciu, ale przynajmniej mało szkodliwych psychicznie.

– Pierwsze słyszę – mruknęła Karina, która nie chciała się na głos przyznać, że takim właśnie epitetem określała swojego byłego w ostatnim czasie.

– Serio? – zdumiała się Miśka. – Wydawało mi się, że ostatnio na temat narcyzów bębni się wszędzie od cholery. To takie dranie, które najpierw cię od siebie uzależniają, a potem czerpią z tego profity. Jedno i drugie robią z pełną premedytacją i okrucieństwem.

– Brzmi jak Sebastian... – musiała się zgodzić Karina.

– Jeśli faktycznie jest narcyzem, to zamiast robić awantury, powinnaś pani Agnieszce podziękować... – poradziła stanowczo Miśka.

– Może się jednak ze bardzo nie rozpędzaj...

– Nie, mówię serio – westchnęła Szustek. – Narcyz ma to do siebie, że nigdy nie poprzestaje na jednej ofierze. Po jakimś czasie, kiedy wyda mu się, że wyssał już z kogoś wszystko, co mógł, zaczyna szukać kolejnego, nazwijmy to, dawcy. Wasze rozstanie było tylko kwestią czasu. A z narcyzem zasada jest jedna. Im szybciej się go pozbędziesz, tym lepiej...

– A czy taki ktoś – wtrąciła słuchająca uważnie Agnieszka – może być niebezpieczny?

– To znaczy? – Szustek popatrzyła na nią ze zdziwieniem. – Pod jakim względem?

– Czy może coś zrobić swojej, jak to pani nazwała, ofierze?

– To zależy kiedy. – Miśka przypomniała sobie stosowne fragmenty podcastowych wykładów. – Jeśli kogoś porzuci, bo dojdzie do wniosku, że nie będzie miał już z niego żadnych korzyści, to wtedy nie. Jednak jeśli ktoś jego porzuci, może zareagować nerwowo. Najgorzej, gdy poczuje, że jest oszukiwany albo zdradzony. To ostatnie to już mogiła, bo wtedy cierpi jego duma i przekonanie, że jest pępkiem świata. Narcyzowi trudno zrozumieć, że ktoś może być lepszy od niego. No i wtedy zaczyna svirować.

– A czy...

Coraz wyraźniejszy hałas z zewnątrz dał im znać, że ktoś wraca do pensjonatu. Ponieważ źródeł hałasu było kilka i brzmiały raczej męsko, wiadomo było, że za moment próg przestąpi gospodarz „Pod

Śnieżycą” oraz trzech jego gości. Olga zapowiedziała bowiem, że chce trochę poszperać po straganach i butikach, w związku z czym na pewno nie należy jej się spodziewać przed wieczorem.

– Byłabym wdzięczna, gdybyś zachowała to, co tu usłyszałaś, dla siebie – poprosiła Karina. – Nie chcę psuć chłopakom zabawy. Wystarczy, że już ja mam zwarzony humor.

– Jasne, będę milczała jak grób – obiecała Miśka, doskonale zdając sobie sprawę, że za moment wypapla wszystko Mario – ale o tym dziwnym człowieku, który was podglądał, chyba trzeba im jednak powiedzieć.

– O nim jak najbardziej – zgodziła się Karina.

Wbrew ich oczekiwaniom do kwestii tajemniczego obserwatora ich gospodarz odniósł się lekceważąco.

– Mnóstwo ludzi się tu kręci – stwierdził uspokajającym tonem. – Poza tym, jakbyście nie zauważyły, ta droga tylko pozornie kończy się na pensjonacie. Jakies sto metrów za budynkiem gospodarczym zaczyna się ta na Czajkę.

– A ona teraz nie jest zasypana? – zdziwiła się Miśka.

– Jest – potwierdził Wincenty. – Ja tylko mówię, że to jeszcze nie jest koniec świata. I ludzie czasami tędy przechodzą.

– Albo przejeżdżają – mruknęła Miśka. – Ten akurat był na motorze. I cały czas wydaje mi się, że tu węszył.

– Może przyjechał popatrzeć na waszą koleżankę – zaśmiał się Staszeczek – bo wśród chłopów już się rozniosło, że mam w gościnie modelkę, co to można ją było obejrzeć i w gazetach, i w telewizji.

– Serio? – zdziwiła się Karina. – Zawsze mi się wydawało, że ona nie jest aż tak bardzo znana.

– Znana-nieznana, chłop to chłop – orzekł stanowczo Wincenty – popatrzeć lubi. Jednak na wszelki wypadek zasięgnę języka u sąsiadów, czy nie widzieli, kto wam takiego stracha napędził. A teraz zamówię wam obiad z karczmy, bo wyglądacie na głodnych, a ja do gotowania mam dwie lewe ręce...

* * *

– Podobno ta twoja jest w mieście. – Konstancjusz Łuszczek, zwany przez wszystkich Kostkiem, popatrzył badawczo na Patryka. – Wiedziałaś o tym?

Siennicki strząsnął śnieg z kaptura, po czym nieco zniecierpliwiony uderzył kilka razy w różne miejsca swojej czarnej kurtki, żeby pozbyć się resztki białego puchu.

– Yhm – potwierdził obojętnym tonem. – No i co z tego? Ani ona już moja, ani nie ma w tym nic dziwnego, że przyjechała do ojca na sylwestra...

– Spotkacie się?

– Nie mam pojęcia. – Patryk wzruszył ramionami. – Ja nie czuję takiej potrzeby, ona chyba też nie, skoro nie dała nawet znaku, że tu będzie. Dowiedziałem się o tym od Zosi.

– Aha... – Kostek popatrzył na niego z ciekawością. – A z Zosią jak?

– Inaczej niż poprzednio. – Początkowo wydawało się, że Siennicki nie zamierza rozszerzyć swojej wypowiedzi, ale kiedy zdjął kurtkę, zamówił w barze „tego browarka, co zwykle”, i usadowił się na krześle przy kominku i wrócił do tematu. – Z tamtą była wieczna huśtawka nastroju. Nigdy, stary, nie wiedziałaś, czy będzie miała dobry humor, czy focha. Wiem, że laski ogólnie są popierdzielone, bo tak wynika z ich biologii, ale ona biła wszelkie rekordy. Z Zosią jest w normie. Nie ma fajerwerków, ale nie musisz się też co pięć minut zastanawiać, co zrobiłaś źle, że znowu jest nadęta mina.

– I chcesz mi powiedzieć, że nic już do niej nie czujesz? – Kostek doskonale pamiętał, w jakim stanie był jego kumpel, kiedy dowiedział się, że jego dziewczyna chce studiować w stolicy, i wściekłość, kiedy wrócił z Warszawy po odwiedzinach u niej.

– Czy ja wiem? – Patryk podumał przez chwilę, w czasie której przyniesiono mu trunek. – Na pewno nie to, co kiedyś. Jasne, że fajna

z niej była dupa, zwłaszcza z twarzy, ale wygląd to nie wszystko.

– Serio? – Kostek popatrzył na niego drwiąco, przypominając sobie, że nie kto inny, tylko Siennicki tworzył w ich klasie ranking dziewczyn, przyznając im noty za wygląd w skali dziesięciopunktowej i zapowiadając, że wszystkie poniżej siódemki nie mają co liczyć na jego względy. Nie trzeba dodawać, że we własnym mniemaniu Patryk był najmarniej jedenastką.

– Wygląd to podstawa, jasne – Siennicki przysunął się bliżej ognia, po czym bez mała duszkiem wypił całą zawartość kufła – ale laska musi mieć też fajny charakter, bo inaczej nic z tego nie będzie. Teraz już to wiem. Jeszcze jednego browarka poproszę!

– A te plotki o Agnieszce... – zaryzykował Kostek, który, sam studiując w Krakowie, nie miał jeszcze czasu porozmawiać na ten temat ze swoim kumplem. – W pale mi się nie mieści, żeby coś takiego robiła...

– Mówisz o puszczaniu się za kasę? – upewnił się Patryk. – Dlaczego nie? Wiele lasek tak robi. Częściej, rzadziej...

Kostek chciał zaprzeczyć, ale zrobił w duchu szybki rachunek sumienia i, pomny tego, co jemu samemu przydarzyło się ze dwa razy po pijaku w klubie, postanowił jednak nie wykazywać się hipokryzją.

– Niby tak – przyznał z niechęcią – ale wiesz, to co innego, gdy ktoś podejdzie do ciebie, wygląda fajnie, a do tego jesteś trochę porobiony i w sumie przyjmujesz propozycję szybkiego numerka za kasę w w.c., a co innego, kiedy robisz z tego biznes...

– A co? – Patryk posłał mu drwiące spojrzenie. – Uległeś kiedyś takiej propozycji?

Kostek poczuł, że się rumieni.

– Spoko, stary – pocieszył go kolega. – Nie oceniam. Czasem, jak patrzę na siebie w lustrze, to też mam ochotę dać anons na jakimś portalu i, jak to mówią, zmonetyzować контент. Myślę, że miałbym megawzięcie u milfek.

– Jasne, jasne – potwierdził Kostek gorliwie, ciesząc się, że jego kumpel z góry założył, że propozycje, które dostał, i którym niestety uległ, złożyły mu przedstawicielki płci pięknej. Przynajmniej nie musiał się tłumaczyć, jakim cudem znalazł się o drugiej w nocy w krakowskim klubie dla gejów. – Nie dokończyłeś o Agnieszce...

– W jej rodzinie nigdy się nie przelewało. Matka zmarła, stary nie miał smykałki do robienia szmalu. A tu jedziesz do stolicy i widzisz, jak twoja była, która nie chce już z tobą być, mieszka we własnym mieszkaniu. Wszyscy inni tłoczą się w akademikach albo mieszkają po kilka osób w jakichś klitkach, a ta żyje sobie jak królowa. A potem widzisz, jak do jej mieszkania wchodzi jeden stary pierdoła...

– Podglądałeś?! – Kostek poczuł się zszokowany. – Szpiegowałeś ją?

– No i co z tego? – Siennicki wzruszył ramionami. – Lubię wiedzieć, jak jest. Zawsze lepsza paskudna prawda niż ładne kłamstwo.

– Ale ona była... jest – poprawił się szybko Łuszczek – taką... taką... prawdziwą dziwką?

– Co masz na myśli, mówiąc „prawdziwą”? – nie bardzo zrozumiał Patryk.

– No, bo wiesz, są różne rodzaje tego... zajęcia. – W Kostku często dobre wychowanie brało górę nad chęcią bycia dosłownym. – Możesz puszczać się z kim popadnie, a możesz na przykład mieć kilku, jak to się ładnie nazywa, sponsorów. Jak wróciłem z Krakowa i zaczęto mi przekazywać plotki, to z tego, co o niej opowiadano, to zrozumiałem, że stała na ulicy i zaczepiała tam facetów. Jak te no... Smerfetki przy trasie. Ale tak źle to chyba nie było...?

– Co to za różnica? – prychnął Patryk.

– Kolosalna! – bez mała krzyknął Kostek. – Wiesz, co innego uprawiać seks z kilkoma facetami, którzy są dla ciebie hojni, a co innego puszczać się z kim popadnie za grosze dla alfonsa lub co gorsza za szminkę czy rajstopki, jak jakaś galerianka.

– Dla mnie żadna! – rzekł twardo Siennicki. – Kurwa to kurwa.

– No nie! – upierał się Kostek. – Stara Jędrzejczykowa, matka Klemensa, miała swego czasu paru facetów. Sam wiesz.

– No wiem – potaknął Patryk. – I co z tego?

– I ci faceci prześcigali się w tym, kto jej co kupi do chałupy. Jak jeden podarował jej mikrofalę, to w następnym tygodniu inny przyjeżdżał z nową pralką, a tydzień później kolejny wbijał na chatę z telewizorem, choć Jędrzejczykowa miała już jeden...

– Do czego zmierzasz?

– No że jak tak na to popatrzeć z boku, to też można byłoby powiedzieć o niej to samo co o Agnieszce. Że miała facetów, którzy zapewniali jej dostatnie życie...

– No weź! – oburzył się Siennicki. – Nie rób z matki Klemensa tufty! Przecież ma syna, chodzi do kościoła, a poza tym jest stara...

– Nie robię, tylko pokazuję ci, jak łatwo dorobić komuś opinię. A to, że masz dziecko, nie jesteś młody i chodzisz do kościoła, nie ma nic do rzeczy. Dziwki pewnie też tak mają...

– Nie wiem. – Patryk nie wydawał się przekonany. – Jak dla mnie, to prowadziła się jak zwykła blachara, i tyle.

– I musiałeś o tym rozpowiedzieć wszystkim dokoła? – W głosie Kostka słychać było wyrzut. – Stary, chodziliśmy razem do szkoły, na węgry, ściągaliśmy od siebie, wy prowadzaliście się za rączki... Nie mogłeś jej tego oszczędzić? Choćby w imię tamtych wspólnych czasów...

– Kiedy ja nikomu nic nie powiedziałem! – zaprotestował Patryk.

– Serio...? – Kostek spojrzał na niego ironicznie. – Nawet mi będziesz wciskał kit?

– No dobrze... – mruknął Patryk, odbierając od kelnera kolejny kufel piwa. – Wyrwało mi się to i owo. Ale tylko do jednej osoby! I to takiej, której nie mogłem podejrzewać, że puści to dalej, bo przecież była jej najlepszą przyjaciółką!

– Zosia...? – upewnił się Kostek.

Siennicki potaknął.

– Nie wiedziałeś, że nikt tak nie potrafi dowalić jednej lasce, jak druga laska? – zdziwił się Łuszczek z politowaniem. – Stary...

– Może i wiedziałem – Patryk uśmiechnął się kpiąco – ale przynajmniej sam mam czyste sumienie. A to najważniejsze, prawda...?

* * *

– Olga?!

Wracająca powoli do pensjonatu modelka odwróciła się i w dość lichawym świetle latarni zobaczyła stojącą kilkanaście metrów dalej niewysoką kobietę w średnim wieku, ubraną w szary długi kożuch, sprawiający wrażenie mocno znoszonego.

– Olga Lubiecka, prawda? – upewniła się nieznajoma.

– Tak – potwierdziła modelka.

– Czy mogłybyśmy chwilę porozmawiać? – zapytała kobieta.

– Trochę się spieszę – odpowiedziała Olga, zresztą zgodnie z prawdą, bo w pensjonacie czekała na nią stygnąca powoli obiadowokolacja. – A poza tym, czy my się znamy?

– Nie pamiętasz mnie? – zdziwiła się kobieta. – Nazywam się Maria Konieczna. Poznałyśmy się kilka lat temu w stolicy. Pracowałam wtedy przy organizacji pokazów mody.

– Nie. – Olga przyjrzała się jej uważniej, po czym pokręciła głową. – Nie przypominam sobie, bardzo mi przykro...

– To dziwne – szepnęła kobieta, podchodząc do niej bliżej. – Miałyśmy przecież okazję współpracować ze sobą kilka razy...

– Przepraszam, ale nie kojarzę...

– Byłyśmy nawet na wspólnym bankiecie po pokazie Olympusa...

– Ja...

– I na urodzinach Zosi Gałczyńskiej!

– Naprawdę, nie pamiętam. – Olga starała się wypowiedzieć te słowa przepaszającym tonem, choć tak naprawdę czuła się już lekko

zirytowana nachalnością kobiety. – I zdecydowanie nie mam czasu. Bardzo mi przykro.

Kobieta zmierzyła ją taksującym wzrokiem.

– Wydaje mi się, że rozumiem – rzekła z dziwnym żalem w głosie. – Przykro mi, ale oczywiście umiem cię zrozumieć. Przepraszam, że cię zaczepiłam... Miałam nadzieję... W sumie nieważne. Niech ci się dobrze wiedzie.

– Pani także – odpowiedziała Olga.

– Pani?! – prychnęła Maria z wyraźnym zdumieniem. – Serio?! No cóż... Jak chcesz. – Odwróciła się i wolnym krokiem zaczęła oddalać się od Lubieckiej, co jakiś czas zerkając przez ramię i rzucając w jej kierunku zdziwione spojrzenie, połączone z pełnym niedowierzania kręceniem głową, tak jakby zachowanie Olgi nie mieściło jej się w głowie.

– Maria Konieczna – powtórzyła pod nosem modelka. – Nie. Na pewno jej tam nie było... Fuck!

* * *

Na widok Darskiego w drzwiach swojego gabinetu komisarz Ilona Knieć wydała z siebie krótki, radosny okrzyk. Następnie zerwała się ze swojego krzesła i dopadła do Krzysztofa, który na jej widok odruchowo wykonał gest zapraszający do uścisku.

– W sumie to nie wiem, czy powinniśmy się tak witać... – zastanowił się Darski kilka chwil później, wspominając, że na zadane mu kilkanaście minut wcześniej pytanie, gdzie się wybiera, odpowiedział swojej narzeczonej: „Na Krupówki, po oscypki”, i czując lekkie wyrzuty sumienia, że zmuszony był uciec się do półprawdy. Bo choć oscypki, a i owszem, zakupił, to nie one bynajmniej sprawiły, że wyszedł na miasto. – Moja narzeczona na pewno nie byłaby z tego powodu wniebowzięta, o twoim mężu już nawet nie wspominając...

– W hierarchii ważności mojego męża znajduję się daleko za Dawidem Kubackim – stwierdziła bez specjalnego żalu Ilona. – Myślę, że gdyby miał do wyboru, z kim chce spędzić resztę życia, to bez wahania wybrałby jego zamiast mnie...

– Kubacki to ten skoczek narciarski, tak? – upewnił się Darski, który nie był specjalnym fanem akurat tej dziedziny sportu. – Sorry, że pytam, ale moja wiedza w tej konkurencji kończy się na Małyszu...

– Tak – potwierdziła Ilona. – Taki blondynek z naszej Wisły. To znaczy z klubu. Na szczęście ma żonę. Choć jeśli kiedyś się rozwiedzie, to jestem pewna, że mój szanowny małżonek z miejsca zaprosi go na randkę. A potem dostanie kosza i się załamie. Na pociechę zostanie mu co prawda Anna Puławska, ale to zdecydowanie nie to samo.

– Puławska...? – Darski popatrzył na nią pytająco.

– Kajakarka – wyjaśniła Knieć. – W jeden rok zdobyła więcej medali niż polscy piłkarze w całej historii futbolu, choć to akurat nie jest specjalnie trudne... Bądź więc spokojny, że mógłbyś mnie ścisnąć na oczach mojego męża i wątpliwe, czy wzbudziłoby to w nim jakiegokolwiek uczucia.

– Podobno tam, gdzie nie ma zazdrości, nie ma też miłości – westchnął współczująco Darski.

– Mit i legenda. – Ilona machnęła uspokajająco ręką. – Leszek mnie kocha na swój sposób, tylko tak usilnie stara się tego nie okazywać, że czasami sama sobie muszę o tym przypominać... Co cię sprowadza w moje skromne progi? Zapewne jakaś straszna zbrodnia...

– Skąd takie domniemanie?

– Bo jak byłeś w naszym cudownie droгим mieście dwa ostatnie razy, to nawet nie dałeś znaku życia, że jesteś. – Ilona z uśmiechem popatrzyła na pojawiające się zakłopotanie na twarzy swojego byłego chłopaka. – Spokojnie, nie mam o to pretensji. Ja też kilka razy byłam w stolicy i nie przyszło mi do głowy, żeby zawracać ci głowę. Rozumiem jednak, że skoro teraz pofatygowałeś się z wizytą, to

oznacza, że masz ku temu powód. Służbowy. A więc...? Co masz mi do powiedzenia, celebryto?

Darski już otwierał usta, aby wyjawić przyczynę swoich odwiedzin, ale ostatecznie słowo sprawiło, że powiedział zupełnie co innego.

– I ty, Brutusie? – rzekł mianowicie z wyraźnym rozgoryczeniem.

– To à propos celebryty? – zaśmiała się Ilona. – No, mój drogi... Jeśli na Sensatku i w telewizji śniadaniowej pojawiasz się częściej niż gwiazdy estrady i kina, to jak inaczej cię nazwać?

– Widzę, że śledzisz uważnie moją karierę – mruknął Darski z przekąsem.

– To raczej twoja kariera zewsząd mnie atakuje – skwitowała Ilona.

– No więc...? W czym mogę ci pomóc?

Krzysztof podał jej kartkę, którą otrzymał od Mario i Miśki. Ilona przez chwilę studiowała jej zawartość.

– Co to jest?

– Moi znajomi, którzy tu wypoczywają, znaleźli ją przypadkiem pod szafą w pensjonacie „Pod Śnieżycą”...

– A, u Staszeczka – skojarzyła błyskawicznie Ilona.

– Tak. Ponieważ już kilka razy wcześniej byli zamieszani w różne sprawy tej wariatki...

– Róży Krull? – upewniła się Ilona, czując, że właściwie nie musi tego robić, bo każdy, kto nawet pobieżnie zapoznał się z życiorysem Darskiego, wiedział, że podobnymi określeniami tytułuje on tylko jedną osobę na naszej planecie.

– Yhm – potwierdził z kwaśną miną. – Więc ponieważ kilka razy już mieliśmy ze sobą do czynienia w podobnych okolicznościach, to zdążyłem im wbić do głowy, że jak dzieje się coś podejrzanego, to przychodzi się z tym do mnie, a nie zaczyna jakieś idiotyczne prywatne dochodzenie. Przecież gdyby na ich miejscu była Róża, już dawno mielibyśmy „Pod Śnieżycą” kilka trupów i ją samą, zapewniającą z niewinną miną, że to nie jest wina ani jej, ani tym bardziej jej kretyńskiej zabawy w pannę Marple!

– Rozumiem – rzekła Ilona uspokajająco, widząc, że nawet samo wspomnienie pisarki podnosi Darskiemu ciśnienie tak bardzo, że należałoby mu zaordynować wzięcie pod język captoprilu. – Ale wiesz, że równie dobrze to może być jakiś wygłup... Albo dotyczyć kogoś, kto mieszkał kiedyś w tym pensjonacie, a teraz nie wiadomo już, gdzie jest...

– Owszem, wiem – zgodził się Krzysztof. – Tylko że ta kartka została znaleziona w pokoju, o którym moi znajomi dowiedzieli się, że należał do córki właściciela pensjonatu i że do czasu ich przyjazdu nie był on nikomu wynajmowany...

– Myślisz, że ten list był skierowany do niej? – Ilona zmarszczyła brwi. – Dlaczego w takim razie go nie zniszczyła?

– Może warto byłoby ją o to zapytać? – podsunął Darski. – Chętnie bym to zrobił, ale nie mogę. Przynajmniej do czasu, kiedy nie popełniono tu żadnego przestępstwa, a ja nie otrzymałem zgody swojego szefa, żeby zaangażować się w śledztwo. Tym niemniej mam przecucie, że ta kartka nie jest wygłupem. I jeśli mam rację, to...

– Agnieszce zagraża niebezpieczeństwo – zgodziła się Knieć – i to w dodatku takie, które sama zlekceważyła...

* * *

Kiedy tylko robiąca zakupy w drogerii Zosia Ziębek zobaczyła Agnieszkę w odbiciu szyby, natychmiast chciała po angielsku wymknąć się z owego sklepu. Jakoś jej to jednak zupełnie nie wyszło, bo najpierw zahaczyła łokciem o buteleczkę perfum i zrzuciła ją na podłogę, a następnie, próbując szybko podnieść ów diabelny flakonik i odstawić go na miejsce, dostała zawrotu głowy, w wyniku którego potoczyła się w stronę fantazyjnej wystawki szamponów i w ciągu kilku sekund zniszczyła owoc półgodzinnej pracy ekspedientki, która owo dzieło stworzyła i która teraz, na widok dokonanej tam demolki,

zachowała się tak, jakby Zosia co najmniej urwała głowę Wenus z Milo.

– No i co zrobiła?! – krzyknęła ze zgrozą. – Ślepa jest? Czy niedojdowata?!

– Przepraszam... – wyszeptała Zosia, próbując przesunąć się w stronę wyjścia. – Tak to układacie, że trudno się przecisnąć!

– Słucham?! – Zbierająca poprzewracane szampony wściekła kobieta popatrzyła na nią tak, że Ziębek zaczęła się bać, że za moment oberwie po głowie plastikową butelką, zawierającą coś „bez parabenów, siarczanów, SLS-ów, sztucznych barwników i substancji obciążających”, ale za to wypełnioną tajemniczym składnikiem o nazwie ichtiol, który Zosi kojarzył się ze środkiem na trądzik i jako takim niekoniecznie mającym cokolwiek wspólnego z włosami. – Popatrzcie no na księżniczkę! Jak jej się nie podoba ułożenie, to niech się sama zatrudni i robi to po swojemu! Mądrała!

– Niech pani tak nie wrzeszczy! – poprosiła bardziej z irytacją niż z prośbą w głosie Zosia.

Było jednak już za późno. Jej przyjaciółka wyjrzała zza regału ze środkami czystości.

– Zosia? – rzekła takim tonem, że Ziębek przeszły dreszcze po plecach.

– Cześć – mruknęła z rezygnacją.

– Yhm. – Agnieszka pokiwała głową, mierząc ją niechętnym spojrzeniem. – Nie uważasz, że powinniśmy porozmawiać?

– Być może, ale... teraz nie za bardzo mam czas...

– Myślę, że znajdziesz chwilę... – mruknęła Staszeczek.

– Jak ma czas na rozwalanie dekoracji, to ma też na rozmowę – rzekła kobieta sprzątająca szamponowe pobojuwisko.

– Niechże już sobie pani da spokój z tą dekoracją! – zezłościła się Ziębek. – Inba o poukładanie dwudziestu pojemników jeden na drugim!

– Lepiej, żebyś zeszła mi z oczu – poradziła ekspedientka.

Zosia posłuchała jej rady. Niestety, Agnieszka wyszła razem z nią.

– I co masz mi do powiedzenia? – zapytała cicho, kiedy zamknęły się za nimi drzwi drogerii.

– To zależy o czym – stwierdziła ostrożnie Zosia.

– Może w pierwszej kolejności o tym, o czym huczy całe Zakopane – doradziła jej koleżanka, mrużąc złośliwie oczy.

– A o czym huczy? – zapytała z głupia frant Ziębek, próbując zyskać na czasie i w panice dumając, jak dużą wiedzę o jej podłości dysponuje Staszeczek.

– O tym, że w Warszawie jestem dziwką. – Jak widać, Agnieszka postanowiła nie ubierać niczego w piękne słówka.

– Ja nie... – zaczęła Zosia, ale przyjaciółka nie pozwoliła jej dokończyć.

– Nie pytam o to, kto rozpowszechnił te plotki, bo wiem, że to ty – rzekła spokojnie. – Chodzi mi o to, dlaczego to zrobiłaś. Mogłam się tego spodziewać po każdym, ale nie po tobie! Nadal trudno mi w to uwierzyć, ale sprawdziłam to już w tylu źródłach, że trudno, żebym miała jeszcze jakieś wątpliwości. No więc? Dlaczego?

– Bo...

Zosia wiedziała, że nie może powiedzieć prawdy. Jak bowiem wytłumaczyć, że przez te wszystkie lata, kiedy teoretycznie się kumpłowały, zazdrościła Staszeczek prawie wszystkiego: błyskotliwości, inteligencji, urody, wrażenia, jakie robiła na chłopakach, a nawet tego, że wyglądała elegancko i seksownie w ubraniach, w których ona sama prezentowała się wypisz wymaluj jak z plakatu, zachęcającego do składania datków na ofiary powodzi. Nagle wpadła na pomysł, jak z tego wybrnąć.

– Kiedy wyjechałaś, złapałam się na tym, że czuję coś do Patryka. Nic wtedy nie zrobiłam, żeby się do niego zbliżyć, ale... Kiedy wrócił ze stolicy i zobaczyłam, jak bardzo jest załamany, a do tego usłyszałam, że się rozstaliście, to chciałam go jakoś pocieszyć i...

– ...zamiast kupić misia przytulankę, władowałaś mu się do łóżka, prawda? – Agnieszka popatrzyła na nią z politowaniem. – A następnie postanowiłaś go wyręczyć w roli żywego alertu RCB, tak? „Uprzejmie informujemy szanownych państwa, że Agnieszka Staszeczek jest kurwą”. Zgadłam? Dobrze jeszcze, że nie podałaś wszystkim mojego numeru telefonu.

– Przesadzasz... – mruknęła Zosia.

– Tak uważasz? – wysyczała wściekle Staszeczek. – Chcę zrozumieć twoją motywację. Poczulaś się przez to lepiej? Stałaś się bardziej zajebista w swoich oczach? Pomyślałaś: „Może i nadal jestem szarą myszką bez charakteru i wdzięku, ale przynajmniej się nie prostytuuję?”.

– Aga...

– No co? Po prostu chciałam zrozumieć.

– Ja... – Zosia nadal nie wiedziała, co ma powiedzieć. – Patryk...

– Znowu Patryk! – prychnęła Agnieszka. – Wiesz, że jeśli tylko skinę palcem, to przybiegnie jak kundel z podkulonym ogonem i znowu będzie mi wiernie służył. I nawet kusi mnie, żeby tak zrobić!

– Nie wygłupiaj się! – przestraszyła się Ziębek. – Ja naprawdę coś do niego czuję. Wiem, co o nim kiedyś mówiłam, ale teraz...

– Gównu mnie to obchodzi! – krzyknęła Agnieszka, sprawiając, że kilka spacerujących Krupówkami osób zwróciło z ciekawością twarze w ich kierunku. – I żebyś wiedziała, że zrobię to z rozkoszą dla samej tylko satysfakcji. Po to, żeby zobaczyć twoją minę, kiedy twój ukochany Patryś będzie aportował, gdy rzucę mu patyk! To będzie twoja kara!

– Proszę... – zaczęła Zosia, ale Staszeczek nie dała jej dojść do głosu.

– Mam ci do powiedzenia tylko jedno – rzekła mściwie wciąż podniesionym głosem. – Wypierdalaj! – Po czym, zilustrowawszy to ostatnie słowo pokazaniem palca „fuck you”, odwróciła się na pięcie i odeszła w stronę drogi prowadzącej do pensjonatu ojca.

Zosia przez chwilę stała jak skamieniała, wpatrując się w szybę drogerii, za którą wciąż zła ekspedientka układała szampony w teoretycznie dekoracyjną piramidę. Po chwili sięgnęła do torebki i wyciągnęła z niej smartfon.

– Kostek? – upewniła się po chwili. – Powiedz mi, kiedy twój tata organizuje kulig dla tych turystów z Warszawy, którzy mieszkają „Pod Śnieżycą”? A, trzydziestego... Co? Nic, nic, tak pytam. Z ciekawości. Bo chyba też tego dnia tam będę i chętnie poznałabym tę modelkę. Myślisz, że zgodzi się na wspólne selfie...?

* * *

Mniej więcej w tej samej chwili, kiedy Darski spędzał chwile ze swoją byłą dziewczyną, a Agnieszka awanturowała się ze swoją byłą przyjaciółką, Mario ze zgrozą wpatrywał się w postawiony przed nim chwilę wcześniej talerz. A dokładnie rzecz ujmując w to, co znajdowało się na tym talerzu.

– Co to jest?! – zapytał, biorąc do ręki widelec i dziobiąc nieufnie w dostarczone w czasie jego pobytu w toalecie jedzenie. – I kto to uśmiercił?

– To są, mój drogi, dziadki ze spyrkom – powiadomiła go uprzejmie Miśka. – Tradycyjny góralski posiłek. A obok masz golonkę po tatrzańsku.

– Dziadki... – mruknął Mario. – Czyli miałem rację i to kiedyś żyło.

– Otóż nie. – Miśka przed momentem wysłuchała krótkiego wyjaśnienia, co im zaserwowano, i nie miała oporów, aby podzielić się ową wiedzą ze swoim kumplem. – Dziadki to takie góralskie kopytka. Najpierw kartofle gotuje się do miękkości, a po odcedzeniu stopniowo dosypuje do nich mąki. Potem wszystko ubija się tłuczkiem, formuje duże kluski, które gotuje się przez kilka chwil w mocno osolonym wrzątku, przekłada do miski i polewa roztopioną wędzoną słoniną.

Na dźwięk ostatnich dwóch słów Mario zrobił takie oczy, jakby usłyszał, że ma spożyć co najmniej tłuszcz wytopiony ze skunksa długoogoniastego.

– A co do golonki – kontynuowała Szustek ze złośliwą uprzejmością – to możesz być spokojny. Jej szczecinę najpierw opalono nad gazem, więc zostały tylko nieliczne, mniejsze włoski. Została przygotowana na kapuście i obsmażonej cebuli, a następnie zalana śmietanką osiemnastką, wymieszaną z solą. Na koniec zaś zapieczona wraz ze skwarkami z boczku przez półtorej godziny. Obie te potrawy są bardzo zdrowe, bazują tylko na naturalnych składnikach i stanowią bliski zamiennik sałatki z jarmużu, żurawiny, rzodkiewki i orzeszków pinii, którą z reguły jadasz w charakterze obiadu. Smacznego!

– Czyś ty oszalała?! – Mario poczuł, że robi mu się słabo. – Mam zjeść tonę zapychacza żył, zwierzęcą girę owłosioną bardziej niż noga mojej ciotki Heli i na koniec wymieszać kapustę ze śmietaną?! Jeśli nie wykituję na zator żył, to eksplodują mi kichy!

– Coś ty się zrobił taki strachliwy na stare lata? – zaśmiała się Szustek.

– Ja rozumiem, że polskie góry wpływają katastrofalnie na poziom garderoby – mruknął Mario, starannie oddzielając sztucami skórę od golonki – ale żeby jeszcze rujnowały przewód pokarmowy, to już lekka przesada.

Przez moment oboje zajęli się konsumpcją. Miśka z niekłamanym zachwytem, Mario z nieskrywanym obrzydzeniem.

– W tym wszystkim było coś niepokojącego... – przerwała w końcu ciszę Szustek.

– W czym? – zdziwił się Mario.

– W tej kłótni Kariny z Agnieszką i potem w tym facecie za rogiem...

– Albo kobiecie...

– Albo kobiecie – zgodziła się Miśka. – Choć raczej w to nie wierzę.

– Ale co niepokojącego? Sprecyzuj! – poprosił Mario, dochodząc do wniosku, że dziadki jeszcze jako tako ujdą, ale ktoś, kto wymyślił połączenie kapusty kiszonej ze śmietaną, powinien trafić do ostatniego kręgu piekielnego, tuż obok zabójców Juliusza Cezara.

– Mam wrażenie, że dzieje się tu coś groźnego. Tak podskórnie – wyjaśniła niepewnie Miśka. – Ta kartka, którą znaleźliśmy pod szafą, awantura Kariny, fakt, że córka naszego gospodarza zna Marka...

– Słucham? – Mario popatrzył na nią ze zdziwieniem.

– Rozmawiali ze sobą przed domem tej jej ciotki, która udawała psychopatyczną morderczynię – wyjaśniła Miśka. – Stałam przy oknie i zasłaniała mnie firanka. Nie wyglądali, jakby się poznali dopiero tutaj. Odniosłam wrażenie, że się kłócili.

– Ciekawe... – mruknął Mario. Chciał coś jeszcze dodać, ale w tym momencie na zewnątrz budynku rozległy się jakieś krzyki. Oboje porzucili jedzenie i dopadli do okna. Po czym zgodnie przestali wierzyć w to, co widzą. Oto przed pensjonatem, obtoczeni już solidnie śniegiem i w związku z tym prezentujący się odrobinę niczym dwa bałwanki, bili się ze sobą... Marek i Lucjusz.

– Nic nie słyszę – rzekł z niezadowoleniem Mario, po czym otworzył jedno ze skrzydeł okna, co pozwoliło i jemu, i Miśce dowiedzieć się, co stało się kością nieporozumienia między ich kumplami.

– Jeszcze raz ci mówię! – wrzeszczał Marek, który aktualnie był górą w pojedynku z Kędziakiem, ponieważ ten wcześniej poślizgnął się i wpadł w zaspę. – Zostaw ją w spokoju!

– Nic jej nie robię! – odkrzyknął Lucjusz. – Nawet jej nie tknąłem!

– Nie kłam! Powiedziała, że rozmawiała z tobą! I że dlatego chce ze mną zerwać!

– Nie wiem, dlaczego tak mówi! – Lucjusz zręcznym ruchem zrzucił z siebie Muszyńskiego i wydobył się z zasy, po czym odbiegł trochę na bok. – To nieprawda!

– Jak nieprawda?! – Marek zmierzył go nienawistnym wzrokiem. – Skoro nie chce ze mną być! Zawsze kradłeś mi wszystkie dziewczyny!

Wystarczyło, żeby jakaś na mnie spojrzała, i już następnego dnia była twoja!

– Bo żadnej nie umiałeś zadowolić! – Jak można było wnioskować, Lucjusz też już był na tyle zdenerwowany, że przestał się kontrolować. – I nie miałeś czym!

– Ty skurwielu! – Marek poderwał się i zaczął zbliżać się w stronę Kędziaka.

– Chyba trzeba ich rozdzielić... – szepnęła nieco przerażona Miśka.

– E-e! – Mario miał wyraz zachwytu na twarzy. – Raczej należałoby skombinować skądś popcorn.

– Proszę cię – oburzyła się jego współpracowniczka. – A jak się pozabijają?!

– Gdyby każda sprzeczka o kobietę między facetami kończyła się zabójstwem, to byście tu miały wkrótce jak w „Seksmisji” – uspokoił ją Kosek. – Zastanawiam się tylko, o kogo im poszło.

– O córkę gospodarza – zawyrokowała Miśka. – Mówiłam ci, że Marek ją zna!

– Lucjusz też? – zdumiał się Mario.

– On ją przywiózł tu z Warszawy!

– I co? Od razu uwiódł po drodze? A co ma do tego wszystkiego Karina? – zastanowił się Kosek. – Swoją drogą wychodzi na to, że ta Agnieszka to jakieś niezłe ziółko.

Miśka nie odpowiedziała, z niepokojem obserwując, jak za oknem Marek znowu usiłował zadać cios Lucjuszowi, ale ten nie tylko się przed tym obronił, ale kolejny raz rzucił przeciwnika na glebę. A precyzując – wbił go w zaspę.

– Odpieprz się! – dobiegł ich krzyk Kędziaka. – I rób z nią, co chcesz! Gównu mnie to obchodzi!

Ku swojej ogromnej uldze Szustek dostrzegła też, że gdy Marek najwyraźniej zbierał się kolejny raz do ataku, na podwórze z pomieszczenia gospodarczego wyszedł ich gospodarz.

– Panowie, panowie! – Wincenty stanął między Kędziakiem a Muszyńskim. – Starczy już! Wszystko możecie sobie wytłumaczyć

na spokojnie!

– Kiedy on... – zaczął Marek, ale Staszeczek nie pozwolił mu dokończyć.

– Nie mówię, że teraz! – przerwał mu stanowczo. – Prześpicie się z tym, przemyślicie, jutro pójdziecie na piwo i wszystko sobie wytłumaczycie. Zachowujcie się jak ludzie, a nie byki na arenie.

Marek jeszcze przez chwilę sprawiał takie wrażenie, jakby chciał się przez niego przedrzeć i kontynuować bójkę z Lucjuszem, ale po chwili wydał z siebie tylko gniewnie parsknięcie, rzucił kilkoma nieparlamentarnymi słowami i udał się do pensjonatu. Minął bez słowa Mario i Miškę, udających, że spożywają posiłek, i wszedł po schodach. Po chwili rozległo się głośne trzaśnięcie drzwiami.

– Niech pan da mu spokój – rozległ się tuż przy wejściu głos Wincentego. – Najlepiej jedźmy sobie do miasta i trzepnijmy po głębszym.

– Jak mamy pić, to musimy iść, a nie jechać – rzekł stanowczo Lucjusz – ale to może i lepiej, bo chciałbym trochę ochłonać. Spacer dobrze mi robi.

– Jasne, nie ma problemu – zapewnił Staszeczek – a z miasta to zawsze w razie czego ktoś nas podwiezie. Ludzie u nas zawsze uczynni. Przynajmniej dla swoich...

Kiedy panowie zniknęli za zaspami, Miśka popatrzyła Mario uważnie prosto w oczy.

– I co? – zapytała cicho. – Nadal uważasz, że tu się nie dzieje nic nadzwyczajnego?

ROZDZIAŁ XIII

MORDERSTWO

Wieczór, dwa dni później

Próbujący opanować szcęknięcie zębami, Mario popatrzył na piątkę równie jak on przerażonych przyjaciół.

– Jak to się mogło stać? – zapytał cicho stojącego przy nim Darskiego. – Przypadkowo?

– Nie żartuj. – Komisarz spojrzał na niego z politowaniem. – Nie ma najmniejszych wątpliwości, że to morderstwo.

Mario wzdrygnął się i odruchowo poprawił sobie na ramionach koc, którym litościwie okryła go chwilę wcześniej Miśka.

– To właśnie wydaje mi się niemożliwe – wyjaśnił nieco bezradnie – bo przecież jeśli masz rację, to oznacza, że mordercą jest ktoś z nas.

– No i...?

– Stary, weź! Znam tych ludzi od liceum. – Mario jeszcze w kilku zdaniach usiłował bronić swoich znajomych.

– Przyjmij, że nie każdy jest tutaj taki święty, jak ci się wydaje – usłyszał jako podsumowanie od Darskiego. – A przede wszystkim, że nie wszyscy z twoich teoretycznych przyjaciół są tymi, za których się podają.

– Co ty opowia... – zaczął Mario, ale komisarz wpadł mu w słowo.

– Popatrz uważnie! – rozkazał stanowczo. – Chyba nie jesteś kompletnie ślepy?!

Niebotycznie zdumiony Kosek spełnił jego życzenie i jeszcze raz przebiegł spojrzeniem po swoich znajomych. I nagle dotarło do niego, jak beznadziejną tępotą, tudzież sklerozą, popisywał się przez ostatnie kilka dni.

– Już dostrzegłeś? – Darski nie spuszczał z niego oka.

– Ale przecież... – Mario poczuł, że nic z tego wszystkiego nie rozumie. – Jakim cudem ty to wiesz?

– Bo przez ostatnie dwa dni starałem się nie tylko ustalić, kto jest autorem listu, który mi daliście z Miśką, ale też z czystej ciekawości prześwietliłem twoich przyjaciół – odpowiedział komisarz. – Po tym wszystkim, co mi opowiedzieliście, po prostu odruchowo wrzuciłem ich do... nazwijmy to... bębna maszyny losującej, żeby zobaczyć, czy a nuż, widelec czegoś się o nich nie dowiem. No i w jednym przypadku nabrałem wątpliwości. Poszperałem trochę głębiej, jak pamiętasz, odwiedziłem was nawet, a potem Ilona, czyli moja...

– Pamiętam – mruknął Mario.

– No właśnie. Więc Ilona doniosła mi o pewnej dziwnej rozmowie, której była świadkiem – kontynuował komisarz. – Dotyczyła ona twojej przyjaciółki, która doznała amnezji i nie pamiętała, z kim spała. Wiesz... O różnych rzeczach można w życiu zapomnieć, ale o tym trudno.

– Możesz mówić jakoś jaśniej?

– Nie teraz. – Komisarz poklepał go po ramieniu. – Teraz to ty musisz mi zdać relację z tego, co się wydarzyło. Choć... – Popatrzył na niego uważnie. – Nie. W takim stanie nie dasz rady. Potrzebuję kogoś z trzeźwiejszym umysłem.

– Dzięki... – mruknął Kosek, choć w duchu przyznał komisarzowi rację. Wątpliwe, żeby teraz umiał opowiedzieć o tym, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilkudziesięciu minut. – Nie wiem, czy znajdziesz tu kogoś takiego...

– Już mam go na oku – zapewnił Darski. – A właściwie ją! Dominika!

– Chyba żartujesz... – mruknął Mario.

– Bynajmniej – rzekł stanowczo komisarz, po czym na widok idącej do niego Szustek dał jej znać, aby udała się z nim do radiowozu. Tam na dzień dobry podał jej termos. – Betty zrobiła mi gorącą herbatę z sokiem malinowym. W tych okolicznościach potrzebujesz jej chyba bardziej.

Miśka skinęła głową i wypila kilka łyków.

– Czy jesteś mi w stanie w miarę mało chaotycznie opisać, co się tu stało? – poprosił Darski. – Wydaje mi się, że jesteś jedyną znaną mi osobą, którą mogę o to poprosić. Resztę z was rzecz jasna przesłucham oficjalnie, ale od ciebie chciałbym się dowiedzieć czegoś prywatnie, poza protokołem.

– Postaram się. – Szustek próbowała opanować choć trochę chaos, jaki miała w głowie. – Ostatnie dwa dni były koszmarne. Po bójce Marek nie odzywał się do Lucjusza. Karina sprawiała wrażenie obrażonej na wszystkich. Olgi prawie w ogóle nie było. Całe dni spędzała w Zakopanem, wychodziła rano, wracała późnym popołudniem, jadła z nami kolację i szła spać. Zastanawialiśmy się nawet z Mario, po co tu w ogóle przyjechała, skoro wyraźnie nas unikała. Od Kariny dowiedzieliśmy się tyle, że córka gospodarza prowadzi się z jej byłym facetem i że tak jej to skwasiło nastrój, że miałyby ochotę już stąd wyjechać. Ogólnie atmosfera zrobiła się nie do zniesienia. Nawet zapomnieliśmy o tych naszych durnych żartach. Ale gdy wczoraj przy kolacji, na której po raz pierwszy zasiedliśmy w komplecie, zapytałam, czy jednak nie darować sobie kuligu, to wszyscy na mnie naskoczyli. Nawet Karina powiedziała, że to jest jedyne, na co czeka. Wyruszyliśmy takim małym busikiem spod pensjonatu przed siedemnastą. Zawieziono nas do Poronina, gdzie czekały już sanie i facet, który organizował kulig. Nie pamiętam, jak się nazywa...

– Tadeusz Łuszczek – podpowiedział Darski.

– Możliwe – zgodziła się beznamiętnie Miśka. – Początkowo wszystko szło nieźle. Ta dziewczyna siedziała na tyle sań razem z Mario. Rozmawiali, żartowali... Ja usiadłam między Lucjuszem a Markiem, bo oni ciągle patrzyli na siebie tak, jakby się mieli pozabijać...

– Poczekaj, czyli jak dokładnie siedzieliście?

– Po lewej stronie sań, zaczynając od tyłu, siedzieliśmy Lucjusz, ja, Olga i tuż za woźnicą Marek, a po drugiej od końca Agnieszka, Mario i Karina. A to ma jakieś znaczenie?

– Nie wiem, ale chcę sobie to wszystko zwizualizować...

– Ruszyliśmy. Po drodze podziwialiśmy widoki. Z wolna zaczęło zachodzić słońce. Zmrok zapadł, kiedy dotarliśmy na polanę, gdzie czekali na nas żona woźnicy i jej syn. Były tam stoły zastawione jedzeniem, ognisko, wokół przygotowane dla nas ławy, pochodnie. Zsiedliśmy z sań. Każdy dostał szklanicę z grzańcem i wtedy pojawił się tam ten chłopak...

– Mówisz o Patryku?

– Teraz wiem, że tak ma na imię – westchnęła Miśka. – Pojawił się w momencie, kiedy Agnieszka zaczęła rozmawiać z Markiem. Był pijany albo naćpany. Zaczął wykrzykiwać straszliwe plugastwa. Nazwał ją ku... No, trochę wstyd cytować wyzwiska w takiej sytuacji...

– Możesz je pominąć – zgodził się Darski. – Mniej więcej mogę sobie wyobrazić, co mówił.

– Zapewniam cię, że bardziej mniej niż więcej, bo wykrzykiwał, a właściwie wyrykiwał straszne rzeczy. – Na samo wspomnienie Miśka aż się wzdrygnęła. – Łącznie z groźbami... Na szczęście woźnica... Kurczę, wiem, że powinnam go tytułować jakoś inaczej, ale skoro powoził kuligiem, to chyba mogę...

– Nie rozpraszaaj się – poprosił Darski. – Jak go nie nazwiesz, tak będzie dobrze.

– Więc gospodarz kuligu, o, tak będzie bardziej kulturalnie, razem z Lucjuszem jakoś tego chłopaka spacyfikowali. Marek trzymał się z daleka, bo jemu groził najbardziej. To znaczy zaraz po Agnieszce... Gdy go uspokoiłi, to się okazało, że była tam jeszcze jakaś inna dziewczyna.

– Zofia Ziębek – dopowiedział cicho komisarz.

– Nie wiem. Syn woźni... gospodarza kuligu szepnął do mnie na boku, że to przyjaciółka Agnieszki. To znaczy była przyjaciółka, bo teraz raczej się już nie lubią. Ona zaczęła się tłumaczyć, że śledziła Patryka, bo nie chciała, żeby zrobił coś głupiego. Jak widać, gdy już doszło co do czego, to jakoś nie udało jej się go powstrzymać.

– I co było dalej?

– Ta dziewczyna... Zofia, tak?

Darski potwierdził skinieniem głowy.

– Powiedziała, że odprowadzi Patryka do domu, ale żona gospodarza stwierdziła, żeby się oboje nie wygłupiali, bo przecież mają daleko. A Patryk co prawda przyjechał autem, ale w takim stanie nie powinien siadać za kółkiem, i że ona na pewno go nie wypuści. A Zofia nie ma prawa jazdy. Na co jej syn zaoferował, że odwiezie ich oboje. I tak zrobił, a my zasiedliśmy do ogniska, żeby coś zjeść. Najpierw było niemrawo, ale potem powoli jakoś zaczęliśmy smażyć kiełbaski, popijać i rozmawiać, aż wreszcie z minuty na minutę zrobiło się całkiem przyjemnie. Po pewnym czasie gospodarz zaproponował, żebyśmy przerwali na chwilę jedzenie, ot tak na pół godziny, na jazdę z pochodniami. Wsiedliśmy do sań i po kilku minutach Mario krzyknął coś à la: „Chcesz mnie spalić?!”. Okazało się, że Agnieszce pochodnia wypadła z rąk. Prosto na Mario. Odrzucił ją za sanie. Pochodnię, nie Agnieszkę, rzecz jasna. Agnieszka wypadła sama, chwilę potem. Przechyliła się i po prostu spadła. Zaczęliśmy wrzeszczeć do woźni... gospodarza kuligu, żeby się zatrzymał, ale zanim dał radę opanować konie, to przejechaliśmy parę metrów. Jak tylko stanął, zeszliśmy wszyscy z sań i pobiegliśmy do

Agnieszki. Leżała na śniegu i... – Głos Miśki zadrżał. – To był koszmar widok. Miała drgawki. Wręcz konwulsje. Dusila się. Miała pianę na ustach. I jej oczy... Nigdy ich nie zapomnę. Było w nich błaganie o pomoc. Karina podbiegła do niej i próbowała ją ratować. Widać było, że zrobiła to odruchowo, w końcu jest lekarką. Lucjusz zaczął dzwonić pod numer alarmowy, ale zanim się dodzwonił, było po wszystkim. Agnieszka nagle zastygła. Karina próbowała coś jeszcze działać, ale po chwili wstała. Nie musiała nic mówić, wszyscy widzieliśmy, co się stało.

– Rozumiem... – Darski pokiwał głową.

– To był jakiś atak? Apopleksja?

– Nie – zaprzeczył komisarz. – Trucizna. Jeszcze nie wiadomo jaka, ale koroner nie ma najmniejszych wątpliwości. Stawia na cykutę, bo zgadzają się objawy zatrucia, ale potwierdzi mi to dopiero po sekcji i badaniach toksykologicznych. W każdym razie wykluczył śmierć z przyczyn naturalnych.

– Cholera... – jęknęła Miśka. – Może ktoś ją otruił wcześniej, przed kuligiem?

– Niestety, to też nierealne. Pierwsze objawy zatrucia pojawiają się niecałe pół godziny po spożyciu tej substancji...

– Czyli cykuta była w czymś, co zjadła przy ognisku? – Miśka zmarszczyła brwi. – Jak to możliwe?! Przecież wszyscy jedliśmy to samo... I zaraz... Zaraz... A czy to możliwe, żeby ona się zatruiła przypadkowo? Że trucizna była przeznaczona dla kogoś innego?

– Tego nie wiem, acz wydaje mi się to mało prawdopodobne – odpowiedział Darski, po czym popatrzył na nią badawczo. – A teraz skup się mocniej. Czy poza incydentem z Patrykiem wydarzyło się w ciągu tego wieczora coś niecodziennego, coś, co cię zdziwiło albo zmusiło do zastanowienia?

Miśka chciała go złośliwie poinformować, że niecodzienne było przede wszystkim morderstwo, ale powstrzymała się w ostatniej

chwili. Poza tym doskonale wiedziała, o co mu chodziło. Przymknęła oczy i spróbowała odtworzyć w pamięci kolejne zdarzenia tego dnia.

– Sama nie wiem... – zaczęła po chwili niepewnie. – Marek wydawał się inny. Przez ostatnie dwa dni, od bójki z Lucjuszem, chodził jak chmura gradowa, a dzisiaj tryskał dobrym humorem, choć nie miał ku temu żadnego powodu, bo wyraźnie było widać, że nie pogodził się z Agnieszką. Traktowała go jak powietrze. Karina sprawiała wrażenie trochę... zdenerwowanej... nie, to złe określenie... przestraszona. Tak! Zdecydowanie. Natomiast Olga... – Wyraz twarzy Darskiego sprawił, że przerwała. – Coś nie tak?

– Nie, nie. – Komisarz dał jej znać, aby kontynuowała.

– Olga wyglądała jak nieobecna. Tak jak przez kilka ostatnich dni. A poza tym... – Miśka zamyśliła się na krótką chwilę – kilka dni temu Mario powiedział, że jest w niej coś dziwnego. Nie wiedziałam, o co mu chodzi, ale kiedy dzisiaj jechaliśmy saniami i kilka razy na nią spojrzałam, odniosłam podobne wrażenie. Mieliliśmy kilka wspólnych kuligów za dawnych czasów. I kiedy w pewnym momencie na nią spojrzałam, to pomyślałam, że... Nie, to głupie...

– Na tym etapie nie ma nic głupiego – zachęcił ją Darski. – Co pomyślałaś?

– Że to nie ona – przyznała się Miśka. – Wiem, że to bez sensu, ale... To była taka krótka myśl, że jest w niej coś sztucznego. Tak jakby nie była sobą, ale grała siebie. Wiem, jak to brzmi, i że pewnie masz mnie za wariatkę.

– Niezupełnie – zapewnił Darski.

Chciał jeszcze coś dodać, ale w tym momencie podszedł do niego jeden z niższych rangą funkcjonariuszy i wyszeptał mu coś na ucho.

– Jest pewny? – zapytał komisarz.

– Kazał powiedzieć, że na dziewięćdziesiąt dziewięć procent – odpowiedział policjant.

– W porządku. – Komisarz pokiwał głową. – Możecie odejść. Jak będą jakieś nowe wiadomości, to informujcie mnie od razu! –

Odczekał, aż chłopak odmaszeruje, po czym wrócił wzrokiem do Miśki. – Zdaniem naszego specjała trucizna znajdowała się w grzańcu, który piła ofiara.

Szustek przez chwilę trawiła tę informację.

– Ale przecież myśmy sami wybierali szklanki! – rzekła, nie kryjąc zaskoczenia. – Nikt nam ich nie podawał. Syn woźnicy podchodził z tacą i każdy brał, którą chciał. To niby co? Ten morderca chciał otruć kogokolwiek i akurat trafiło na Agnieszkę?

– Nie sądzę – powtórzył Darski. – Przyjąłbym raczej, że morderca liczył na jakąś okazję i grzaniec wydał mu się odpowiedni. Tym bardziej że później zaczęła się awantura z Patrykiem, która odwróciła uwagę od tego, co się dzieje ze szklankami, które już wcześniej sobie wybraliście.

– W takim razie sporo ryzykował – zauważyła niepewnie Miśka – bo przecież każdy z nas odstawił swoją gdzie popadło... Choć... – Przymknęła na moment oczy. – Nie! Ta Agnieszka stała osobno. Jako jedyna na takim najbardziej oddalonym od ogniska stoliku. I kiedy już Patryk odszedł, sięgnęła po nią i wypła wszystko duszkiem. Powiedziała, że musi się znieczulić po wygłupie tego... O ile pamiętam, użyła słowa „niedocofa”. Przepraszam, trochę mi zimno...

– No dobrze... – Darski popatrzył na nią współczująco. – Nie będę cię już dłużej męczył. I tak jutro spotkamy się w komendzie. Uważajcie z Mario na siebie!

– A co? – Miśka popatrzyła na niego z lękiem. – Myślisz, że coś nam grozi?

– Wydarzyło się morderstwo – odpowiedział Darski – i nikt jeszcze nie został za nie aresztowany. Dlatego warto mieć się na baczności. Ot, taka dobra rada...

* * *

Dokładnie w tym samym czasie, kiedy Miśka zdawała Darskiemu relację z tragicznego wieczoru, w samym centrum Zakopanego dwie osoby patrzyły na siebie z niekłamanym przerażeniem.

– Jesteś pewna, że to nie żart? – zapytał Patryk, który na wieść, jaką usłyszał od swojej dziewczyny chwilę wcześniej, momentalnie wytrzeźwiał. Zresztą nie był to jakiś specjalny cud, bo wcześniej też bardziej udawał odurzonego procentami, niż był w takim stanie naprawdę.

– Nie podejrzewam Kostka o aż tak zwyrodniałe poczucie humoru – zapewniła drżącym głosem Zosia. – Próbowałam się do niego dodzwonić, ale nie odbiera.

– Ale... – Do Siennickiego prawda docierała bardzo powoli. – Jak to jest w ogóle możliwe? Miała jakiś wypadek?

– Jeszcze raz czytam ci treść SMS-a od Kostka. – Zofia zerknęła na swoją komórkę. – „Agnieszka nie żyje. Nie wiem, co się stało. Na miejscu jest policja. Nie chce nic mówić”. I tyle. Trudno coś z tego wywnioskować.

– Ona nie żyje, a ja... – Patryk poczuł, jak robi mu się słabo – ... chwilę wcześniej jej groziłem, że ją zabiję. I to przy ludziach!

– Ale to przecież były tylko pijackie wygłupy – uspokoiła go Zosia. – Nikt nie weźmie tego na poważnie! Poza tym masz alibi. Kiedy opuszczaliśmy polanę, Agnieszka żyła. A potem przez cały czas byłeś ze mną.

– To prawda – uspokoił się trochę Patryk, po czym nagle popatrzył na swoją towarzyszkę podejrzliwie. – Ale, tak swoją drogą, jak mogłaś mnie śledzić?

Dziewczyna unikała jego wzroku.

– Zostałaś teraz moją stalkerką? – zapytał Patryk gniewnie.

Jego towarzyszka wciąż milczała.

– A może... – Siennicki przez chwilę precyzował w głowie pewną myśl, która na początku wydała mu się niedorzeczna, ale z każdą

sekundą nabierała coraz większego sensu. – Może pojawiłaś się tam, żeby coś jej zrobić?

– Nie wygłupiaj się! – poprosiła Zosia z wyrzutem.

– Nie sędzę, aby to były wygłupy. – W głowie Patryka różne oderwane strzępy rozmów i wydarzeń z ostatnich czterdziestu ośmiu godzin nagle połączyły się w jedną całość. – Wiem, że się pokłóciłyście. I wiem, że dotyczyło to mnie. Postraszyła cię, że jeśli tylko będzie chciała, to wrócę do niej. A potem widziałaś, że się spotkaliśmy...

– Naprawdę? – Zosia próbowała udąć zdumienie, ale sama wiedziała, że nie wyszło jej to najbardziej przekonująco.

– Weź... – Patryk popatrzył na nią kpiąco. – Chowanie się ze hasiokiem to był naprawdę słaby pomysł. Zwłaszcza kiedy co kilka minut się zza niego wychylałaś.

– Waliło tam jakąś zgniłą rybą. – Dziewczyna nie próbowała już kłamać. – Rozumiem, że mnie widziałeś?

– Trudno było cię nie zauważyć – odpowiedział z politowaniem Patryk. – Musiałbym być ślepy albo przynajmniej nie stać przy oknie. I jeśli już koniecznie musisz wiedzieć, to Agnieszka nie przyszła z prośbą, żebyśmy do siebie wrócili. Przyszła, żeby zrobić mi awanturę o plotki, które notabene to ty rozprowadzałaś po całym Zakopcu, jakbyś była heroldem miejskim...

– Przecież sam tego chciałeś... – mruknęła cicho.

– Naprawdę?! – Chłopak aż prychnął. – Rozumiem, że nie tylko mnie stalkujesz, ale jeszcze siedzisz w mojej głowie i wiesz, czego potrzebuję do szczęścia.

– Nie bądź hipokrytą!

– No dobrze... Może i masz rację. – Patryk wzruszył ramionami. – W każdym razie Agnieszka przyszła do mnie po to, aby jak to powiedziała, ostatecznie zamknąć nasz wspólny rozdział. I żeby pozbawić mnie wszelkich pozostałych jeszcze złudzeń, zwierzyła mi się, że jest po raz pierwszy w życiu naprawdę zakochana. Miłe, co nie?

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś... – westchnęła Zosia. – Myślałam...

– Że do siebie wróciliśmy, tak? – Siennicki popatrzył na nią z politowaniem. – Zobaczyłaś, że wychodzi ode mnie zadowolona, uśmiechnięta i byłaś pewna, że powodem tego jest fakt, że się pogodziliśmy, tak?

Dziewczyna potaknęła.

– Ciekawe... – Patryk zbliżył się do niej, po czym chwycił ją prawą ręką za podbródek i uniósł odrobinę jej twarz. – Czy to właśnie wtedy wpadło ci do głowy, że ją zabijesz...?

* * *

Jagna poczuła się tak wstrząśnięta równie krótką, co dramatyczną rozmową z Longiną, że wparowała bez pukania do pokoju syna i to mimo, że ów wydał jej wyraźny zakaz takiego postępowania, a nawet przybił do swoich drzwi tabliczkę przypominającą z napisem: „Kto nie umie pukać, ten nie ma co tu szukać!”.

– Tragedia! – krzyknęła, macając po ścianie w poszukiwaniu włącznika światła, który, jak zawsze, gdy był potrzebny, gdzieś się złośliwie schował. – Dramat!

– Mogłabyś nie oślepiac mnie tym reflektorem, który zawiesiłaś mi pod sufitem – poprosił Klemens. – Poczekaj, już włączam lampkę. – Zgodnie z zapowiedzią nacisnął mały guziczek na podstawie stojącego przy jego łóżku źródła oświetlenia, gestem każąc matce zgasić górne oświetlenie. – Jaki znowu dramat?

– Twoja koleżanka ze szkoły nie żyje! – krzyknęła Jagna, dopadając do jego łóżka i przyklękając przy nim w dramatycznej pozie à la wierzba płacząca.

Klemens był pewny, że jego mama rozkoszuje się w duchu każdą sekundą cyrku, który właśnie przed nim odgrywa.

– Która koleżanka?

– Staszczakówna!

– Co ty gadasz? – Chłopak poderwał się na łóżku. – Agnieszka nie żyje? Co się stało? Jakiś wypadek?

– Nikt tego nie wie! – oświadczyła rozpaczliwym tonem Jagna. – To się zdarzyło w czasie kuligu! Tyle razy mówiłam, że powinno się ich zakazać!

– Mówiłaś, że powinno się zakazać wyścigów psich zaprzęgów – sprostował Klemens – a nie kuligów.

– Czy to teraz ważne? – Jagna zastanowiła się, czy już powinna zacząć lamentować, czy jeszcze chwilę poczekać, budując napięcie. – Dziewczyna nie żyje! Taka piękna! Taka młoda!

– Ale co się stało?!

– Nie wiadomo. – Matka pociągnęła nosem. – Wypadek! Pewnie psy ją pokąsały! Albo wpadła pod sanie! Ten wariat zawsze nimi pruje, jakby go złe opętało!

– Ale ty w końcu coś wiesz czy tylko zgadujesz? – zirytował się Klemens. – Weź pod uwagę, że pan Tadeusz robi kuligi od wielu lat i nie przejechał dotąd nawet królika. I żadnych psów na nie nie zabiera, zresztą jego są łagodne jak baranki. Jesteś w ogóle pewna tego, co mówisz, czy znowu dorwałaś się do butelki z nalewką babci Stasi?

– O żadnej nalewce nic nie wiem. – Jagna na moment porzuciła podstawowy temat.

– Jasne, że nie wiesz, skoro już ją obaliłaś – westchnął jej syn. – Więc? Jesteś pewna, że Aga nie żyje?

– Tak! – Kobieta natychmiast wróciła do dramatycznego tonu. – Nie wiem, co musi teraz czuć jej ojciec. Gdybym kiedyś straciła ciebie, to wolałabym też od razu sama paść trupem! – Kolejne pociągnięcie nosem, nieco głębsze od poprzedniego, niechybnie oznaczało, że za moment rozpocznie się kolejny etap hysterii, czyli płacz.

– Matka! – przestraszył się Klemens, u którego, jak u prawie każdego faceta, damskie łzy wywoływały panikę. – Zamiast odwalać

tutaj dramę, lepiej zadzwoń do Łuszczaków i dowiedz się, czy im w czymś nie pomóc. A przy okazji wypytaj ich o szczegóły.

– Longina powiedziała, żeby na razie nie dzwonić. – Jędrzejczyk pociągnęła nosem, ewidentnie bardziej zmartwiona ograniczonym dostępem do bezpośredniego źródła informacji niż śmiercią Agnieszki. – Poza tym pomyślałam, że powinnam ci o tym od razu powiedzieć. W końcu chodziłeś z tą dziewczyną do szkoły. Lubiliście się!

– Ja z Agnieszką? – Klemens udał zdziwionego.

– Znalazłam kiedyś w twoim biurku wasze wspólne zdjęcie z jakiegoś wyjazdu. Nie przechowuje się takich rzeczy, jeśli się kogoś nie lubi...

– Proszę cię! – Klemens wzruszył ramionami. – Pewnie mi się zawieruszyło przez przypadek. Agnieszka mnie prawie nie zauważała. Nawet teraz... Zaprosiłem ją na sylwestra, ale wysłała mi SMS-a, że jednak nie da rady. SMS-a, rozumiesz?! Nie znalazła nawet chwili, żeby zadzwonić...

– Widzę, że cię to zabolowało... – Jagna na moment oderwała się od planów rozpoczęcia zawodzenia i spojrzała na niego z niepokojem.

– E tam, zaraz zabolowało – mruknął lekceważąco. – Po prostu nie lubię takich akcji. To co? Zadzwonisz do pani Longiny? Przynajmniej spróbuj. Ja w tym czasie się ubiorę.

– Możesz przecież ubierać się przy mnie...

– To nie nastąpiło od roku Pańskiego dwa tysiące ósmego i niewątpliwie nie nastąpi już nigdy więcej – rzekł stanowczo Klemens, po czym wykonał ręką ruch, nakazujący mamie, aby opuściła jego włości. – No już! Sio!

Jagna wstała z klęczek i powlokła się w stronę drzwi, które po chwili starannie za sobą zamknęła.

Klemens wykonał długi, pełen ulgi wydech, po czym sięgnął pod łóżko. Po chwili wydobył stamtąd dwa czarne śniegowce.

Na obu można było dostrzec ślady z wolna topniejącego śniegu...

ROZDZIAŁ XIV

ZAGROŻENIE

Zmierzająca powoli w stronę ulicy Jagiellońskiej, na której to znajdowała się komenda powiatowa policji, Karina niespokojnie zerknęła za siebie. Odkąd tylko wyszła z pensjonatu i doszła do Pardałówki, miała wrażenie, że jest obserwowana. Jednak kiedy kilka razy niespodziewanie się odwróciła, nie dostrzegła nikogo podejrzanego. Mimo to nie mogła się oprzeć wrażeniu, że coś jest nie tak. Próbowwała zrzucić to na karb wydarzeń wczorajszego wieczoru, wmówić sobie, że ma po nim napięte nerwy i powinna czym prędzej zażyć coś uspokajającego, ale czerwona lampka alarmowa nadal błyskała w jej głowie pełnią blasku. Kiedy skręciła z Pardałówki w Broniewskiego, liczba mijanych przez nią ludzi wyraźnie się zmniejszyła. Karina jeszcze raz zerknęła za siebie i poczuła, że serce zaczyna jej bić szybciej. Kilkadziesiąt metrów za sobą dostrzegła postać z nasuniętym na głowie wielkim czarnym kapturem. Ponieważ dzień należał do tych piękniejszych, od rana świeciło słońce, na niebie trudno było wypatrzeć choć jedną chmurę i zdecydowana większość ludzi chodziła po ulicach tak, jakby co najmniej zapanowało lato, nic nie tłumaczyło takiego zakutania. No chyba że ów ktoś chciał koniecznie pozostać anonimowy. A to mogło oznaczać, że ma złe intencje. Karina dopiero teraz zrozumiała, co miała na myśli Miśka,

kiedy, opisując kilka dni wcześniej tajemniczego człowieka stojącego w pobliżu pensjonatu „Pod Śnieżycą”, twierdziła, że było w nim coś niepokojącego. Dokładnie takie samo odczucie miała teraz Zalewska, która, przemierzywszy jeszcze kilkanaście metrów, nagle odnotowała, że w którąkolwiek stronę okiem nie zerknie, nie dostrzega na ulicy żadnego człowieka poza owym dziwnym kimś. Czując narastający niepokój, zastanowiła się, co ma zrobić. Przecież nie zacznie wydzwaniać do prywatnych domów i nachalnie się tam wpraszać. Wystarczyło już, że kiedyś podczas wielkiej burzy we włoskim górskim miasteczku Urbino, wystraszona wałącymi, jej zdaniem mniej więcej metr od niej, piorunami, otworzyła jakąś ozdobną drewnianą bramę i weszła do znajdującego się za nią kamiennego korytarza. Uspokoiwszy się nieco, że przynajmniej ma nad sobą mur, przez który piorun nie powinien się przebić, zaczęła sprawdzać, jak bardzo zdążyło ją przemoczyć towarzyszące burzy urwanie chmury. Odnotowawszy, że górna część jej stroju predestynuje ją do wzięcia udziału w wyborach „Miss Mokrego Podkoszulka”, zaś dolna wygląda jak wyciągnięta z pralki pozbawionej funkcji odwirowywania, Karina zaciekała się, czy ma suche choć majtki. Aby to sprawdzić, zakasała poły spódnicy i pomacała się po swoich czterech literach, a właściwie naciągniętych na nich stringach. Dokładnie w tym samym momencie odnotowała kątem oka, że znajduje się kilka metrów od stołu, przy którym siedzi i konsumuje posiłek, obserwując ją z niekłamaną ciekawością, a nawet z pewną dozą fascynacji, żywina ludzka, składająca się z dziesięciu sztuk osobników różnej płci i wieku. I dopiero wtedy Karina uświadomiła sobie, że nie weszła, jak jej się zdawało, do bramy, tylko wdarła się obcym ludziom do ich prywatnego domostwa, w którym na powitanie zaprezentowała się ze swojej nie najlepszej niestety strony. Stanowczo nie należało tego powtarzać teraz w Zakopanem.

Przyspieszyła kroku. Osobnik za nią także. Pomna tego, że Broniewskiego przejdzie zaraz w Bulwary Słowackiego, a tam

powinno być więcej turystów, Zalewska pomyślała, że w razie czego zacznie biec. Znów zerknęła za siebie i w tym momencie poczuła, jak tuż przed nią wyrasta jakaś przeszkoda. Było już za późno, aby się zatrzymać. Karina zrobiła kolejny krok i wpadła na coś, w wyniku czego straciła równowagę. Odruchowo przymknęła oczy. Po chwili poczuła ból ręki, którą próbowała desperacko zamortyzować upadek.

– A ty jak zawsze nie zauważasz ludzi – usłyszała nad sobą głos. I nie miała najmniejszych wątpliwości, do kogo należał.

* * *

W tym samym momencie niespełna kilometr dalej Darski patrzył ze zdziwieniem na swoją byłą dziewczynę.

– Jak to nie? – powtórzył, nie dowierzając temu, co właśnie usłyszał.

– No nie. – Ilona rozłożyła ręce. – Ekspertyzy są jednoznaczne. Siennicki nie jest autorem tego, co znaleźli twoi przyjaciele. Nie zgadzają się ani charakter pisma, ani DNA.

– Na DNA nie liczyłem – mruknął Darski – ale pismo... Ten twój biegły jest tego pewny? Przecież to było pisane jakimiś kulfonami.

– Bez cienia wątpliwości. To jeden z największych autorytetów w dziedzinie badania pisma. Krakowscy śledczy słuchają go jak wyroczni. Rozmawiałam z nim przez chwilę, bo też mi to nie pasowało. Wyjaśnił, że nawet jeśli piszesz pod linijkę i samymi wielkimi literami, tak jak w tym przypadku, to i tak zostawiasz dość jednoznaczne ślady swojego charakteru pisma. Nie można się ich całkowicie wyzbyć. I w tym przypadku nic się nie zgadza. Siennicki nie jest autorem tych gróźb. Koniec kropka.

– W takim razie nic już nie rozumiem – przyznał Darski. – To się układało w logiczną całość. Staszeczek informuje go, że wyjeżdża na studia do Warszawy. On wpada w furję. Pisze do niej list, w którym zapowiada, że jeśli nie będzie jego albo go zdradzi, znajdzie ją choćby na końcu świata i poderżnie jej gardło. Potem jedzie do stolicy, gdzie

odkrywa, że jego dziewczyna ma wielu adoratorów. Kłóćą się, ona zrywa ich związek. On czeka na okazję do zemsty. W tym czasie wiąże się z przyjaciółką swojej byłej. Agnieszka wraca do Zakopanego. Grozi przyjaciółce, że odbije jej Siennickiego... Przy okazji, czy tutaj można wypowiedzieć na ulicy jakiegokolwiek zdanie, żeby zaraz ktoś go nie podsłuchał i nie roztrąbił dookoła?

– Nie da się – rzekła z przekonaniem Ilona.

– Tak myślałem. – Komisarz pokiwał głową z wyrazem rezygnacji na twarzy. – No to lećmy dalej. Siennicki namawia swoją aktualną dziewczynę do tego, żeby pozbyli się raz na zawsze Staszeczek. Ona się zgadza. Pojawiają się na kuligu. On robi zamieszanie i ściąga na siebie uwagę, a w tym czasie ona zaprawia grzańca swojej byłej przyjaciółki trucizną. Finito. Wszystko się udało. Ale teraz ta teoria bierze w łeb, skoro okazuje się, że jednak ktoś jeszcze życzył Staszeczek źle i dybał na jej życie.

– Ustalmy, że bierze w łeb tylko trochę – zaproponowała Ilona. – Przyjmijmy, że mogło tak być, jak właśnie zrelacjonowałeś, a list był tylko czymś wyglupem. Niezwiązanym z zabójstwem, a więc nieistotnym. Jak widać, sama Staszeczek nie potraktowała go poważnie, skoro wrzuciła go pod szafę.

– To też mnie zastanawia – przyznał Darski. – Są dwa wyjścia: albo się nim nie przejęła, albo w ogóle go nigdy nie przeczytała.

– Drugi scenariusz wydaje mi się bardziej prawdopodobny – przyznała Knieć. – Gdyby przeczytała, pewnie by komuś o tym powiedziała. Choćby ojcu.

– Może nie chciała go denerwować? Z tego, co wiem, jej ojciec miał pod dostatkiem stresów.

– Mówisz o chorobie żony? Czy o wypadku?

– I o jednym, i o drugim... À propos, czy możesz mi powiedzieć coś o tym zdarzeniu?

– Nie pracowałam tu jeszcze wtedy. Mogłabym w sumie zajrzeć do akt tamtej sprawy, ale... – Ilona podeszła do drzwi, otworzyła je

i zawołała: – Piotruś! Pozwól tutaj! To moja prawa ręka – wytłumaczyła Darskiemu. – Pracuje tutaj najdłużej z nas wszystkich. Poznaliście się wczoraj wieczorem. Piotruś, opowiedz nam, jak to było z wypadkiem Staszeczka...

– To było pięć lat temu, więc mogę już nie pamiętać wszystkiego jakoś szczegółowo – zarzekł się starszy aspirant Piotr Zarębniak. – To było wieczorem, a właściwie nocą. W grudniu. Cni mi się, że w jakieś święto, bo zakopianka świeciła pustkami, a to się tam zdarza bardzo rzadko. Nawet nocami. Wincenty wracał z Krakowa. Jechał sam. Jak zeznał, nagle ktoś wyskoczył mu przed maskę i nie było szans, żeby użyć hamulca. Zatrzymał się kilkadziesiąt metrów dalej. Podbiegł do tego kogoś. To była dziewczyna, młoda. Staszeczek wezwał pogotowie, zadzwonił do mnie. Mówił, że wyglądało to tak, jakby zrobiła to specjalnie.

– Coś o niej?

– Warszawianka. Dwadzieścia osiem lat. Nazywała się Lucyna Gil.

– Pogratulować pamięci – mruknął Darski.

– Moja ciotka nazywa się Ludmiła Gil – wyjaśnił Zarębniak – więc łatwo było zapamiętać. Pracowała w Zakładzie Ubezpieczeń Społecznych. Singielka. Niekarana. Znajomi, z którymi przyjechała do Zakopanego, zeznali, że przez kilka dni przed śmiercią miała gorszy humor, ale nie chciała im powiedzieć dlaczego. Wszyscy jednak stwierdzili zgodnie, że nie była w takim stanie, żeby się o nią jakoś specjalnie niepokoiłi. W toku śledztwa sprawdziliśmy, że nie cierpiała na żadne zaburzenie psychiczne, nie przyjmowała leków psychotropowych. W jej krwi nie znaleziono śladów żadnych używek. Nawet alkoholu. Podobnie było ze Staszeczkiem. Był czysty.

– Nie kwestionowaliście jego wersji zdarzeń?

– Miał świadka. Z przeciwnej strony, od Zakopanego, jechał samochód. Kierująca nim kobieta potwierdziła zeznania Wincentego.

– Czyli i tutaj nie ma się czego chwycić – westchnął Darski, po czym widząc wahanie na twarzy Zarębniaka, szybko dopytał: – Czy jednak

coś jeszcze się wydarzyło?

– Głupia sprawa. – Aspirant przejechał palcami po swojej niezbyt zadbanej, siwiejącej brodzie. – Następnego dnia o wypadku napisały gazety. To znaczy nasz lokalny dziennik i wszystkie inne po nim to powtórzyły. Autor tego artykułu chciał zakamufłować tożsamość Staszeczka, a imię Wincenty nie jest z kolei aż tak częste, i w związku z tym tytułował go „Tadeuszem Ł.”. Nie mam pojęcia, czy zrobił to specjalnie, bo miał na pieńku z Łuszczkiem, ale przez długi czas chodziły ploty po mieście, że to właśnie on kogoś przejechał na zakopiance. I tak właściwie to nigdy nikt ich tak do końca nie sprostował. Oczywiście, ci, którzy byli blisko Staszeczka, wiedzieli, że to on przeżył taką traumę, bo podupadł potem na zdrowiu i w ogóle widać było, że ciężko mu się pogodzić z tym, co się wydarzyło. Ale wszyscy inni pewnie do dzisiaj uważają, że to Łuszczek brał udział w tamtym wypadku.

– Ciekawe... – Darski wymienił się spojrzeniami z Iloną.

– Myślisz, że ktoś polował na Łuszczka, a przez przypadek zabił Staszeczekównę? – Knieć pokręciła z niedowierzaniem głową. – Wydaje mi się to mocno naciągane.

– Nie upieram się przy tej wersji – zastrzegł Darski – sądzę jednak, że powinniśmy się dowiedzieć czegoś więcej o ofierze tamtego wypadku.

– Wszystko jest w aktach, mogę je przynieść z archiwum – zaoferował Piotr. – Z tego, co pamiętam, nasi warszawscy koledzy przyłożyli się do sprawy starannie. Ale też nie ma tam zbyt wielu informacji. To nie była jakoś przesadnie aktywna kobieta i niewiele się zdarzyło w jej życiu. Sami poczytacie...

– Trucizna wskazywałaby raczej na to, że mordercą jest kobieta – rzekła Ilona, kiedy Zarębniak zostawił ich samych.

– Mit i legenda – sprostował Darski, który ostatnio studiował dane na ten temat. – Jasne, że w tej kategorii macie nad nami przewagę, ale nie jest ona jakaś spektakularna.

– Serio? – zdziwiła się Knieć. – W takim razie lećmy po kolei... Wiemy, że trucizna znajdowała się w szklance z grzańcem. Pytanie, kiedy tam trafiła.

– Jeśli założymy, że morderca nie jest psychopatą, który pozbawia życia dla samej chęci zabijania i nie jest mu wszystko jedno, na kogo trafi, to trzeba przyjąć, że wykorzystał moment, kiedy Siennicki robił zamieszanie, i wtedy dodał cykuty do napitku Agnieszki.

– Że też Staszeczek się nie zorientowała... – mruknęła Ilona.

– Czemu miałyby? – zdziwił się Darski.

– A to nie jest tak, że cykuta jest strasznie gorzka?

– Niby skąd mam to wiedzieć? Zapewniam cię, że nigdy jej nie próbowałem. Poczekaj... – Komisarz sięgnął po telefon. – Mam! „Do zatrucia cykutą w największej ilości przypadków dochodzi w wyniku pomyłki. Warto wiedzieć, że trucizna ta należy do roślin selerowatych, a jej korzeń ma słodki smak. Można go więc pomylić z korzeniem selera, pasternaku czy nawet dzikiej marchewki. Zapach bulwy cykuty kojarzy się z aromatem pietruszki. Warto też wiedzieć, że toksyny zawarte w cykucie mogą przeniknąć do organizmu przez drobne rany na skórze. Najlepiej więc nie zrywać tej rośliny gołymi rękami”.

– Ciekawe w takim razie, z czym ją pomyliłam – zastanowiła się Ilona przez moment. – Nieważne. Rozumiem z tego, że można było dosypać tego świństwa do wina i trudno było się połapać w smaku. Zwłaszcza kiedy zjadło się coś wcześniej.

– Na to wychodzi – potwierdził Darski. – Skoro już wiemy, kiedy dodano trucizny, zastanówmy się, kto miał taką sposobność.

– Na pewno Zofia Ziębek. Wychyłała tam jak diabeł z pudełka, nikt nie widział, żeby wcześniej się kręciła w pobliżu. Podejrzana. Następnie, co przyznaję z ciężkim sercem, cała rodzina Łuszczków.

– Dlaczego z ciężkim...? – zdziwił się komisarz.

– Bo to porządni ludzie – oceniła Ilona. – Znam ich, odkąd się tutaj sprowadzili z Poronina, kilka lat temu. Pani Longina robi zakupy

w sklepiku u mojej mamy.

– A ich syn? Też porządny?

– Wydaje mi się, że też. Nie ma na koncie żadnego wykroczenia.

– No, to akurat o niczym nie świadczy. – Darski mrugnął do niej porozumiewawczo. – Przypominam ci, że złamaliśmy wspólnie wiele przepisów, a kartoteki też mamy czyściusienkie.

– Myśmy coś złamali? – zdziwiła się ironicznie Ilona.

– No, jeśli uważasz, że przepisowe jest kochanie się o czwartej nad ranem w Łazienkach Królewskich, do których weszło się, przeskakując przez ogrodzenie, i to pod samym nosem borowika chroniącego Belweder, to faktycznie nie – odpowiedział Darski.

– Kochanie się? – Ilona popatrzyła na niego z politowaniem. – Co ty jesteś? Pensjonarka? Dobrze jeszcze, że nie powiedziałaś „uprawianie miłości w otulinie traw zielonych i drzewostanu, pamiętającego króla Stasia”. Pieprzyliśmy się tam, i tyle. A borowik to był kumpel z roku, więc przymknął oko, nie pamiętasz? Zresztą ze współczesnymi sopowcami byłoby jeszcze łatwiej, na pewno by spali.

– Niech ci będzie. – Darski zgodził się i z opisem własnych młodzieńczych ekscesów, i z oceną służb byłych oraz obecnych odpowiedzialnych za najważniejsze głowy w tym kraju. – Tak czy siak to, że młody Łuszczek nie był notowany, o niczym nie świadczy.

– W porządku, zostaje na liście podejrzanych – uległa mu niechętnie Knieć. – Choć nie widzę motywu, dla którego ktokolwiek z Łuszczków miałby ją zabić. Kogo mamy tam dalej? Karina Zalewska.

– Jest lekarką. – Darski pokiwał głową. – Zna się na truciznach.

– Motyw?

– Dominika Szustek była świadkiem awantury między nią a ofiarą – poinformował Darski. – Kłóciły się o niejakiego Sebastiana Rulicza.

– A ten to niby kto? – zdumiała się Ilona.

– Były partner Zalewskiej i obecny partner ofiary. – Darski poczuł, że brzmi to idiotycznie. – To znaczy były parter obecnej ofiary. Nie, też źle. Jak to powiedzieć?

– Partner ofiary, kiedy jeszcze żyła? – podsunęła Ilona. – Wiesz to od twoich znajomych, tak?

– Tak i nie. Miśce, to znaczy Szustek, udało się podsłuchać kłótnię, ale nie miała pojęcia, o kogo chodzi. Mój współpracownik w stolicy dowiedział się tego jednak bez problemu.

– Sprawdziłeś tych ludzi jeszcze przed zbrodnią?! – zdziwiła się Ilona. – Po co?!

– Nie wiem – przyznał szczerze Darski. – Miałem przeczucie, że coś się tu stanie. Nie pytaj mnie skąd... Sama wiesz...

Policjantka potaknęła. Doskonale wiedziała, że jej były chłopak wiele razy kierował się podszeptem swojego szóstego zmysłu i, co najdziwniejsze, z reguły dobrze na tym wychodził. W sekundę niczym w kalejdoskopie przypomniawszy jej się kilka scen, które razem przeżyli. Jak choćby ta, kiedy Darski, psując jej zabawę, uparł się, żeby nie wchodzili wraz z innymi na zamarznięte jezioro pojeździć na łyżwach. Była na niego wściekła, póki nie zobaczyła, jak po kilku minutach tafla się załamuje i lodowata woda pochłania kilka osób. Dwie z nich trafiły potem na długie tygodnie do szpitala. Albo kolejna scena: Darski nalegający, żeby nie lekceważyła informacji o chorobie swojej ukochanej babci. Wsiedli wtedy do auta o trzeciej w nocy i ruszyli do Kielc z taką prędkością, jakby jechali do pożaru. Ilona weszła do mieszkania babci, w którym znajdowali się już ratownicy medyczni, zdążyła ją ucałować i wymienić kilka słów, aby po chwili zorientować się, że dalszą konwersację jej przodkini będzie już prowadziła ze Świętym Piotrem u bram raj. I wreszcie najświeższa scena, tuż przed ich rozstania. Darski wyjmujący jej stanowczo z rąk ciastko z bitą śmietaną i wyrzucający je do kosza oraz jej gniewna i wielce niekulturalna reakcja na ten czyn. A na koniec wieczorne wiadomości telewizyjne, donoszące o zatruciu salmonellą kilkudziesięciu osób, które skorzystały z usług ciastkarni, w której kupiła ów rarytas. Taaaak, intuicji Darskiego, niezależnie od tego, z czego by się nie

brała i czego nie dotyczyła, nie należało nigdy lekceważyć. I mało kto wiedział o tym lepiej niż jego była dziewczyna.

– I czego się twoi ludzie jeszcze dowiedzieli? – zapytała z ciekawością.

– Rulicz jest biznesmanem. – Komisarz wykonał palcami w powietrzu gest naśladujący cudzysłów. – Ma firmę, która wiecznie wykazuje straty. Ale za to zawsze może liczyć na pomoc kobiet. Najpierw utrzymywała go żona. Potem Zalewska. Teraz też ma bogatą przyjaciółkę, jedną z najbardziej zamożnych kobiet w naszym kraju. A do tego miał na boku romans z naszą ofiarą.

– Podwójne życie?

– Na to wychodzi – przytaknął Darski. – Trochę sobie pomieszkiwał u jednej, trochę u drugiej. Uczciwie trzeba mu przyznać, że wychodzi na to, że to, co dostał od jednej, przekazywał drugiej, więc summa summarum wszystko zostawało u płci pięknej.

– Miło z jego strony – mruknęła Knieć.

– Ale i wniosek z tego, że z jedną był dlatego, że przynosiło mu to profity, a z drugą, bo chyba faktycznie coś do niej czuł. Zdaniem Miśki... Znaczy się Dominiki...

– Możesz mówić Miśka – zgodziła się łaskawie Ilona – i Mario. Już się przyzwyczaiłam...

– Więc zdaniem Miśki Rulicz ma osobowość narcyza. O ile coś ci to mówi...

– Większości kobiet to coś mówi – westchnęła Ilona. – Moja najlepsza przyjaciółka właśnie leczy się z takiego...

– Jeśli więc nasz pan biznesmen jest narcyzem, to też miał motyw i jego szczęście, że go tu nie było, gdyż inaczej stałby na czele listy podejrzanych, bo podobno oni bardzo nie lubią, kiedy ktoś, kogo upatrzyli sobie na swoją ofiarę, wywija im się z rąk. A Agnieszka zauroczyła się kilka tygodni temu w Marku Muszyńskim. Z wzajemnością!

– Czyli jego możemy wykreślić z listy podejrzanych?

– Nie tak szybko! Kiedy tylko przyjechali tutaj, na dzień dobry się pokłócili. Marek chciał, żeby się nie kryli przed jego przyjaciółmi, z kolei Agnieszka sprawiała wrażenie, jakby powoli wycofywała się z ich relacji.

– Szybko jej odparowało...

– Dwadzieścia lat. – Darski wzruszył ramionami. – W tym wieku półroczna relacja wydaje się już tak długa, jakby trwała całe życie...

– Nie tylko w tym wieku – zauważyła Ilona ze złośliwym błyskiem w oku.

– Ej! – obruszył się Darski. – Nasza trwała prawie półtora roku!

– Bo nie miałeś dwadziestu lat – przypomniała Ilona. – Tylko dwadzieścia sześć. Choć zważywszy na powód naszego rozstania i styl, w jaki ze mną zerwałeś, to nie dałabym ci więcej niż trzynaście...

– Tak czy siak – komisarz wolał nie wchodzić na grząski grunt rozważań o swoim ówczesnym stanie umysłowym, tym bardziej że w pełni podzielał ocenę swojej byłej dziewczyny – Muszyński nie był zadowolony i oskarżył o spowodowanie problemów w swojej relacji Kędziaka. Pewnego popołudnia panowie się nawet pobili pod pensjonatem.

– I ty mi mówisz, że to porządni ludzie? – zapytała z politowaniem Ilona.

– Że co?! – zdziwił się komisarz. – Ja tak twierdzę tylko o Miśce i Mario. O reszcie broń Boże!

– W porządku. Czyli odstawiony od piersi, i to dosłownie, Muszyński zostaje na liście podejrzanych. A Kędziak?

– Na prośbę Staszeczka przywiózł jego córkę z Warszawy do Zakopanego... – przypomniał Darski.

– I tak go to zde gustowało, że następnie ją zabił? – zapytała z wyraźnym sarkazmem Ilona. – To co ona mu niby takiego po drodze robiła? Śpiewała piosenki Zenka?

– Masz zwyrodniałe poczucie humoru! – oburzył się Darski.

– Powiedz mi coś, czego jeszcze nie wiem – zaproponowała ironicznie policjantka. – Chciałam przez to powiedzieć, że skoro poznali się dopiero przy tej okazji, to nie wiem, co mogło się takiego wydarzyć, żeby miał ją po kilku dniach otruć.

– To artykułuj to jakoś mniej frywolnie – poprosił komisarz.

– Postaram się. Zastanawiający był też dla mnie fakt, skąd morderca wytrzasnął cykuteę, ale Piotruś wytłumaczył mi, że w darknecie możesz kupić wszystko. Dowolnie szybko. I co gorsza, nigdy nikt nie dowie się, kim jesteś.

– To prawda – przytaknął Darski. – Ledwo co udaje się jako tako kontrolować zwykły net. A i to też mam wrażenie, że jest tylko błogą iluzją moich szefów. Na darknecie łamią sobie zęby wszyscy. Oczywiście, istnieje też możliwość, że morderca przyjechał od razu z trucizną. Ale to uniewinniałoby Muszyńskiego, bo on był pewny, że spędzi te sielankowe chwile ze swoją nową miłością, i dopiero na miejscu dowiedział się, że ta się zbiesiła.

– To samo założenie uniewinnia też Zalewską – zastanowiła się Ilona – bo ona chyba nie wiedziała, że jej były... Narcyz...

– Rulicz – podpowiedział Darski.

– I tak już mi się będzie kojarzył tylko z narcyzem. – Knieć machnęła ręką. – Więc chyba nie wiedziała, że będzie zmuszona spędzać czas z jego nową podrywką?

– Chyba nie... – przyznał Darski – To co? Mamy zamkniętą listę podejrzanych?

– Niezupełnie – skorygowała Ilona. – Zostają jeszcze ci twoi.

– Jacy moi?

– Miśka i Mario.

– Nie żartuj! – rzekł Darski stanowczo. – Znam ich oboje od siedmiu lat. Mario lepiej, Miśkę trochę słabiej, ale niejedno razem przeżyliśmy. Ba! Byliśmy nawet zamieszani w kilka spraw kryminalnych. I to słynnych na całą Polskę.

Ilona popatrzyła na niego pytająco.

– Morderstwo w reality show „Dom tajemnic”? – przypomniał jej komisarz.

– To byli oni?!

– W rzeczy samej!

– I ręczysz za nich głową?

– Absolutnie. Muchy by nie skrzywdzili!

– W takim razie zajrzyjmy na listę potencjalnych morderców. Ilu ich mamy? Trójka Łuszczków, Zalewska, Muszyński, Kędziak, Ziębek i Siennicki... Ośmioro.

– Neeeeeee... – Darski pokręcił głową. – Dziewięcioro?

– A kto jeszcze? – zdziwiła się Ilona.

– Pani modelka?

Knieć uderzyła się dłonią w czoło.

– Chyba coś mi zaszkodziło – zawyrokowała stanowczo. – Grunt to stworzyć listę podejrzanych bez pozycji numer jeden! Jesteś pewny tego, co mi o niej powiedziałaś?

– Tak! Obawiam się, że nie czyni to z niej jednak wcale głównej podejrzanej. Ale o tym przekonamy się, kiedy ją przesłuchamy.

– Czyli uważasz, że to nie ona jest Lukrecją Borgią? – Ilona popatrzyła na niego uważnie. – A kto w takim razie nią jest? Co podpowiada ci twoja intuicja?

Darski miał zakłopotaną minę.

– Ha! – wykrzyknęła Knieć triumfująco. – Czyli jednak masz swój typ!

– Owszem, mam – przyznał niechętnie komisarz. – Tylko nijak nie wiem, dlaczego wydaje mi się, że to jest właśnie ta osoba. Bo powiem ci szczerze, że na razie nie ma to dla mnie żadnego sensu...

* * *

– Jak to Olga nie jest Olgą? – Miśka wytrzeszczyła oczy na swojego przyjaciela tak, jakby ów oświadczył, że zamierza ożenić się z Beatą

Kozidrak i zamieszkać wraz z nią w domku na balach na Bali. – Czy tobie aby ten krem z hialuronem na czoło nie zaczął już przeżerać mózgu? Mówiłam ci tyle razy, żebyś nakładał cieńszą warstwę!

– Sama jesteś hialuron – zdenerwował się Mario. – Mówię ci, że to nie jest ona, i już.

– A niby kto? – zapytała Miśka z powątpiewaniem. – Wiem, że ostatnio zachowywała się dziwnie i trochę nas unikała, ale to nie świadczy jeszcze o tym, że podmienili ją kosmici.

– Nie kosmici, tylko sama się podmieniła – stwierdził Mario. – I Darski w tej kwestii się ze mną zgadza. To znaczy, mówiąc szczerze, to on mi zwrócił na to uwagę...

– Na co?!

– Jak mówiłaś o wyborach miss naszego liceum i o wygranej Olgi, to zacząłem to wspominać – opowiedział Mario – i wtedy przypomniało mi się, że ona miała charakterystyczny tik. Kiedy była zawstydzona albo zdenerwowana, to robiła taki niepowtarzalny ruch brodą, jakby chciała spojrzeć w prawo, a potem odrzucała grzywkę na bok. Pamiętasz?

Miśka pokręciła głową.

– A to podobno ja jestem egocentrykiem i nie zwracam uwagi na nikogo poza sobą samym – westchnął Mario. – Poczekaj, jak ci pokażę, to sobie skojarzysz i przypomnisz.

Kilka razy poruszył głową, po czym spojrzał na przyjaciółkę pytająco.

– Tak, już wiem. – Miśka zmarszczyła czoło. – Ale przecież ona dalej to robi. Nic się nie zmieniło. Więc skąd twój wniosek?

– Był taki kryminał Agathy Christie, w którym jedna z bohaterek chciała zastąpić na zjeździe rodzinnym przyjaciółkę, którą uprzednio zabiła. I uczyła się wykonywać jej charakterystyczne tiki w lustrze. Tyle że zapomniała, że to jest odbicie i że to, co ona widziała jako prawą stronę, w lustrze będzie lewą. To ją zgubiło. Mam wrażenie, że nasza „Olga” nie przeczytała tego kryminału, bo popełniła ten sam

dziecinny błąd. Pamiętasz, że prawdziwa Olga zawsze nosiła grzywkę i czesała ją tak, żeby przedziałek był po prawej stronie głowy? To była jej cecha charakterystyczna, idąca w parze z tikiem. A teraz powiedz mi, skarbie, gdzie ma grzywkę, w którą stronę ją odrzuca i jaki robi ruch brodą osoba, która tu z nami przebywa?

Miśka przymknęła oczy i postarała się wysilić pamięć.

– Masz rację! – krzyknęła po chwili. – Wszystko robi odwrotnie, niż powinna!

– Ha! – Mario triumfalnie klasnął w dłonie.

– Ale... – Miśka trochę zmarkotniała. – Co to znaczy? Skoro to nie jest Olga, to kto to jest...?

– A ty masz rozum? Czy go gdzieś zawieruszyłaś? – zapytał Mario z niesmakiem. – To jest akurat oczywiste! Jej starsza siostra.

– Olga miała siostrę? – zdumiała się Miśka, po czym poszperawszy chwilę w pamięci, dodała z lekkim zdziwieniem: – Faktycznie, jak u niej bywaliśmy, to kręciła się tam jakaś smętna mazepa... Nie wiem, czy w życiu zamieniłam z nią dwa słowa.

– Ja też – potaknął Mario. – W ogóle się nie integrowała. I chyba jej to zostało, biorąc pod uwagę, jak się zachowuje, odkąd tu przyjechała.

– Poczekaj... – Szustek starała się opanować chaos, jaki miała w głowie. – Uważasz, że to Olga przedawkowała, czy tam fatalnie pomieszała narkotyki z wódką, zmarła, a wtedy jej siostra przywłaszczyła sobie jej tożsamość? Po co?

– Jeśli nie wiadomo, o co chodzi, to z reguły chodzi o pieniądze – zawyrokował Mario. – Pamiętasz, jaką karierę zaczęła robić Olga już pod koniec liceum? Poszła na studia rok później, bo miała kontrakty w Paryżu, Mediolanie... Jeśli siostra była do niej podobna... To... Pieniądze i sława zawsze kuszą.

– Ale przecież to się musiało kiedyś wydać!

– Jak widać nie... Nawet my się daliśmy nabrać! Widzieliśmy się z nią przecież na pokazie Zosi Gałczyńskiej.

– Wielkie tam zaraz widzenie – zdenerwowała się Miśka. – Pięć sekund w przelocie między garderobą a wybiegiem. Gorzej tylko, że nie widzę żadnego związku między tym, że Olga nie jest Olgą, a morderstwem Agnieszki.

– To znaczy? – zdziwił się Mario.

– Nawet jeśli mamy rację i Olga... To znaczy jej siostra... Jeśli ta kobieta ukradła jej tożsamość, to nie znaczy jeszcze, że popełniła też i to morderstwo. Niby dlaczego miałyby to robić?

– Owszem, masz rację – zgodził się Mario – ale już sam fakt, że podaje się za kogoś innego, świadczy o tym, że ma nieczyste sumienie. Jak raz popełnisz jakieś przestępstwo, to potem już leci z górki...

– Co ty za brednie opowiadasz? – Miśka popukała się w czoło. – Notorycznie kręcimy przy zeznaniach podatkowych, a jakoś żadne z nas nikogo jeszcze nie zamordowało. To znaczy taką mam nadzieję...

– To nie to samo! – oburzył się Kosek. – Na podatkach, ZUS-ach, śmusach i NFZ-ach kantują prawie wszyscy, bo jak nie zakombinujesz, to będziesz tynk gryzła, a nie zarabiała. Ja mówię o poważnym przestępstwie. Poza tym nie wiem, czy po powrocie do firmy jednak kogoś nie zabiję...

– Iwkę? – upewniła się Miśka. – Boszzzzzzz, co ona znów narozrabiała?

– Pamiętasz, że Kasia Pocięjak zażyczyła sobie po swoim pokazie recitalu Malwiny Paczkowskiej? I że musi ona koniecznie zaśpiewać jej ulubiony hit „Ukochana guślarza” – przypomniał Mario. – No i Malwina przyszła omówić szczegóły. Była umówiona z nami za tydzień, ale pomyliły jej się środy. I trafiła na Iwkę, która na dzień dobry zapytała ją, czy przyszła naprawić kaloryfer. Jak Malwina się jej przedstawiła, to nasza kochana asystentka stwierdziła, że nic jej to nie mówi. Więc Paczkowska grzecznie poinformowała ją, że jest piosenkarką. Na co Iwka poprosiła ją, żeby w takim razie coś zaśpiewała. A kiedy Malwina spełniła jej życzenie, to ta kretyńska

oznajmiła, że prawie ogłuchła i że Paczkowska powinna być szczęśliwa, że po każdym występie nie musi ludziom płacić odszkodowań, bo przecież tego nie da się słuchać. A na koniec jeszcze kazała jej coś zjeść, bo jak stwierdziła, wygląda na niedożywioną. Malwina, gdy już doszła do siebie, zadzwoniła do Pocięjak i teraz obie są na nas obrażone.

– Słuchaj, dlaczego my jej nie zwolnimy... – Miśka zadała to pytanie chyba po raz tysięczny od chwili, kiedy w jakiejś pomroczości jasnej zgodzili się przyjąć Iwkę do pracy.

– Bo każdy w życiu musi dźwigać jakiś krzyż – odpowiedział stanowczo Mario – a poza tym wyobraź sobie, jak nudne byłoby nasze życie bez niej. Wszystko profesjonalne, dopięte na ostatni guzik, pozbawione elementów komedii slapstickowej i thrillera. Nuda, pani, nuda!

– No dobrze. – Miśka w duchu równocześnie ucieszyła się, że do ich powrotu do firmy zostało jeszcze kilka dni, i zaniepokoiła, co jeszcze przez ten czas nabroi ich upiorna asystentka. – Pora zrobić burzę mózgów i przemyśleć, czy uciekamy stąd, czy zostajemy...

– Czemu mielibyśmy uciekać? – zdziwił się szczerze Mario.

– Bo wydarzyło się tu morderstwo? Nie wiem, jak ty, ale ja nie czuję się z tym jakoś specjalnie komfortowo i szczerze mówiąc, najchętniej spakowałabym manatki i wróciła do Warszawy.

– Chyba na razie nie możemy... – rzekł niepewnie Mario. – Jesteśmy świadkami zbrodni, kto wie, czy nawet nie podejrzanymi o jej dokonanie, i nie złożyliśmy jeszcze nawet oficjalnych zeznań.

– To może chociaż przenieśmy się z tego odludzia do centrum?

– Teraz? W sylwestra? Kiedy zjechała tu cała Polska? – Mario popatrzył na nią z politowaniem. – Proszę bardzo, powodzenia w poszukiwaniach kwatery.

– To oświadczam ci uroczyście, że będę spała z nożem pod poduszką! – zapowiedziała stanowczo Miśka.

– I w środku nocy utniesz sobie ucho. Świetny pomysł!

– No to z tłuczkiem do ziemniaków... – Miśka wstała z łóżka.
– Idziesz go poszukać? – zaciekał się Mario.
– Nie, idę zaparzyć sobie herbaty. Reflektujesz?
– Jak najbardziej. Na kawę. Czarną. Dwie łyżki cukru...
– Naprawdę uważasz, że po tylu latach musisz to jeszcze dodawać? – westchnęła Miśka, po czym wyszła z pokoju i powoli zeszła ze schodów, postanawiając natychmiast zawrócić, jeśli zobaczy gdzieś tam na dole fałszywą Olgę. Pensjonat sprawiał jednak wrażenie opustoszałego.

Szustek weszła do kuchni. Najpierw uruchomiła ekspres do kawy. Następnie nalała wody do czajnika, mętnie myśląc, że właściwie mogła użyć do przygotowania herbaty kraniku w ekspresie, i zastanawiając się, dlaczego nigdy tego wcześniej nie robiła. Po chwili doszła do wniosku, że kranik kojarzy jej się z płukaniem tego urządzenia i choćby nie wiem, jak się starała, nie pozbędzie się myśli, że leci z niego brudna woda. Postawiła kubek na tacce ekspresu i przycisnęła ikonkę z napisem „espresso”. Ekspres wydał z siebie jakieś zgrzyty, oznaczające mielenie kawy. Miśka sięgnęła do zawieszanej nad nim szafki, aby wyciągnąć z niej kolejne naczynie, tym razem na herbatę, i dokładnie, kiedy wyciągnęła po nie rękę, w odbiciu metalicznej obudowy ekspresu, na którą zerknęła, aby sprawdzić postęp w przygotowaniu napoju dla Mario, zobaczyła za sobą wielką czarną postać. Nie krzyknęła tylko dlatego, że ze strachu zabrakło jej głosu. Z niepojętą, nawet dla samej siebie, zręcznością, wykonała skok w lewą stronę, w ostatnim momencie unikając ciosu. Trzymany przez jej wroga w ręku nóż ze zgrzytem przejechał po szafce kuchennej, a następnie wylądował na podłodze. Bandzior pochylił się, co dało Miśce sekundę na rozstrzygnięcie dylematu, co powinna zrobić. Założywszy w panice, że morderca, bo też nie mógłby to być nikt inny, uniemożliwi jej powrót do Mario, zdecydowała się na ucieczkę drugim wyjściem z kuchni, które prowadziło do spiżarni. O ile dobrze pamiętała, tę dawało się zamknąć od środka. Ruszyła

w tamtym kierunku. Bandzior rzucił się za nią, ale na szczęście Miśka miała nad nim przewagę kilku ułamków sekundy, które zajęło mu podniesienie noża z podłogi. Dopadła do drzwi spiżarni, otworzyła je, wbiegła do środka i zasunęła żelazną sztabę. Dokładnie w tej chwili, kiedy wsunęła ją w prowadnicę, ktoś po drugiej stronie natarł na drzwi. Raz, potem drugi... Miśka z niepokojem patrzyła, czy prowadnica nie wyleci z okuć, ale na szczęście na góralską solidność w budowie domostw można było liczyć niczym na egipskiego Imhotepa. Bandzior spróbował sforsować drzwi jeszcze trzeci raz, po czym dał sobie spokój. Miśka odetchnęła, ale po chwili znów poczuła, że serce zaczyna jej walić niczym dzwon Zygmunt. Mario! Zostawiła go na pastwę psychopatycznego zabójcy! Jeśli coś mu się stanie, przecież ona nie daruje sobie tego do końca świata!

Miśka rozejrzała się dokoła w poszukiwaniu jakiejś broni, dochodząc szybko do wniosku, że wszystko, co ją otaczało, było kompletnie do bani. Nie będzie przecież rzucała w mordercę słoikami z ogórkami! Tym bardziej że znając swoją celność, w ogóle by w niego nie trafiła. Podobnie z mąką i cukrem. Nie ma siły, żeby zrobić komuś nimi jakąś szybką krzywdę. Suszone grzyby dawały większe pole do popisu, zwłaszcza że wisiały na jakiejś żyłce. Miśka przez chwilę podumała, czy dałaby radę zarzucić ową żyłkę bandziorowi na szyję, ale przypomniało jej się, że ów był od niej potężniejszy, a przede wszystkim wyższy. Musiałaby go poprosić, żeby sam sobie tę żyłkę przerzucił przez głowę. Też do luzu. W chwili, kiedy czuła znów, że z paniki zaczyna jej się robić słabo, a oczyma wyobraźni widziała zwłoki Mario, rozdziabdzone po całym pokoju na trzecim piętrze, nagle w oko wpadło jej coś, co ewentualnie mogłoby się sprawdzić w charakterze broni. Maselnica!

Nie namyślając się wcale, dopadła do drewnianego przyrządu, po czym z determinacją wyrwała z niego część służącą do ubijania śmietanki. Obramowana żelaznym okuciem, doskonale nadawała się do walnięcia kogoś w łeb. Czując, jak panika przechodzi w furję,

budząc w niej przy okazji ducha wielkich polskich wojowniczek, na czele z królową Jadwigą i Emilią Plater, Szustek podeszła do drzwi, po czym przesunęła sztabę do góry, uchyliła delikatnie skrzydło i ujawszy mocniej ubijak, wyjrzała na zewnątrz. „My, Słowianki, wiemy, jak użyć mowy ciała / Wiemy, jak poruszać tym, co mama w genach dała / To jest ta słowiańska krew / To jest ta uroda i wdzięk!”, zabrzmiał jej idiotycznie w głowie tekst piosenki Cleo, przy której ubijano masło na Eurowizji. Pełna niesmaku dla tego skojarzenia, Miśka otworzyła drzwi szerzej, a następnie stanęła w nich jak wryta, widząc na podłodze cień. Gdzieś tam w duszy zamigotała jej nieśmiała nadzieja, że skoro morderca stoi w kuchni, to może jeszcze nie zdążył przerobić jej przyjaciela na materiał dla Zakładu Pogrzebowego A.S. Bytom.

Cień poruszył się niemrawo. Miśka poczuła przypływ straceńczej odwagi. Uniosła nieco ubijak i wciąż nie mogąc się pozbyć z głowy upiornego songu o kręcących czterema literami Słowiankach w takt rozpoczynającego go zaśpiewu: „Iiiiiiiijuuuuuuu!!! Pa, pa, pa!”, wzięła rozmach i wparowała do kuchni...

* * *

Siedząca przed Darskim kobieta nie próbowała się usprawiedliwiać ani choćby odrobinę naginać faktów.

– Moja siostra właśnie podpisała kontrakt z dużą agencją modelek z Mediolanu – rzekła, kiedy komisarz zadał jej jedno krótkie pytanie, brzmiące: „Dlaczego?”. – To były niebotyczne pieniądze oraz gwarancja udziału w pokazach mody, sesjach dla magazynów, posad hostessy na ekskluzywnych imprezach. Nie umiała tego nawet docenić. Wszystko w życiu przychodziło jej zbyt łatwo. Tamtego wieczoru, kiedy zadzwonili jej spanikowani przyjaciele – wymawiając to ostatnie słowo, zrobiła w powietrzu znak cudzysłowu –

z wiadomością, że dzieje się z nią coś złego, miałam już w głowie ten plan.

– Zastąpienia jej? – doprecyzował Darski.

– Tak. – Kobieta pokiwała głową. – Zamierzałam jej zaproponować taką podmianę. Tym bardziej że ona wcale nie chciała robić kariery w modelingu. Zaczęła ją przez przypadek, bo jakiś łowca ładnych twarzy wypatrzył ją na ulicy i wręczył jej wizytówkę agencji. Poszła i od razu dostała propozycję fotosesji dla jakiegoś magazynu o modzie. Wiele razy powtarzała, że to nudne zajęcie, wymaga wiecznej dyscypliny, samoograniczenia. A ona chciała używać życia do woli! Pić, jeść, spać z każdym, kto jej się spodoba. Myślę, że zaakceptowałyby moją ofertę. Chciałam jej zaproponować, żebyśmy się zamieniły, a ja będę jej oddawać połowę z tego, co zarobię. Ona będzie miała wygodne życie, a ja karierę.

– A czemu nie spróbowała pani swoich sił samodzielnie?

– Bo ten łut szczęścia, który miała moja siostra, mnie jakoś omijał. Zrobiłam sobie sesję, stworzyłam portfolio, rozesłałam je po agencjach, ale pies z kulawą nogą się mną nie zainteresował. Postanowiłam więc inaczej do tego podejść. W końcu byłyśmy do siebie podobne jak dwie krople wody i to mimo że nie urodziłyśmy się jako bliźniaczki. Ona była dwa lata młodsza. Miałyśmy ten sam wzrost, podobną wagę, kolor oczu i włosów. Nie wiem, czemu ją uznano za objawienie, a mnie zignorowano. Słuchając jej wiecznych narzekań, pomyślałam, że ta zamiana ról wyjdzie nam obu na dobre. Pamiętam, jak przyjechałam na miejsce, pod jakiś szemrany klub. Olgę przeniesiono w boczną, ciemną uliczkę i oparto o ścianę. Już nie żyła. Patrzyłam na nią i wcale nie było mi jej żal. Czułam wściekłość. Widziałam, jak moje marzenia zaczynają wyparowywać. Wybiegi pokazów w światowych stolicach mody, sesje zdjęciowe z najlepszymi fotografami świata, wywiady dla magazynów fashion... I wtedy zaświtało mi w głowie, że wcale nie muszę z tego rezygnować. Zamieniłam nasze dowody osobiste i kiedy przyjechało pogotowie,

a potem policja, zeznałam, że to moja starsza siostra. Potem namówiłam mamę, żeby to potwierdziła. To była nasza tajemnica. Aż do teraz...

– Dlaczego pani tu przyjechała? – zapytał Darski. – Nie wydawało się to pani zbyt niebezpieczne?

– Szczerze mówiąc, nie wiem. – Kobieta po raz pierwszy okazała odrobinę zmieszania. – Pomyślałam, że jeśli odmówię, może się to wydać podejrzanym. Ta paczka zawsze trzymała się razem, a ich wyjazdy to swego czasu był jakiś cholerny rytuał. Wiedziałam, że nie widzieli się od kilku lat, a poza tym miałam pamiętnik siostry. Spisywała tam wszystko, każdą pierdołę, więc sporo wiedziałam o tych ludziach. Może nie wszystko, ale dostatecznie dużo, aby czuć się tutaj bezpiecznie. Jak widać, pewność siebie kroczy przed upadkiem.

– Mówi pani o Marii Koniecznej?

– Taaaaak... – westchnęła kobieta. – Moja siostra nie zająknęła się o niej ani słowem w swoim pamiętniku.

– Nie dziwię się, zważywszy na relację, jaka połączyła obie panie...
– mruknął komisarz.

– Co ma pan na myśli? – Kobieta zmierzyła go uważnym wzrokiem.

– Pani Konieczna zeznała, że nie tylko współpracowała z pani siostrą, ale też, że miały ze sobą krótki romans...

– Serio?! – Lubiecka wydawała się zszokowana. – Zawsze wydawało mi się, że Olga woli facetów. Ale... Narkotyki, alkohol... Możliwe, że coś się jej poprzestawiało w głowie...

– Pani...? – Darski spojrzał na nią pytająco.

– Anna – przedstawiła się. – Anna Lubiecka.

– Pani Anno, o pani dalszych losach zdecyduje prokurator – powiadomił ją komisarz. – Ja natomiast chciałbym zapytać o ten feralny wieczór i towarzyszące mu okoliczności.

– Proszę bardzo – zgodziła się z rezygnacją w głosie modelka. – Niech pan pyta...

- Rozumiem, że nie znała pani wcześniej Agnieszki Staszeczek?
- Dobrze pan rozumie – potaknęła Anna. – Zobaczyłam ją po raz pierwszy w życiu w pensjonacie.
- Jakie zrobiła na pani wrażenie?
- Szczerze mówiąc, żadne – stwierdziła obojętnie Anna – ale zdaje się, że nie starała się robić wrażenia akurat na mnie czy na moich koleżankach... – Zawiesiła znacząco głos.
- Na czym opiera pani swoje przekonanie w tym zakresie?
- Na swoich uszach i oczach. – Na twarzy Anny po raz pierwszy pojawił się cień uśmiechu. – Jeśli jednego dnia widzę, jak kłóci się z jednym z moich rzekomych przyjaciół, następnego dnia spotykam ją w Zakopanem w towarzystwie jakiegoś chłopaka, z którym wydaje się być w mocno zażyłych kontaktach, bo nawet całuje go na pożegnanie, potem zauważam ją z kolejnym przystojniakiem, a na koniec dwóch moich znajomych bije się o nią przed pensjonatem, to chyba nie trzeba być psychologiem, żeby wywnioskować, że to nie kobiety są... Przepraszam, były przedmiotem jej zainteresowania...
- To ciekawe, że tak dokładnie śledziła pani jej poczynania – mruknął Darski, nie spuszczając jej z oka i zauważając, że Anna odrobinę się zmieszała.
- Trafiałyśmy na siebie – przyznała niechętnie – ale zapewniam, że tylko dzięki zbiegom okoliczności...
- Jasne. – Darski wypowiedział to słowo w taki sposób, aby wiadomo było, że nie za bardzo jej wierzy. – A co do przebiegu tamtego tragicznego wieczoru... Zauważyła pani coś, co mogłoby pomóc w ustaleniu, kto jest mordercą?
- Trudno mi ciągle uwierzyć w to, co się stało – Anna westchnęła – i że ktoś ją otruł. To takie... niedzisiejsze, prawda?
- Co ma pani na myśli?
- To, że trucizna nie kojarzy się ze współczesnością, tylko z czasami Lukrecji Borgii albo jeszcze dawniejszymi, kiedy Liwia wytruła połowę rodziny swojego męża, cesarza Augusta – odpowiedziała Anna,

po czym widząc zdziwiony wzrok komisarza, wyjaśniła z ironicznym uśmiechem: – „Ja, Klaudiusz” to jedna z moich ulubionych powieści. A serial o „Borgiach” obejrzałam już chyba z dziesięć razy...

– Faktycznie, był całkiem niezły – przyznał Darski. – Czyli nie zauważyła pani niczego nadzwyczajnego tego wieczoru...

– Tego nie powiedziałam – stwierdziła Anna, znów się lekko uśmiechając, choć tym razem nie było w tym ironii. – Otóż kiedy braliśmy szklance z grzańcem, ta dziewczyna zrobiła to jako ostatnia. Na tacy została już tylko jedna szklanka i zanim chłopak, który serwował te trunki, podszedł do niej, zrobił coś, co wyglądało tak, jakby tego grzańca zamieszał. Teraz mam wrażenie, że po prostu coś tam dosypał. Ale, rzecz jasna, mogłam to sobie dopowiedzieć po fakcie.

– Dlaczego nie powiedziała pani tego od razu? Wtedy, na miejscu...

– Darski zmarszczył brwi.

– Wszyscy byliśmy oszołomieni. I, przyznam szczerze, początkowo nie zwróciłam na to jakiejś szczególnej uwagi – przyznała Anna. – Dopiero później, kiedy już było wiadomo, że ktoś tę dziewczynę otruł, przypomniała mi się ta scena. Zgłosiłabym się do was i o niej opowiedziała, ale i tak mnie wezwaliście...

– To chyba wszystko. Za moment kolega da pani protokół do podpisania. – Darski zaczął przekładać papiery na biurku, po czym, zerkając na Lubiecką, zapytał jakby od niechcienia: – Aaaa, jeszcze jedno. Czy mówi pani coś imię i nazwisko Lucyna Gil.

– Nie – odpowiedziała szybko. – A kto to taki?

– Dziewczyna, która zginęła tu w wypadku samochodowym pięć lat temu...

– Nie, naprawdę nic mi to nie mówi...

Gdyby nie fakt, że Darski tak naprawdę bacznie śledził jej reakcję, niewątpliwie tym razem uwierzyłby w jej słowa. Jednak ułamek sekundy, w czasie którego na twarzy Lubieckiej odmalowała się

niepewność i zaskoczenie, pozwolił mu zrozumieć, że modelka kłamie. Pytanie tylko, z jakiego powodu?

* * *

Karina z zaskoczeniem patrzyła na człowieka, który wyciągnął do niej rękę, a następnie pomógł jej podnieść się z chodnika.

– Co ty tu robisz? – zapytała, zastanawiając się, czy aby od upadku nie doznała kontuzji i nie ma teraz omamów. Z drugiej strony nie uderzyła przecież w nic głową.

– Spędzam ostatni dzień roku w zimowej stolicy Polski – usłyszała w odpowiedzi. – A przy okazji staję się niezamierzenie ofiarą twojego braku koordynacji ruchowej. Badałaś ostatnio błędnik?

– To nie brak koordynacji, tylko wyrastasz przede mną znienacka jak... jak... – Nie przyszło jej do głowy żadne porównanie.

– Brunet wieczorową porą? – podpowiedział jej towarzysz.

– Prędzej diabeł z pudełka – mruknęła. – Od kiedy tu jesteś...

– Od paru dni.

– I nawet nie przyszedłeś się przywitać?

– Z tobą?

– Nie, ze swoją nową, wielką i tym razem wyjątkowo dozgonną miłością... – Zalewska nie umiała odmówić sobie złośliwości, jednocześnie zastanawiając się, czy stojący przy niej człowiek zdaje sobie sprawę, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru.

– Po co? – Sebastian Rulicz wzruszył ramionami, a na jego twarzy pojawił się przez moment grymas niezadowolenia. – Z tego, co zdążyłem się zorientować, ona się tu bawi znakomicie beze mnie. To znaczy bawiła...

– Aaaaa, czyli już wiesz... – zastanowiła się przez chwilę. – Ale właściwie jakim cudem?

– Bo byłem tam, na miejscu...

– Słucham?!

– Przyjechałem tu za nią – przyznał bez cienia zmieszania Sebastian. – Chciałem się przekonać, co, a przede wszystkim z kim, będzie tu robiła. Wiedziałem, że nie jest monogamistką, bo nie była nią, kiedy się poznaliśmy, ale nie przypuszczałem, że ma aż tylu facetów na boku. Jak wiesz, nie uznaję konkurencji. Albo jesteś ze mną, albo z innymi. Dlatego ją skreśliłem.

– Skreśliłeś...? – Karina nagle przypomniała sobie, co wydarzyło się, zanim wpadła na swojego byłego, i niespokojnie rzuciła okiem na ulicę w poszukiwaniu zakapturzonej, prześladowanej ją postaci. Ulica jednak była pusta. – Co to znaczy?

– To znaczy, że postanowiłem więcej się z nią nie spotykać – wytłumaczył Rulicz. – A co? Pomyślałaś, że ją zabiłem?

– Być może – mruknęła Karina.

– Naprawdę? – Sebastian wyglądał na rozbawionego. – Poznałaś mnie chyba na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że nie mam żadnych psychopatycznych skłonności...

– Poznałam cię na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że je masz – skorygowała stanowczo Zalewska. – Ale faktycznie na mordercę się nie nadajesz.

– Dziękuję...

– Bo do tego trzeba mieć jaja, których ci brakuje...

Sebastian zmarszczył brwi.

– Za to ty masz ich aż za dużo. – Zmierzył ją chłodniejszym już nieco spojrzeniem. – Nieprawdaz?

– Co masz na myśli?

– To, że dopiero wczoraj przekonałem się, jak bardzo wciąż mnie kochasz – rzekł powoli. – Wiedz, że umiem to docenić...

– Co ty znowu bredzisz? – zdumiała się Karina.

– Tylko zakochana do szaleństwa osoba potrafiłaby się posunąć do morderstwa...

Zalewska popatrzyła, czy aby jej były nie żartuje, ale Rulicz miał kamiennie poważny wyraz twarzy.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi...

– Myślę, że doskonale rozumiesz – wycedził powoli. – I możesz być spokojna. Nie zamierzam nikomu o tym powiedzieć. To, co się stało tej nocy, pozostanie tylko naszą tajemnicą.

* * *

Miśka wbiegła do kuchni i z okrzykiem Słowianek: „Iiiiiiiuuuuuuu!!! Pa, pa, pa!” zamachnęła się na stojącego tyłem do niej przy stole prześladowającego ją bandziora. Pchnięty okutym drągiem przeciwnik zatoczył się na stół, a następnie upadł na podłogę obok niego.

– Ja rozumiem, że można nie lubić Hutniak – dobiegło do uszu Szustek – ale żeby zaraz próbować ją usunąć z tego świata, to jednak niezły hardcore.

Patrząca w ślad za powalonym, i to dosłownie, na deski wrogiem Miśka podniosła wzrok i zobaczyła stojącego w drzwiach kuchni rozbawionego Mario.

– Jaką Hutniak? – zapytała z niebotycznym zdumieniem.

– A, to nawet nie wiesz, kogo walisz? – zdziwił się Mario. – To jakieś twoje nowe hobby? Mam się też zacząć bać, że oberwę tym... Co to właściwie jest?

– Uklepywaczka do masła – odpowiedziała Miśka. – I nie rozumiem, co do mnie mówisz. Jaka znowu Hutniak? To facet, który mnie prześladował i chciał przebić kozikiem!

– Aha, czyli do tego wszystkiego masz jeszcze halucynacje...

– Jak to?

– Nie wiem, kto i co chciał ci zrobić w twojej wyobraźni – poinformował ją Mario – ale przyjmij do wiadomości, że właśnie na moich oczach załatwiłaś tym drągiem Klaudię Hutniak. Mam tylko szczerą nadzieję, że nie na amen.

Jęk, dochodzący z poziomu podłogi, dał im do zrozumienia, że artystka przeżyła.

– Boże Świąty! – jęknęła Miśka, wypuszczając z ręki maselnicę i dopadając piosenkarki. – Wszystko w porządku? Nic ci nie jest?! Przepraszam, myślałam, że to morderca...

Klaudia wydała z siebie jeszcze parę jęków, po czym z wydatną pomocą Szustek zaczęła się gramolić z podłogi.

– Niezłe powitanie, nie ma co... – rzekła z wyrzutem, kiedy już zasiadła w salonie w fotelu przy kominku. – Ono przychodzi, żeby wesprzeć dobrym słowem i oświeconymi radami swoich przyjaciół w potrzebie, a tu takie słabe przyjęcie...

– Raczej mocne – mruknął Mario, nie dziwiąc się bynajmniej użytej przez artystkę formie osobowej. Hutniak zawsze mówiła o sobie per „ono”, żeby, jak tłumaczyła, jej fani mogli się z nią utożsamić, niezależnie od tego, do jakiej ze stu pięćdziesięciu pięciu płci i orientacji akurat by się w tym tygodniu nie zaliczali.

– Bardzo cię przepraszam – szepnęła kolejny raz w ciągu ostatnich minut Miśka. – Mamy tu pewne zamieszanie spowodowane morderstwem, którego byliśmy świadkami, i trochę wysiadają mi już od tego nerwy. Tym bardziej że przed tobą naprawdę grasował tu jakiś bandzior...

– Ono rozumie – Klaudia uraczyła ją efemerycznym uśmiechem – i przyszło tu specjalnie, żeby poinformować, że mordercą na pewno jest reptilianin.

– Kto? – zdziwiła się Miśka.

– Człowiek-jaszczur – przetłumaczył Mario.

– Dokładnie. – Hutniak pokiwała głową. – Ono widzi, że należysz do kręgu bytów przebudzonych i wiesz, że żaden człowiek nie pozbawi życia innego człowieka, bo nie pozwala mu na to kod genetyczny zawarty w źródle prawdy tkwiącej w naszych umysłach. To wiadoma sprawa. Są na to badania uniwersytetu w Iowa.

– Gdzie? – zapytała mimowolnie, całkowicie ogłuszona tym wywodem Miśka.

– W Iowa. – Klaudia popatrzyła na nią tak, jakby owa placówka była bardziej znana od Oxfordu albo Cambridge, o Uniwersytecie Jagiellońskim już nawet nie wspominając. – Wszyscy mordercy ludzi to reptilianie, bioroboty albo hybrydy.

– Samochody?! – Ogłupienie Miśki tylko rosło.

– Nie, kochanie. – Hutniak uśmiechnęła się do niej wyrozumiale. – Połączenia ludzi ze zwierzętami. Musisz się jeszcze wiele nauczyć. I koniecznie obejrzeć „Incepcję” i „Terminatora”, bo tam jest zawarta cała prawda o naszej planecie. Jeśli ją przyjmiesz i zrozumiesz, odczujesz iluminację pobudzenia. Zaczyniesz też z czasem odróżniać, kto jest człowiekiem, a kto jego wrogiem, wywodzącym się z innej energii, zła i ciemności. Pamiętajcie oboje, że nie każdy, kto ma podobny do nas wygląd, posiada duszę. Na zewnątrz nosi tę samą co my powłokę biologiczną, ale tak naprawdę nie jest połączony falami psychicznymi z pierwotną energią świadomości.

– Tak, tak – potaknął grzecznie Mario z nieodgadnioną miną. – To dość oczywiste.

– No właśnie. – Klaudia się rozpromieniła, sięgając do kieszeni swojego stylizowanego na góralszczyznę kubraka. – A teraz, kiedy już to ustaliliśmy, ono podaruje wam amulety z ametystami. To kamienie, które chronią przed jaszczurami. Po reakcji na nie odkryjecie, kto z waszych znajomych jest reptilem.

– Cudownie. – Mario przejął z jej ręki bransoletkę i od razu wrolował ją za przegub prawej ręki. – O, proszę! Z miejsca poczułem się o wiele bezpieczniejszy.

– Kochanie, przełóż ją na lewy nadgarstek. Ona działa tylko po stronie serca. Szczego serca prawdziwego człowieka, bo właśnie tego reptilianie nie mają i dlatego od razu na widok ametystów po tej stronie syczą i toczą pianę. Po tym ich poznacie! – Ostatnie biblijne słowa Klaudia wypowiedziała z takim namaszczeniem, jakby stała na

ambonie i ogłaszała prostaczkom prawdę objawioną przez całe stado nawiedzających ją archaniołów.

Mario momentalnie zdjął bransoletkę i przełożył ją grzecznie na lewy nadgarstek. Miśka poszła w jego ślady, myśląc, że jej przyjaciel niechybnie od czegoś zidiociał.

– A teraz ono musi już iść na próbę generalną koncertu sylwestrowego – oznajmiła artystka. – Ono nie wie, dlaczego wszyscy, którzy przy tym pracują, są tacy nerwowi i o wszystko się tak strasznie wyklócają. Ono poprosiło wczoraj o drobną zmianę i od razu zrobiła się awantura.

– Jaką zmianę? – zaciekał się Mario.

– Żeby trochę inaczej ustawić scenę, bo ono chciałoby w czasie śpiewania „Ody do księżyca” móc na niego patrzeć i czerpać z niego energię, którą mogłoby się podzielić z publicznością – wytłumaczyła Klaudia. – A reżyser od razu zaczął wykrzykiwać, że ta scena waży tryliard ton, że budowali ją przez cały tydzień i że jak niby ono wyobraża sobie teraz jej przesunięcie tyłem do przodu. Więc ono mu powiedziało, że taka scena, która zmusza artystów do kompromisów, jest bardzo nieprofesjonalna. I że ono może jeszcze ostatecznie zgodzić się na to, że przesunie się trochę sam księżyc. Na co reżyser wyraził się bardzo nieładnie, ono się zdenerwowało i poczuło tak zranione, że nawet zmieniło repertuar. Właśnie idzie powiadomić o tym reżysera i produkcję. Ono nie będzie udawało, że jest w zabawowym nastroju.

– I co ono zaśpiewa? – dopytał Kosek.

– Psalmów Dawidowych w aranżacji na obój i ukulele – poinformowała Klaudia.

– To będzie prawdziwy sylwester marzeń – westchnął Mario, zastanawiając się, czy niebawem reżyser koncertu nie dołączy w kostnicy do Staszeczek. Tyle że z przyczyn naturalnych. Osobiście stawał na zawał, acz udar też wydawał się wielce prawdopodobny.

– Też tak myślę! – rozpromieniła się piosenkarka. – Publiczność na pewno jest już zmęczona tymi wszystkimi szybkimi piosenkami i doceni prawdę płynącą z ponadczasowego przekazu duchowego...

– Na pewno – potaknął Kosek. – Aż sam nie mogę się już tego doczekać.

– Ono też – zapewniła Klaudia, wstając ze swojego miejsca i posyłając im pożegnalnego całusa. – Do zobaczenia!

– Obawiam się, że walnęłaś ją zbyt mocno – westchnął Mario, kiedy zamknął za gwiazdą drzwi. – I zidiociała już do reszty. No nieważne... A teraz opowiadaj, co tu się stało!

Miśka streściła mu w kilku zdaniach, co wydarzyło się od momentu, kiedy zeszła z ich pokoju do kuchni.

– Obawiam się, że pomysł wyjechania z Zakopanego, zanim nas tu wszystkich ktoś utłucze, nie jest wcale taki głupi – westchnął Mario. – Trzeba iść do Darskiego i wyżebrać na to zgodę. A tak swoją drogą to cud, że nasz morderca nie utłukł Hutniak. W świetle tego, co opowiadasz, miał ku temu całkiem niezłą okazję.

– Nie mógł jej zabić, bo przecież to reptilianin, a ona jest poobwieszana amuletami niczym choinka bombkami – przypomniała Miśka. – A co do Darskiego, to masz rację. Należałoby się z nim spotkać, zanim wydarzy się tu kolejna tragedia. Bo, szczerze mówiąc, bardzo nie chciałabym być jej bohaterką...

ROZDZIAŁ XV

MORDERSTWO PO RAZ DRUGI

– Przepraszam, mogłabym poprosić o wspólne zdjęcie?

Idący Krupówkami i doskonale oderwany od rzeczywistości Marek półprzytomnie popatrzył na stojącą przed nim korpulentną blondynkę.

– Tak, oczywiście – przytaknął z roztargnieniem. – Nie ma problemu.

– Bardzo pana lubię – stwierdziła blondynka, wyciągając przed siebie dzierzony w dłoniach smartfon. W miejsce ich twarzy Marek zobaczył w nim dwie bardzo rozmazane plamy, co zapewne oznaczało, że filtr piękna jego towarzyszka miała ustawiony do końca skali, a może nawet jeszcze dalej. – Pan zawsze tak cudownie opowiada w telewizji o książkach. No po prostu, aż się chce słuchać!

– Bardzo mi miło – zapewnił Muszyński, starając się mile uśmiechnąć, co o tyle nie miało sensu, że przy tym rozmazaniu obrazu w ogóle nie widać było jego wyrazu twarzy i równie dobrze mógł się wykrzywić albo pokazać język. Przelotnie zastanowił się nawet, po co w ogóle robić takie foty, dochodząc ostatecznie do wniosku, że może jego towarzyszka też jest artystką i przygotowuje jakąś eksperymentalną wystawę pod tytułem „Kto jest kim?” albo coś w tym stylu. – A którą z moich książek lubi pani najbardziej?

Po minie blondynki osądził, że nigdy w życiu nie miała w ręku żadnej jego powieści.

– Ostatnią, oczywiście. – Kobieta nie straciła rezonu. – Bardzo interesująca. Bardzo! Dziękuję panu za zdjęcie, muszę już lecieć! Mąż czeka w kawiarni! Do siego roku!

– Do siego! – mruknął Marek, po czym wypatrzywszy wreszcie kogoś, z kim koniecznie chciał porozmawiać, krzyknął: – Ej, Lucek!

Stojący przy stoisku z wełnianymi gadżetami, jak fikuśne zwierzaczki, bombki, stroiki i inne zmyślne, nie wiadomo do czego służące, pizdrygałki, oraz niewielką liczbą rozpoznawalnych z wyglądu zimowych części garderoby, Kędziak odwrócił się i pomachał mu niepewnie ręką.

– Chyba powinniśmy porozmawiać – zaproponował Marek, kiedy już się dopchnął do kumpla.

– Ano... – zgodził się Lucjusz, wracając do wybierania nauszników w jelonki. – Chociaż nie ma już chyba o czym. To znaczy o kim.

– Głupio wyszło – Marek mimo woli też zaczął grzebać w rzeczach na stoisku – i należą ci się ode mnie przeprosiny. Kiedy Agnieszka powiedziała, że powinniśmy trochę od siebie odpocząć, że sama nie wie, co będzie z nami dalej, miałem podejrzenia, że musiała usłyszeć coś od ciebie, kiedy tu jechaliście...

– Ale niby co? – zdziwił się Kędziak.

– Znamy sporo swoich tajemnic. – Marek namacał coś, co kujnęło go w palec. Jak się okazało, były to rękawiczki. Przelotnie zastanowił się, w jakim stanie byłyby jego ręce, gdyby nosił te kolczugi przez kilka godzin, i doszedł do wniosku, że zapewne w podobnym, jak wtedy, gdy utarł na placki nie tylko ziemniaki, ale też własny naskórek. – No i mogło ci się coś wyrwać o mojej żonie...

– No wiesz! – prychnął Lucjusz. – Za kogo ty mnie uważasz? Za świnię?!

– Jak człowiek zauroczony, to głupi – rzekł ze skruchą Marek. – A mnie naprawdę zależało na tej dziewczynie. I nie mogę się pogodzić

z tym, jak to się skończyło...

Kędziak przymierzył kolorowe nauszники i przez chwilę wpatrywał się w swoje odbicie w lustrze.

– Najgorsze, że otruł ją ktoś, kto był z nami na kuligu – westchnął Marek.

– Kobieta... – mruknął Lucjusz, zdejmując nauszники, w których, jak sam musiał przyznać, wyglądał wyjątkowo idiotycznie. – Jednak to nie mój kolor. Potrzebuję czegoś bardziej stonowanego.

– Jaka kobieta? – zapytał Muszyński.

– Kiedy jechaliśmy z Warszawy, Agnieszka powiedziała, że kobiety jej nie znoszą – poinformował go Lucjusz. – Zaśmiałem się wtedy, że chyba przesadza. A ona odpowiedziała, że sam się o tym przekonam...

– Myślisz, że załatwiła ją kobieta? – Marek przez chwilę rozważał to, co usłyszał. – Niby to by pasowało. Wydaje mi się, że trucizna zawsze chętniej używana była przez kobiety. Ale z drugiej strony, kto miałby ją otruć? Przecież nie Miśka!

– Ona akurat nie – przytaknął Lucjusz. – Ale już na przykład Karina? Agnieszka poderwała jej byłego faceta. Kłóciły się o to. Pierwsza podejrzana. Albo Olga...

– To nie jest Olga – mruknął Marek.

– Słucham?! – Kędziak zrobił wielkie oczy. – Jak to nie jest? To niby kto to jest?!

– Jej siostra – rzekł spokojnie Muszyński.

– Co ty bredzisz?! – Lucjusz patrzył na niego jak na kosmitę.

– Nie bredzę, tylko mówię, jak jest – wyjaśnił Marek. – To nie jest Olga, tylko Anna, jej starsza siostra. Nie wiem, jak mogłeś tego nie zauważyć! Wszystko robiła odwrotnie, jak w lustrzanym odbiciu, a poza tym raz przy śniadaniu nie miała pieprzyka. Myślałem, że wszyscy się zorientowali. Było to dla mnie tak oczywiste, że nawet nikogo o to nie zahaczyłem.

Lucjusz wyglądał, jak rażony piorunem.

– Chcesz mi powiedzieć, że to Olga nie żyje, a jej siostra ją udaje? – zapytał wreszcie ciągle tonem niedowierzania. – I wszyscy dają się na to od lat nabierać? Czy to raczej ty teraz nabierasz mnie?

– Stary, niezły ze mnie pisarz, ale nie wymyśliłbym czegoś takiego! – oburzył się Marek. – Poza tym zdaję sobie sprawę, że świata poza sobą nie widzisz, ale rusz pamięcią. Przypomnij sobie Olgę i porównaj ją z kobietą, z którą przebywamy od kilku dni!

Kędziak, czując, jak pamięć odrobinę odmawia mu współpracy, z trudem przywołał kilka wspomnień z ich lat licealnych.

– Cholera, masz rację – jęknął po chwili. – Musiałem chyba doznać amnezji. Faktycznie, to nie jest Olga! Ale numer... Ty, słuchaj, po co ona w ogóle tu przyjechała? Przecież ryzykowała, że ją zdemaskujemy.

– Nie wiem. – Marek pokręcił głową. – Może chciała się przed nami ujawnić. Przecież byśmy jej nigdzie nie zadenuncjowali. Choćby w imię starej przyjaźni z jej siostrą. Trzeba będzie ją o to w końcu zapytać. Choć pewnie wcześniej zrobi to policja.

– Myślisz, że oni już wiedzą, że ona to nie ona?

– Jestem tego pewny! Widziałem wczoraj, jak ten komisarz powiedział coś do Mario, a on popatrzył na nas. Jak doszedł wzrokiem do Olgi, to miał taki wytrzeszcz, jakby zarył gołym tyłkiem w pokrzywy. Swoją drogą kolejny spostrzegawczy inaczej.

– Już ty nie bądź z siebie taki dumny – fuknął Lucjusz, po czym ze złością odrzucił wręczone mu przez sprzedawcę kolejne nauszniki. – Nie podobają mi się! Dziękuję!

– To czego tak grzebał?! – warknął góral. – Przegrzebał wszystko i tylko bałaganu narobił!

– A pana kto uczył sztuki handlowania?! – zirytował się Kędziak. – Przekupy bazarowe rodem z PRL-u?!

– Lucek, proszę cię, uspokój się. – Marek popatrzył na sprzedawcę przepaszająco. – Kolega trochę nerwowo...

– Ma szczęście, że dzisiaj sylwester i cieszę się, że ten rok się kończy – rzekł góral. – Mało dudków było i za dużo takich mądralińskich jak on.

Kędziak chciał coś na to odpowiedzieć, ale Marek wziął go za łokieć i odciągnął od straganu.

– Rozumiem twój ognisty temperament, ale chwilami mógłbyś go powściągnąć – pouczył go stanowczo. – Zamiast przekomarzać się z góralami, lepiej pomyśl, co robimy wieczorem.

– Jak to co? – zdziwił się Lucjusz.

– Chcesz się bawić i świętować sylwestra? – zapytał Muszyński z niesmakiem. – Po morderstwie i przy ojcu Agnieszki?

– Cholera, masz rację... – zmartwił się Kędziak, po czym, zerknąwszy na zegarek, dodał: – Mamy tylko dziesięć godzin, żeby coś wymyślić.

– I nic nie wymyślimy – zawyrokował Marek. – A już na pewno nie żadne twoje głupie żarty. Powiem ci, że ja w ogóle nie mam ochoty wracać do pensjonatu. Najchętniej spędziłbym tę noc, spacerując po górach...

– Możemy tak zrobić – zgodził się Kędziak. – Chętnie do ciebie dołączę.

– A reszta?

– Wiesz co? Na tym etapie jakoś mnie to gównie obchodzi. – Lucjusz wzruszył ramionami. – Wydaje mi się, że przez tych pięć ostatnich lat oddaliliśmy się od siebie i to o wiele bardziej, niż wcześniej przypuszczałem.

– Też mam, niestety, takie wrażenie – przyznał niechętnie Muszyński. – No cóż, można się było w sumie tego spodziewać. Każdy z nas ma swoje życie, nie widujemy się i w sumie nie jestem pewny, czy ten wyjazd w ogóle miał jakiś sens... Choć gdy go wymyśliłeś, to wydawało mi się to całkiem niezłym pomysłem.

– Ja go wymyśliłem? – Kędziak zmarszczył brwi. – Po czym to wnioskujesz?

– No przecież to ty do mnie zadzwoniłeś z przypomnieniem, że minie w tym roku piętnaście lat, od naszej pierwszej wspólnej eskapady, i z propozycją, żeby to uczcić.

– To prawda. – Lucjusz kiwnął głową. – Ja zadzwoniłem do ciebie, ale wcześniej skontaktowała się ze mną Karina. Czy ty naprawdę uważasz, że ja bym pamiętał o takiej rocznicy?!

– Jeśli mam być szczery, to faktycznie wydawało mi się to trochę dziwne – przyznał Muszyński – ale pomyślałem, że może na starość zaczynasz nabierać jakichś ludzkich cech.

– Ja?! – zaśmiał się Kędziak. – Nie żartuj. To co? Wieczorem idziemy w góry?

– Tak! Zdecydowanie tak! A teraz... – Muszyński zerknął na zegarek. – Muszę lecieć do komendy.

– Że też im się chce pracować w sylwestra – mruknął Lucjusz.

– Ktoś pracuje, żeby świętować mógł ktoś – stwierdził filozoficznie Marek. – Jak znam życie i Zakopane, to w sylwestra mają więcej roboty niż przez cały rok.

– Pewnie masz rację – zgodził się Kędziak. – Mnie wezwali dopiero na siedemnastą, więc mam jeszcze chwilę... Może przez ten czas znajdę tutaj coś, co da się nosić nie w ramach pokuty za grzechy.

– Powodzenia – mruknął Marek, który raz zakupił w Zakopanem góralski sweter, z którego po praniu zrobiło się coś w rodzaju średniowiecznej kolczugi. – Jeśli znajdziesz coś takiego, to daj znać. Może też się skuszę. – Uścisnął dłoń przyjaciela, a następnie zaczął iść w stronę komendy. Kiedy jednak był już pewny, że Lucjusz go nie widzi, zmienił nagle kierunek. Po chwili wyciągnął z kieszeni telefon i wybrał jeden z kontaktów. – Możemy się spotkać? – zapytał, uzyskawszy połączenie. – To dość pilne...

* * *

– Ja? – Kostancjusz popatrzył na Darskiego z zaskoczeniem, którego nie dałoby się udać. No chyba że młody Łuszczek studiowałby aktorstwo, ale z tego, co komisarz zdążył ustalić, nic takiego nie miało miejsca. – Na pewno nie!

– Tak zeznają świadkowie – poinformował go komisarz. – Widzieli, jak dodawałeś czegoś do ostatniej szklanki grzańca, którą następnie podałeś Agnieszce.

– To jakaś bzdura! – jęknął chłopak. – Niczego nie dodawałem. Ktoś, kto to powiedział, kłamie! Przysięgam!

– No dobrze... – Darski czuł, że Konstancjusz mówi prawdę i zastanowił się przez chwilę, co miała na celu Anna, kiedy skłamała na jego temat. – Znałeś Agnieszkę od dawna, prawda?

Łuszczek pokiwał głową.

– Od liceum. Moi rodzice sprowadzili się tutaj z Poronina w tamtym czasie.

– I co możesz o niej powiedzieć?

– Była fajna. – Chłopak skrzywił się, jakby niezadowolony z siebie. – Nie, zaraz, to zbyt lamerskie słowo. I chyba trochę niewłaściwie. Agnieszka była inna niż pozostałe dziewczyny. Taka trochę bardziej dorosła...

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał komisarz. – Sprecyzuj, proszę.

– Nie umiem – przyznał trochę bezradnie Konstancjusz. – Niby gadało się z nią jak ze wszystkimi, ale czuć było, że jest bardziej dojrzała. Nie stara, tylko... Nie wiem, tak jakby wcześniej dorosła. Może to ze względu na to, że straciła mamę i musiała pomagać ojcu? Nie umiem tego tak dokładnie wyjaśnić. Myślę, że to przyciągało do niej chłopaków. Inne dziewczyny pajacowały, a Agnieszka zawsze trzymała się trochę na uboczu. Podobnie było z imprezami. Trudno ją było gdzieś zaprosić. A wiadomo, jak laska jest hot i niedostępna, to zawsze działa to jak magnes.

– Powiedziałeś, że to zyskiwało jej zainteresowanie ze strony rówieśników. Ale jak rozumiem, tylko jeden z nich cieszył się jej względami...

– Muszę zapamiętać, jak pan to ujął – westchnął Łuszczek z akcentem podziwu. – Taka elegancka gadka działa na niektóre laski. Tak, chodziła tylko z Patrykiem Siennickim. Od drugiej klasy. Nie mogła inaczej, bo on nie pozwolił nikomu się do niej nawet zbliżyć. Pamiętam, jak kiedyś Klimek, który zawsze robił do niej maślane oczy, chciał ją zaprosić na swoje urodziny, a Patryka pomiął, bo mieli wtedy o coś kose. I była z tego potężna inba, bo Patryk zabronił jej iść. Agnieszka wykrzyczała mu, i to przy wszystkich w szkole, że nie jest jego własnością, że nie chce już być z nim w związku i że właśnie, że pójdzie na tę bibę. Ale Patryk też tam przyjechał, lekko porobiony, zaczął odstawiać dramaty, groził, że się zabije, i ogólnie odwalił niezły cyrk. No i Agnieszka uległa i wyszła z nim z tej imprezy. Klimek miał potem zły humor przez cały wieczór i w sumie te jego urodziny bardziej przypominały stypę.

– Klimek? – Darski dał mu się wygadać i dopiero dopytał.

– Klemens Jędrzejczyk – wyjaśnił Łuszczek, po czym nagle złapał się za głowę. – Aaaaaa, wiem! I jeszcze na dwa dni przed tym... wypadkiem zadzwoniła do mnie Zosia. To znaczy Zofia Ziębek. Wypytywała o każdy szczegół kuligu. Trochę to było dziwne.

– To chyba wszystko. – Darski spojrzał na zegarek, który wskazywał, że powinien już zacząć przesłuchiwać Karinę Zalewską, i przelotnie się zastanowił, czy naprawdę musiał wezwać ich wszystkich w sylwestra. – Jakby coś ci się jeszcze przypomniało, to daj znać. Jeszcze trochę tu dzisiaj posiedzę...

– Współczuję...

– Ja sobie też – westchnął komisarz, a kiedy został sam, wyciągnął komórkę i wybrał numer do Ilony, przesłuchującej kilka gabinetów dalej Zosię. – Skończyłaś już? Aaaaaa, to dobrze! Zapytaj ją przy okazji, dlaczego na dwa dni przed kuligiem tak bardzo o niego

wypytywała młodego Łuszczka. Ja biorę na tapet Zalewską, ty Siennickiego, i spotykamy się potem. A tak przy okazji... Nie przekąsiłabyś czegoś?

* * *

– Jeśli wierzyć Hutniak, to co druga osoba tutaj jest jaszczurem – zauważył Mario, dopijając latte i poprawiając ametystową bransoletkę na rękę. – Łącznie z kelnerem. Zobaczył nas, uciekł i musiała nas obsłużyć jego koleżanka. Reptil jak nic!

– Głupi jesteś! – roześmiała się Miśka. – Uciekł, bo zobaczył, co masz na łbie.

Kosek tego dnia zdecydował, że jednak zaszokuje trochę społeczeństwo Zakopanego i nasadził na głowę wściekle różowy kaszkiet ze srebrzystą antenką.

– Wyglądasz jak połączenie starej Dody z masztem 5G i dziwisz się, że miejscowi przed tobą rejterują.

– A ja ci mówię, że to jaszczury – mruknął Mario. – Poza tym Doda nie jest stara...

– Powiedziałam „stara” w sensie czasów, kiedy nosiła się na różowo. To co? Idziemy do Darskiego? O której kazał nam być?

– Po siedemnastej trzydzieści. – Mario zerknął na zegarek. – Jeszcze dziesięć minut... Można wiedzieć, co ty wyprawiasz?

Miśka nagle skuliła się i przesunęła w róg stolika, przy którym siedzieli.

– Csiiiiii... – szepnęła z przerażeniem. – Nie odwracaj się. On tu jest!

– Kto? – zaciekawił się Mario.

– Morderca! – poinformowała go Miśka. – Ten z kuchni!

– Żartujesz?! – Zamiast strachu Mario poczuł ekscytację. – Gdzie?

– Właśnie tu wszedł i stoi przy barze... Błagam cię, nie patrz na niego!

Niewiele sobie robiąc z jej prośby i wychodząc z założenia, że aby ich dorwać, bandzior musiałby zabić dodatkowo kilkanaście osób siedzących w kawiarni, Kosek przekręcił głowę. Przy barze faktycznie stał ktoś wysoki, w czarnej kurtce i wielkim kapturze nasuniętym na głowę.

– Jesteś pewna? – Mario doszedł do wniosku, że takich postaci musi się kręcić po Zakopanem całe multum.

– Tak. Na sto procent – szepnęła Miśka. – Ta kurtka ma z przodu takie jaśniejsze pasy, a poza tym jest coś charakterystycznego w jego sposobie chodzenia. Nie wiem, jak to nazwać. Sprężystość? Widać, że jest wysportowany i... Nie za bardzo umiem to wytłumaczyć, ale po prostu wiem, że to on.

– Skoro tak... – Mario wstał.

– Co ty robisz?! – Miśka aż zbladła z przestraszenia.

– Mam już po dziurki w nosie tych wszystkich tajemnic i poczucia zagrożenia – oświadczył stanowczo Kosek. – Niech wreszcie coś się wyjaśni i ta cała szopka skończy!

– To jest morderca! Siadaj, zanim cię przebiję nożem! Tak jak mnie!

– Sreerca! I niczym cię nie przebił. – Mario wykrzywił się, pisząc coś w telefonie. – Przypominam ci, że jedyną osobą, która zginęła, była Agnieszka. I ktoś ją otruił, a nie zaszlachtował... Dobra, Darski powiadomiony. Idę!

Miśka z przerażeniem zobaczyła, jak jej przyjaciel przeciska się między stolikami i podchodzi do baru, staje obok bandziora, a następnie mówi:

– Dzień dobry panu. Nazywam się Mariusz Kosek, jestem szefem warszawskiej agencji PR „360 stopni” i mieszkam tymczasowo w pensjonacie „Pod Śnieżycą”. Moja przyjaciółka twierdzi, że mniej więcej dwie godziny temu próbował pan ją tam zabić. Chciałbym się dowiedzieć, czy to prawda, czy też moja przyjaciółka nadaje się do szpitala dla psychicznie chorych.

Przygotowana na dantejskie sceny, ucieczkę bandyty, próby obławy, strzelaninę i ogólnie akcję w stylu Jamesa Bonda, Miśka ku swojemu niedowierzaniu zobaczyła, jak złoczyńca odwraca się do Mario i powoli zsuwa z głowy kaptur. Po chwili zaś przestała wierzyć własnym oczom.

– Bardzo mi miło – usłyszała wyraźnie. – Nazywam się Mikołaj Krawczyk i jestem aktorem. Tak, to prawda, że dostałem zlecenie, aby zabić pana przyjaciółkę. Tyle że to już nieaktualne. Mniej więcej od pół godziny.

* * *

Na widok gęstniejącego z każdą chwilą coraz bardziej tłumu na Krupówkach Anna skrzywiła się i zastanowiła, czy jest inny sposób, aby dostać się do pensjonatu. Szybko uświadomiła sobie, że jednak będzie zmuszona wmieszać się w ową ludzką gęstwinę. Westchnęła i zaczęła się przedzierać przez spacerowiczów. Była mniej więcej w połowie drogi na drugą stronę ulicy, kiedy nagle poczuła ból w plecach.

– Mógłby pan uważać, a nie leżać jak cielak – warknęła ze złością na jakiegoś, jak to się teraz określa, niekompatybilnego wagowo faceta z gofrem w dłoniach, będąc pewna, że to on musiał ją strzelić z łokcia.

– Kto to był, Władziu? – usłyszała za sobą żeński głos, należący prawdopodobnie do partnerki owego osobnika.

– Nie wiem. Jakaś psychiczna... – brzmiała uprzejma odpowiedź rzezonego Władzia.

Anna zrobiła jeszcze kilka kroków, czując się nagle dziwnie słaba. Kolejny krok sprawił, że zaczęło jej się kręcić w głowie. Krupówki, widoczne w oddali, wciąż otwarte, pełne świecidełek stragany, mijające ją uśmiechnięte dzieciaki, trzymające w dłoniach wate cukrową, kobiety w migających światełkami czapeczkach, zanoszący się rechotem mężczyźni w srebrnych, kędzierzawych perukach,

wszystko nagle zamieniło się w jej głowie w jeden wielki, z każdą chwilą coraz bardziej rozpędzony diabelski młyn. Anna miała wrażenie, że zaraz straci przytomność. Zrobiła jeszcze jeden krok i runęła do przodu, wprost na grupkę rozbawionych nastolatków.

– Hej, paniusiu – usłyszała jeszcze. – Nie tak ostro! Kolega wciąż dziewczica! Niech go pani nie napastuje!

Nie miała już siły odpowiedzieć. Chciała poprosić o pomoc, ale słowa zamarły jej w krtani.

Krzyk, jaki rozległ się chwilę później i poniósł po całych Krupówkach, sprawił, że część rozbawionych sylwestrowiczów na moment przystanąła.

– Ratunku! – brzmiała treść okrzyku. – Ona nie żyje!

ROZDZIAŁ XVI

STARY GRZECH

– Tak się właśnie kończy zatajanie czegoś – westchnął Darski, kiedy technik przykrył zwłoki Anny. – I kłamanie w czasie zeznań.

– Jesteś pewny, że skłamała? – zapytała Ilona.

– Na sto procent. Tak jak i tego, że chciała chronić kogoś ze swoich przyjaciół.

– Jeśli wykluczyć z grona podejrzanych tych, za których dajesz sobie uciąć głowę – rzekła ostrożnie Knieć – oraz miejscowych, to zostaje nam tylko trójka podejrzanych. Zalewska, Muszyński i Kędziak. Dwoje pierwszych ma motyw. Zalewska zazdrość o byłego partnera, Muszyński fakt, że Staszeczek z nim zerwała. Kędziak teoretycznie poznał ją trzy dni wcześniej, a ich kontakty tutaj nie były zbyt ożywione. W sumie wychodzi na to, że zbrodnię popełniło któreś z tej pierwszej dwójki. Oczywiście, zostają jeszcze Łuszczkowie, Siennicki i Ziębek, ale o ile jestem od biedy w stanie zrozumieć, dlaczego któreś z nich mogło zabić Agnieszkę, to kompletnie nie rozumiem, czemu miałyby pozbawiać życia Lubiecką. A, i jeszcze jedno. List z pogrózkami napisał Jędrzejczyk.

– Skąd wiesz? – Darski popatrzył na nią ze zdumieniem.

– Bo jestem wielce mądra i przesłuchując Siennickiego, zapytałam, którego ze swoich kolegów uważał za największą konkurencję

w czasach, kiedy chodził z Agnieszką. Bez chwili wahania odpowiedział, że Klemensa, bo Staszeczek zawsze miała do niego słabość ze względu na jego nieśmiałość. Wszystkich pewnych siebie buców spławiła w mgnieniu oka, a Jędrzejczyka jakoś nie miała sumienia. Kiedy skończyłam go przesłuchiwać, zadzwoniłam do mojej przyjaciółki, polonistki, która uczyła ich wszystkich w liceum, i zapytałam, czy ma coś, co Klemens pisał odręcznie. Jakąś starą klasówkę, wypracowanie, cokolwiek. Okazało się, że ma jakąś laurkę, którą cała klasa przygotowała jej na koniec roku. Każdy wpisał tam jeden wers życzeń. Posłałam to do biegłego, który badał ten list. Nie ma wątpliwości. To dzieło Jędrzejczyka.

– Którego nie było na kuligu – mruknął Darski. – Kolejna ślepa uliczka.

– Niby tak – zgodziła się Ilona – ale zauważ, że rozwiązuje nam się coraz więcej niewiadomych.

– I mamy coraz więcej ofiar – mruknął komisarz. – No dobrze... Teoretycznie w komendzie powinna na mnie czekać Zalewska. To znamienne, że spóźniła się na przesłuchanie. Kogo ty masz?

– Muszyńskiego – przypomniała Knieć. – Potem jeszcze Kędziak i stary Staszeczek. I nareszcie będziemy mogli zacząć przygotowania do sylwestra. Jutro w końcu też jest dzień.

– Tylko nie wiem, czy go dożyję – westchnął ciężko Darski.

– Boisz się mordercy? – zaśmiała się Ilona.

– Nie. – Komisarz pokręcił głową. – Boję się mojej narzeczonej, a właściwie tego, że przejdzie od słów do czynów. Bo jeśli to zrobi, to już z dwojga złego wolałbym konfrontację z mordercą!

* * *

Miśka i Mario siedzieli osłupiali naprzeciwko Mikołaja i powoli trawili historię, którą od niego usłyszeli.

– Nie miałem pojęcia, że zrobiła się z tego taka tragiczna sprawa, bo już dawno poleciałbym na policję. Marek nic mi nie powiedział. On mnie zapewniał, że nie będziecie mieli o to pretensji, a wręcz przeciwnie, czystą radochę – zakończył swoją opowieść aktor, wcześniej dowiedziawszy się o wszystkich okolicznościach pobytu Koska i Szustek w Zakopanem. – Podobno robicie sobie takie żarty od dawna. Bardzo przepraszam, jeśli chwilami wczułem się w swoją rolę zbyt mocno, ale na tym polega dobra gra, że człowiek staje się tym, w kogo się wciela. Miałem być psychopatycznym killerem, to byłem.

– Bardzo przekonującym – mruknęła Miśka. – Dałabym sobie głowę uciąć, że w tej kuchni chce mnie pan zabić.

– Nie pan. – Krawczyk uśmiechnął się do niej serdecznie i wyciągnął rękę. – Mikołaj.

– Dominika. – Szustek odwzajemniła jego gest. – Niech no ja dorwę tego palanta...

– A nas w ogóle dla zmylenia przeciwnika jest tu dwóch – poinformował Krawczyk. – Zabrałem swojego kolegę z teatru. I tak spędzaliśmy tu sylwestra razem z rodzinami, więc mieliśmy dodatkową zabawę...

– Zabawę! – prychnęła Miśka. – Dobrze sobie...

– Oj, już nie rób z siebie takiej męczennicy – zirytował się Mario. – Swoją drogą, że też się na to zgodziliście...

– Znamy Marka od kilku lat, kumplujemy się – wyjaśnił Mikołaj. – Świetny gość! Czytam audiobooki jego powieści, razem z kolegą zagraliśmy w sztuce, którą napisał. A poza tym ten pomysł wydał nam się tak szalony, że nie wahaliśmy się nawet chwili. W sumie, co to był za problem co jakiś czas trochę was postraszyć...

– Żaden – westchnęła Miśka. – Ja tam na przykład boję się nadal...

– Zapewniam, że nie ma czego – zaśmiał się Mikołaj. – Morduję tylko na ekranie i w teatrze. Można by rzec, zawodowo. W życiu prywatnym nie przejawiam żadnych przestępczych skłonności.

– Całe szczęście – westchnął Mario.

– I jeszcze raz przepraszam, jeśli napędziłem ci stracha. – Aktor popatrzył z ekspiacją w oczach na Miškę. – W tym pensjonacie faktycznie poczułem się trochę tak, jakbym grał w „Psychozie”. I mogłem odrobinę przeszarżować.

– Ja też się tak poczułam – mruknęła Szustek.

Chciała dodać jeszcze jakąś kąśliwą uwagę, ale dokładnie w tej samej chwili dotarło do niej, że ma przed sobą jednego z najprzystojniejszych facetów polskiego show-biznesu, do tego idealnie w jej typie, i konstatacja ta odrobinę zbiła ją z pantałyku. Zamiast więc wygłosić kolejny wyrzut, ku własnemu zdziwieniu rzekła pocieszającym tonem:

– Nie przejmuj się, mnie po prostu bardzo łatwo wystraszyć.

– A jeszcze łatwiej zauroczyć – bąknął pod nosem obserwujący ją uważnie Mario.

– Słucham? – Miśka popatrzyła na niego gniewnie.

– Nic, nic! – zapewnił Kosek gorliwie. – Taka tam luźna uwaga, bez związku z terażniejszością.

– No dobrze, moi drodzy. – Mikołaj zaczął się zbierać od stolika. – Bardzo miło było was poznać. Zapewniam, że już nie będę się wam narzucał. Spokojnego sylwestra i do siego roku życzę. Po drodze do swojego pensjonatu zahaczę o komendę i złożę tam zeznania. Nie miałem pojęcia, że zgadzając się na udział w tej zabawie, zostanę wmieszany w tak poważną sprawę, jak prawdziwe zabójstwo. Mam nadzieję, że uda się mój udział zachować w tajemnicy, bo jeśli nie, to Sensatek nie da mi żyć. Oni mnie kochają miłością bezgraniczną i wieczną nawet bez morderstw. Ech... No nic, może i tym razem przejdzie ulgowo. Do zobaczenia!

Wymienił serdeczne uściski z Mario i Mišką, po czym szybko opuścił restaurację.

– Jak to mówiła Joanna Chmielewska: stara gropa, a durna – westchnął Mario.

– Zupełnie nie rozumiem, o co ci chodzi – rzekła stanowczo Miśka.

– Jasssssne... – wysyczał Kosek, wkładając w to tyle złośliwości, ile tylko mógł. – Dobrze, że od razu się na niego nie rzuciłaś!

– Nie będę z tobą rozmawiała, jak jesteś aż tak rozhisteryzowany! A poza tym...

W tym momencie zadzwonił telefon Koska. Mario rzucił okiem na wyświetlacz

– Darski? – zdumiał się. – Czegóż on chce? Przecież i tak do niego zaraz idziemy. – Puknął palcem w zieloną ikonkę. – Słucham...? Jak to...?! Kiedy...?! – Wysłuchał kilka przekazanych przez komisarza komunikatów. – Rozumiem... Oczywiście... Do zobaczenia. – Rozłączył się i popatrzył na Miśkę takim wzrokiem, że ta poczuła, jak wszystko w niej zamiera. – Anna nie żyje. Ktoś dźgnął ją na ulicy jakimś ostrym narzędziem. Krzyś prosi, żebyśmy jak najszybciej pojawili się w komendzie.

* * *

– Przede wszystkim chciałabym zaznaczyć, że nie zabiłam nikogo – zaczęła swoje zeznania Karina. – Mój były partner twierdzi co prawda, że jestem winna śmierci Agnieszki, ale wysnuł ten wniosek tylko na podstawie tego, że odszedł ode mnie do niej. Jest zadufanym w sobie idiotą. Nie może mu się pomieścić w głowie, że ktoś, kogo rzucił, może spokojnie przejść nad tym do porządku dziennego i zacząć układać sobie nowe życie.

– Spokojnie? – Komisarz rzucił jej ironiczne spojrzenie.

– Robi pan aluzję do mojej sprzeczki z tą nieszczęsną dziewczyną? – Zalewska nie okazała zmieszania. – Przyznaję, że dałam się ponieść emocjom. Nie oznacza to jednak, że kiedykolwiek rozważałabym na serio opcję powrotu do Sebastiana. Nawet gdyby chciał. Zresztą... Nie byłam tego pewna, ale przed jakąś godziną przekonałam się, że tak właśnie jest. zaproponował mi, żebyśmy raz jeszcze spróbowali, dali sobie drugą szansę. Wiele razy wyobrażałam sobie ten moment

i nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczałam, że kiedy nadejdzie, powiem mu po prostu: „Pierdol się”. Jego mina była dostateczną rekompensatą za wszystkie upokorzenia, których przez lata od niego doznałam.

– Rozumiem – stwierdził Darski, postanawiając, że pierwszą osobą, którą wezwie na przesłuchanie w nowym roku, będzie Rulicz, którego przecież obstawiali z Iloną jako zabójcę Agnieszki i skreślili z listy tylko dlatego, że miało go tu nie być, a skoro był, to znowu wysunął się na prowadzenie, przynajmniej w kwestii tego zabójstwa. – A jak spędziła pani ostatnią godzinę? Nie pojawiła się pani o umówionej porze w komendzie.

– Przepraszam. Rozmawiałam z moim byłym partnerem. Trochę to zajęło, zanim dotarło do niego, że nie ma czego u mnie szukać. A już na pewno zapewniania mu wikt i opierunku jak przez ostatnie lata. Przyznaję, że trochę straciłam przy tym rachubę czasu.

– Czy w razie czego pan Rulicz będzie mógł potwierdzić pani słowa?

– Darskiemu wcale nie spodobało się, że tym samym Sebastian też będzie miał alibi na czas zasztytowania Olgi-Anny.

– Oczywiście – odpowiedziała Karina tonem lekkiego zdziwienia. – Choć przecież nie spóźniłam się aż tak szpetnie. Nie wypominając, pan kazał mi na siebie czekać o wiele dłużej...

– Miałem ważny powód.

Karina popatrzyła na niego z namysłem.

– Czy coś się stało? – zapytała po chwili z niepewnością w głosie.

– Tak. Pani przyjaciółka, Olga Lubiecka, czy też raczej jej siostra Anna, która ją udawała...

– Słucham?! – Zalewska zrobiła wielkie oczy.

– A, to pani nic nie wie... Olga Lubiecka zmarła dwa lata temu w wyniku przedawkowania narkotyków. Siostra przejęła jej tożsamość, aby robić karierę w modelingu.

– Chwila... – Karina machnęła jedną ręką, a drugą przyłożyła sobie do czoła. – Muszę to uporządkować. Olga zmarła, Anna podała się za

nią i... przez tyle czasu to nie wyszło na jaw?

– Nie – przyznał Darski. – Aż do teraz. I nie ma to już najmniejszego znaczenia, bo Anna też nie żyje. Została zabita na Krupówkach. Mniej więcej trzy kwadranse temu. Zadano jej cios w plecy ostrym narzędziem.

– Żartuje pan?!

– Nie, proszę pani, nie mam aż tak zwyrodniałego poczucia humoru.

– I dlatego pytał pan, co wtedy robiłam! – Karina popatrzyła na niego z wyrzutem. – Podejrzewał pan, że to ja ją zabiłam?! Przyjaciółkę ze szkolnej ławy?! Tym bardziej że nie miałam pojęcia, że to nie ona, a jej siostra!

– Nie chcę pani martwić, ale w gronie podejrzanych mamy głównie pani kolegów ze szkolnej ławy...

Karina potrząsnęła głową.

– Nie wierzę! – rzekła podniesionym głosem. – Nikt z nas nie mógłby tego zrobić! Jestem tego pewna!

– No cóż... – westchnął Darski. – Pani może nie wierzyć, ale ja muszę. Poza tym są na tym świecie rzeczy, o których się filozofom nie śniło. A wiara z reguły musi ulec przed dowodami.

Kiedy Zalewska opuściła jego pokój, Darski z niepokojem puknął w ekranik komórki. Zauważywszy tam sześć nieodczytanych wiadomości od narzeczonej, czym prędzej z powrotem go wygasił. Doskonale wiedział, jaka jest treść tych SMS-ów, i na razie nie chciał się stresować. Ponieważ kolejny z przesłuchiwanym, Wincenty Staszeczek, jeszcze się nie pojawił, komisarz otworzył akta sprawy jego wypadku sprzed lat. Przejrzał zdjęcia z miejsca zdarzenia, przeczytał protokół i sięgnął po zeznania świadków. Na koniec przeczytał to, co o feralnej nocy miał do powiedzenia Wincenty. Już miał odłożyć akta, kiedy na samym końcu wpadła mu w oko kartka z zeznaniami przyjaciółki, która przebywała wtedy w Zakopanem wraz z Lucyną Gil i nawet mieszkała z nią w jednym pokoju.

Darski przebiegł treść dokumentu i nagle, przeczytawszy jedno ze zdań, zmarszczył brwi. Po chwili zaś dotarło do niego, że oto wszystko ułożyło się wreszcie w logiczną całość. Poza jednym szczegółem...

– Proszę, niech pan siada – powitał dziesięć minut później zaglądnącego do jego pokoju Wincentego, a kiedy starszy pan wykonał jego polecenie, popatrzył mu prosto w oczy i pewnym siebie głosem rzekł: – Zaczniemy od najważniejszej kwestii. Od wypadku, który wydarzył się pięć lat temu. Zeznał pan wtedy, że to pan prowadził pojazd. To jednak było kłamstwo. Tak naprawdę za kierownicą siedziała pana mocno nieletnia wówczas córka, prawda...?

* * *

Na widok radiowozów podjeżdżających pod pensjonat Lucjusz najpierw uśmiechnął się z wyraźną rezygnacją, a potem pomyślał, że bez sensu było zabijać Annę, choć z drugiej strony rozzłościła go swoim głupawym szantażem i kosmicznymi żądaniami w zamian za milczenie. Tylko ona ze wszystkich tych osób lata temu zobaczyła go w towarzystwie Lucynki. Skąd mógł wiedzieć, że była w nim skrycie zakochana i wysledziła, kim jest jego ukochana. Mało tego! Najwyraźniej mimo upływu lat uczucie jej nie minęło, bo i tutaj szpiegowała go na każdym kroku. Była przy jego rozmowie ze Staszeczkim, kiedy to po bójce z Markiem poszedł z nim na kilka głębszych. To wtedy kompletnie już pijanemu Wincentemu rozwiązał się język. I takim sposobem Kędziak dowiedział się, że za śmierć jego jedynej prawdziwej życiowej miłości nie był odpowiedzialny Tadeusz Łuszczek ani nawet sam Staszeczek, ale Agnieszka. Nie zmieniło to jego planów. Zabójca Lucynki musiał zapłacić za swój czyn. Życie za życie. I wszystko poszłoby tak, jak zaplanował, gdyby nie ta upiorna Lubiecka. Myślał, że zdechła, a tymczasem odrodziła się jak feniks z popiołów. I jeszcze śmiała za swoje milczenie zażądać, żeby się z nią przespał i był ojcem jej dziecka. Cholerna psychopatka...

Lucjusz szarpnął za suwak swojej torby. Po chwili wyjął z niej buteleczkę. Popatrzył na leżące na biurku zdjęcie. Ile razy marzył, aby jeszcze raz spotkać Lucynkę. I teraz być może wreszcie mu się to uda. Nie wahając się ani chwili, podniósł buteleczkę do ust i duszkiem wychylił jej zawartość.

EPILOG

Głośne buczenie publiczności, starannie wyciszone przez speców od telewizyjnych sztuczek i w związku z tym niesłyszalne w bezpośredniej transmisji koncertu sylwestrowego, powitało kolejny psalm Klaudii Hutniak.

– Śpiewaj „Mewę”! – ryknął ktoś, stojący tuż za Darskim.

– Dajcie Zenka! – zawtórował mu inny.

– „Nie tak występni, nie tak: są oni jak plewa, którą wiatr rozlewa. Toteż występni nie ostoją się na sądzie ani grzesznicy w zgromadzeniu sprawiedliwych, bo Pan uznaje drogę sprawiedliwych, a droga występnych zaginie” – zawodziła Klaudia przy akompaniamencie oboju, ukelele i waltorni oraz w towarzystwie grupy tanecznej Massima Motorolli, która bez sensu miotała się po scenie, prezentując choreografię przygotowaną do tanecznych hitów gwiazdy i jako taką pasującą jak pięść do nosa do tego, co obecnie rozlegało się ze sceny. – „Śmieje się ten, który mieszka w niebie, Pan się z nich naigrawa, a wtedy mówi do nich w swoim gniewie i w swej zapalczywości ich trwoży: «Przecież Ja ustanowiłem sobie króla na Syjonie, świętej górze mojej»”.

– To się, kurwa, nawet nie rymuje! – wrzasnął ktoś z innej części widowni.

- Ze-nek! Ze-nek! – zaczęła skandować cześć publiki.
- Ma-ry-la! Ma-ry-la! – odpowiedziała na to druga.
- Nie przypuszczałem, że dożyję czasów, kiedy będę się modlił o recital Zenka – westchnął Mario. – Przecież ta wariatka zaraz tu wszystkich uśpi! Rozumiem szajbę, ale dzisiaj to już chyba przegięła. Tylko patrzeć, jak zaraz w ruch pójdzie kostka brukowa...
- Ale przynajmniej można pogadać przez moment – pocieszył go Darski. – Przy Zenku i Maryli nie dałbyś rady.
- Jasne – mruknął Mario, po czym zanucił fragment piosenki Monty Pythona: – „*Always look on the bright side of life*”, prawda? A tak swoją drogą, kiedy się zorientowałeś, że mordercą jest nasz świętej pamięci Lucjusz?
- Kiedy przeczytałem w zeznaniach przyjaciółki ofiary, że miała ona zły humor z powodu problemów ze swoim ukochanym – odpowiedział Darski. – Przyjaciółka nie wiedziała, kim on był. To znaczy nie знаła jego imienia i nazwiska. Jedyne, czego była pewna, to tego, że facet był sportowcem. Cniło jej się, że piłkarzem, ale choć zarzekała się, że to tylko jej przypuszczenia, od początku miałem przeczucie, że mordercą jest Kędziak. Zwłaszcza że to on namówił wszystkich na przyjazd, choć potem próbował się tego wyprzeć, nalegał, żeby zrobić kulig i przygotować te wasze idiotyczne żarty. Dawało mu to duże pole do popisu. Trzeba mu też przyznać, że umiał błyskawicznie zmieniać plany. Przyjechał tu, będąc pewnym, że jego ukochaną przejechał Łuszczek, bo tak sugerowały gazety i niosła lokalna plotka. Na miejscu dowiedział się, że to sprawka Wincentego. Myślę, że chciał go zabić tego wieczoru, kiedy razem poszli na wódkę. Ale pijany Staszeczek zdradził mu, że za kierownicą tamtego wieczoru siedziała jego córka. No i tym samym wydał na nią wyrok.
- Strasznie długo czekał z tą zemstą... – mruknęła Karina.
- Siedział za granicą – wyjaśnił Darski. – Dopiero teraz wrócił do kraju i mógł zrealizować swoje plany.

– Ech... – westchnęła Miśka. – Dalej nie mogę uwierzyć, że chodziliśmy do liceum z mordercą.

– A ja nie mogę uwierzyć, że zamiast się bawić, to przez pół koncertu sylwestrowego gadamy o zbrodniach – rzekła stanowczo narzeczona Darskiego, Betty. – I to nawet wtedy, gdy nie ma tu Róży. Nie wydaje mi się to dobrą wróżbą na kolejny rok. Więc może wreszcie się zamknijcie albo zmieńcie temat.

– Popieram – zgodziła się Miśka.

– Ja też! – przytaknął Mario.

– Niech wam będzie, choć ja miałbym jeszcze kilka pytań – wtrącił Marek, ale widząc wzrok pozostałych, dodał: – Dobra, dobra, mogę je zadać kiedy indziej.

Rachityczne oklaski pożegnały Klaudię, która przed zejściem ze sceny życzyła wszystkim, aby „dotarli do rdzenia swojego wewnętrznego korzenia prawdy”. Po chwili zerwała się burza entuzjastycznych oklasków, witająca wchodzącą na scenę Beatę Kozidrak, której hit „Ta sama chwila” doprowadził wszystkich do północy.

– „Mów, chcę być przy tobie blisko tak, wiem, że tych słów nie zmieni czas, dopóki jest, dopóki jest nadzieja, nie odnajdzie więcej nas ta sama chwila”. – Beata zakończyła występ swoim tradycyjnym zaśpiewem: „Nieeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeeee”, po czym została na estradzie, aby wziąć udział w uroczystym odliczaniu ostatnich chwil roku. – Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden...

– Wszystkiego najlepszego!

Mario przytulił Miśkę, Darski Betty, a Marek stojącą obok niego w milczeniu Karinę.

– Poczekaj. – Kosek jako pierwszy wyswobodził się z uścisku przyjaciółki i wyjął z kieszeni wibrującą mu tam i popisującą komórkę. – Róża! Halo000?!!! Najlepszego!!! Co?! Jak to?! Co ty mówisz?!!!

Rozłączył się i z rozpaczą popatrzył najpierw na Miśkę, potem na Betty, a na koniec na Darskiego.

– Musimy natychmiast wracać do Warszawy – oznajmił grobowym głosem. – Róża właśnie została oskarżona o popełnienie morderstwa!

KONIEC

(tylko tej opowieści, oczywiście)

PODZIĘKOWANIA

Trzydziesta książka. Jakim cudem? Kiedy to się stało?! Sam nie wiem.

Ale wiem, że w ciągu tych trzydziestu książek Los postawił na mojej drodze wielu dobrych ludzi, którym chciałbym teraz podziękować:

– pani Bogusi Genczelewskiej za to, że uwierzyła we mnie jako pierwsza i wydała „Ukochanego z piekła rodem”;

– załodze wydawnictwa Filia z Olgą Reszelską i Marysią Stefaniak na czele; to ogromna przyjemność pracować z Wami już tyle lat;

– à propos Filii, to osobne ukłony należą się Patrykowi Mierzwie, który z cierpliwością Szymona Słupnika znosi moją niesubordynację; Brachu – bardzo to doceniam;

– Idze Rembiszewskiej za to, że nie tylko wydaje moje książki, ale też czasem „ustawia” mnie prywatnie;

– Beatce Gontarskiej, Piotrusiowi i Aleksowi za to, że... cytując tekst Beaty Kozidrak: „kiedy nie wiem już, co mam zrobić, dokąd iść, wtedy mówią: hej, weź się w garść i zacznij wszystko od nowa”;

– Rafałowi Bielskiemu i Piotrowi Sternalowi, że zawsze mogę liczyć na ich zrozumienie i pomoc;

– Pawłowi Płaczkowi za wszystkie nasze wspólne chwile – i te w niekończących się trasach autorskich po Polsce, i te poza nimi; to

cudnie, że nigdy się razem nie nudzimy, a nawet jeśli, to jest to ta dobra nuda, której też każdy w życiu potrzebuje;

– Małgosi, mojej przyjaciółce i redaktorce dwudziestu siedmiu moich książek, za to, że jeszcze nie ma mnie dość, choć znamy się od trzydziestu pięciu lat;

– mojej Mamie za to, że od dziecka pozwala mi być sobą i popełniać błędy; wiesz, że byłaś, jesteś i będziesz w moim sercu zawsze kobietą numer jeden!;

– Agnieszce Trzeszkowskiej za mój największy hit, czyli powieść „Teściowe muszą zniknąć”, który przygotowałem pod jej auspicjami i którym zaopiekowała się tak, jakby go sama napisała;

– Magdzie Mazur za zainspirowanie do przygody z historią, w wyniku czego powstaje moja XVII-wieczna saga „Gorset i szpada”; to była interesująca przygoda;

– Sylwestrowi Biradze za inscenizację mojej książki „Raz, dwa, trzy... giniesz ty!” oraz całej ekipie aktorskiej za genialne wcielenie się w wymyślone przeze mnie postacie;

– Magdzie Witkiewicz za nasze wspólne literackie przygody;

– Ani Matusiak-Rześnioweckiej za przyjaźń, która przetrwała każdą próbę (odpukać!);

– Paulinie Holtz, Joannie Kołaczkowskiej, Katarzynie Pakosińskiej, Anecie Todorczuk, Mikołajowi Krawczykowi, Maćkowi Radłowi, Tomkowi Ciachorowskiemu, Marcinowi Kwaśnemu i wszystkim innym lektorom moich audiobooków za to, że swoimi głosami tchnęli życie w moich papierowych bohaterów;

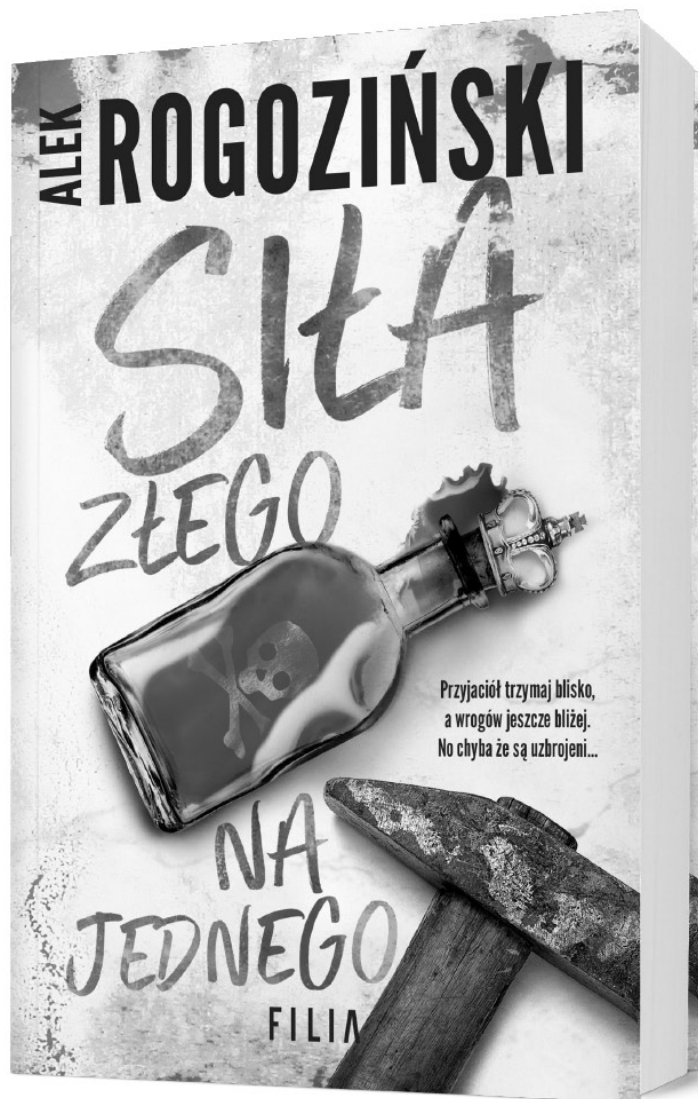
– Edycie Pietrzak-Waś za to, że jej dom stał się moim azylem;

– a przede wszystkim – WAM: wszystkim moim Czytelniczkom i wszystkim moim Czytelnikom za każdy przejaw Waszej sympatii, za wszystkie miłe słowa, prezenty, wspólne zdjęcia i to, że uczyniliście moje życie piękną bajką, z której nigdy nie chciałbym się już obudzić.

Jestem Wam wszystkim do zgonnie wdzięczny

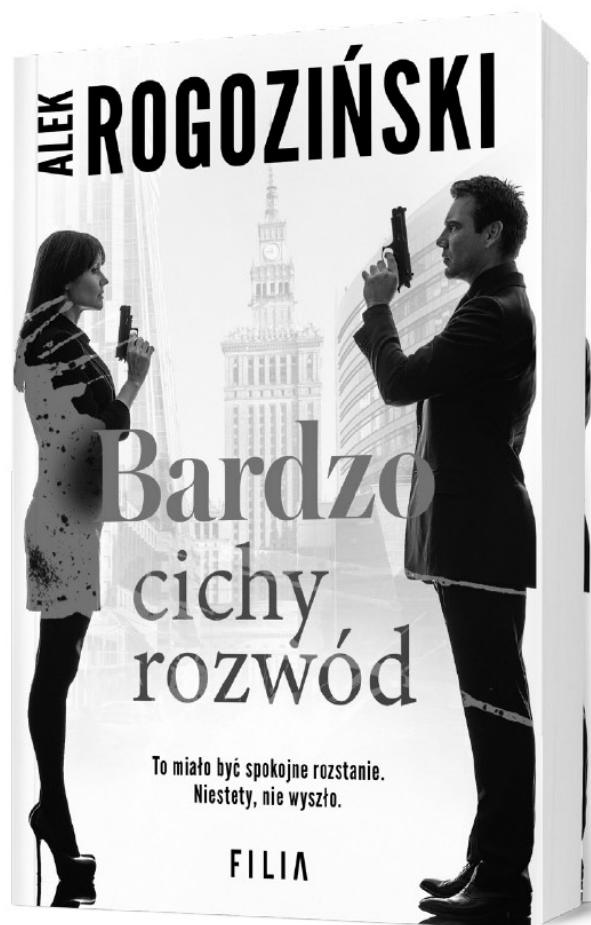
Wasz Alek

„Siła złego na jednego” to kolejna szalona komedia kryminalna pióra Alka Rogozińskiego, autora znanego z łączenia klasycznych fabuł kryminalnych z dużą dawką czarnego humoru.



FILIA MROczNA
STRONA

To miało być spokojne rozstanie. Niestety, nie wyszło.



„Bardzo cichy rozwód” to kolejna powieść Alka Rogozińskiego, autora znanego z łączenia klasycznych intryg kryminalnych z dużą dawką czarnego humoru.

FILIA MROczNA
STRONA

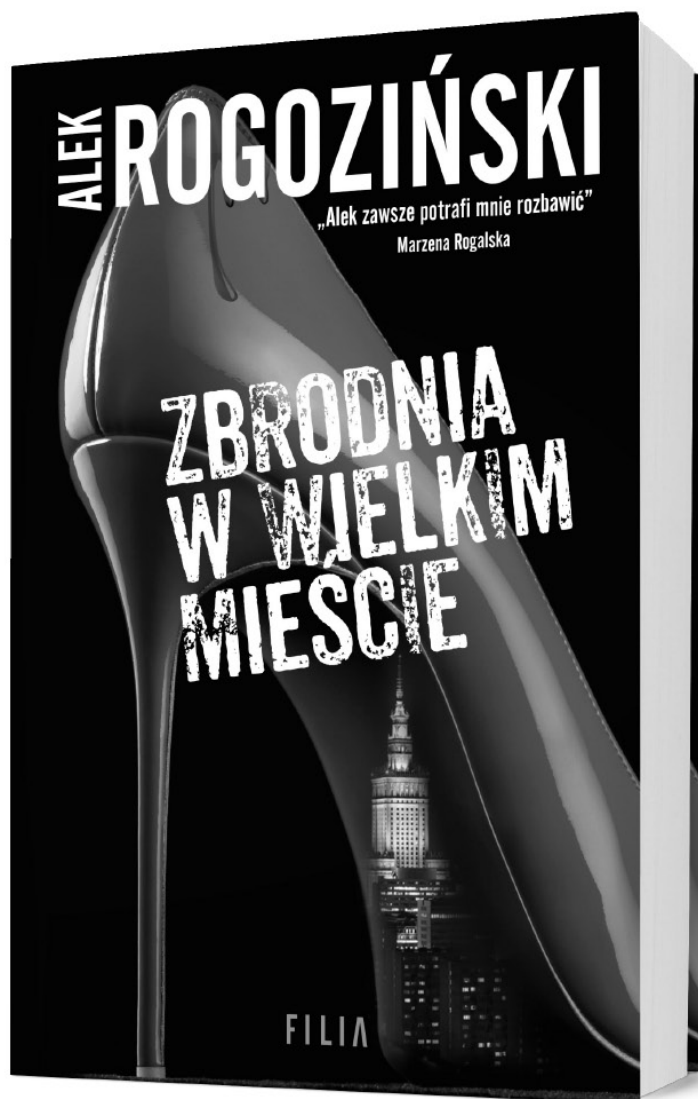
Wśród nocnej ciszy... zbrodnia się rodzi...



„Nieboszczyk sam w domu” to piętnasta książka w dorobku Alka Rogozińskiego, autora znanego z łączenia klasycznych fabuł kryminalnych z dużą dawką czarnego humoru.

FILIA MROczNA
STRONA

Czy kiedykolwiek mieliście ochotę zabić swojego szefa?



FILIA MROczNA
STRONA

SPIS TREŚCI

Karta tytułowa

Dedykacja

OŚWIADCZENIE

POSTACI

PROLOG

ROZDZIAŁ I: KARINA

ROZDZIAŁ II: MAREK

ROZDZIAŁ III: OLGA

ROZDZIAŁ IV: LUCJUSZ

ROZDZIAŁ V: MARIO I MIŚKA

ROZDZIAŁ VI: PRZECZUCIE

ROZDZIAŁ VII: AGNIESZKA

ROZDZIAŁ VIII: ŻART

ROZDZIAŁ IX: DARSKI

ROZDZIAŁ X: KLEMENS

ROZDZIAŁ XI: KIELISZEK ŚLIWOWICY

ROZDZIAŁ XII: PRETENSJE

ROZDZIAŁ XIII: MORDERSTWO

ROZDZIAŁ XIV: ZAGROŻENIE

ROZDZIAŁ XV: MORDERSTWO PO RAZ DRUGI

ROZDZIAŁ XVI: STARY GRZECH

EPILOG

PODZIĘKOWANIA

Reklama 1

Reklama 2

Reklama 3

Reklama 4

Karta redakcyjna

Copyright © by Alek Rogoziński, 2023
Copyright © by Grupa Wydawnicza FILIA, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2023

Projekt okładki: PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN

Redakcja: Małgorzata Tougri
Korekta: Agnieszka Luberadźka, Marta Akuszeńska
Skład i łamanie: Dariusz Nowacki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8357-165-2

FILIA

Grupa Wydawnicza Filia sp. z o.o.
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona
mrocznastrona.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.